

Eugeniusz Pudlis

Pozytywnie zakręcenii



Centrum Informacyjne
Lasów Państwowych

Pozytywnie zakręcenii

Pozytywne zakręcenie!



**Wydano na zlecenie
Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych**

Warszawa 2011

© Centrum Informacyjne Lasów Państwowych

ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r. nr 3

02-362 Warszawa

tel.: (22) 822-49-31

faks: (22) 823-96-79

e-mail: cilp@cilp.lasy.gov.pl

www.lasy.gov.pl

Redakcja

Wawrzyniec Milewski

Zdjęcia

Jacek Holub (J.H.), Jarosław Krawczyk (J.K.), Roman Jankowski (R.J.),
Tomasz Mleczek (T.M.), Eugeniusz Pudlis (E.P.), Andrzej Radecki (A.R.),
Ryszard Szatkowski (R.S.), Marcin Trybała (M.T.)

Zdjęcie na 1. str. okładki

Cezary Korkosz

Projekt okładki

Wiktor Gościcki

Projekt graficzny

Wiktor Gościcki

Korekta

Bogusława Jędrasik

ISBN 978-83-61633-37-2

Przygotowanie do druku

EDO – Jakub Łoś

Druk i oprawa

Ośrodek Rozwojowo-Wdrożeniowy
Lasów Państwowych w Bedoniu

Spis treści

Słowo wstępne	7
W trzech wymiarach	9
Łowca motyli.....	25
Urodzony odkrywca.....	41
W żywiołach gór, lasów i wody	53
Oczy leśnika, nogi maratończyka	65
Zapasy z Dziećmi Księżyca.....	77
Bicie własnego serca	91
Człowiek orkiestra.....	103
Muzyki pełna chata	115
Trzy namiętności	127
Pasja drugiego życia.....	139

Słowo wstępne

Las rośnie na marginesie zainteresowań masowych mediów. O leśnikach publiczność wie tym mniej. To nie zawód na czołówki gazet – leśnicy nie robią malwersacji, nie zabijają żon, nie napadają na banki. Czasem tylko jakiś ich podopieczny niedźwiedź pójdzie na obce ścieżki i wtedy wpadnie komuś do głowy zapytać fachowca...

Leśnicy umieją cenić swoją specjalność. Ba, doceniają swoich kolegów. W swoim reporterskim życiu przed laty wysłuchałem wielu opowieści z czasów trudnych (trudnych na różne sposoby – inaczej za okupacji, inaczej w okresie stalinizmu, polującego i na leśników). Dziś wydaje się to zawód bez przygód. Taki nie do opowiadania. Ta książka, jakże ciekawa i żywa, napisana przez człowieka zafascynowanego leśnictwem, udowadnia, że jest inaczej – także w czasach pokoju. To bardzo interesujący, by nie powiedzieć – pasjonujący zawód, bardzo interesujących, a nawet pasjonujących ludzi. Książka do czytania najpierw przez nich samych. Może skłoni Czytelników z lasu do pisania (nagrywania) swoich dzienników lub wspomnień. Tak powstanie ciąg dalszy tej książki – co będzie jej szczególnym sukcesem. Życzę więc powodzenia – Autorowi i Czytelnikom jako przyszłym współautorom...

Stefan Bratkowski

Warszawa, listopad 2011 r.



W trzech wymiarach

Co może robić leśnik z wykształcenia, a historyk z zamiłowania, jeśli znajdzie się w miejscu o tak niezwyklej przeszłości jak Borne-Sulinowo? Tropić jego przeszłość, poszukiwać związków z leśnictwem i leśnikami. Doktor Tomasz Skowronek, dziś inżynier nadzoru w Nadleśnictwie Borne-Sulinowo, tym właśnie się zajmuje.

Tomasz Skowronek z artefaktami znalezionymi na terenie byłego Oflagu II D Gross Born (E.P.)

Czyni to z niezwykłą pasją, prowadzącą do odkryć, których nie powstydziliby się zawodowy historyk, a przy tym nawet w najmniejszym stopniu nie zaniedbuje swoich powinności jako leśnik, pielęgnując i rozbudowując tutejsze drzewostany. Na dokładkę, jako radny z wieloletnim stażem, obecnie przewodniczący Rady Miasta, kreuje teraźniejszość i przyszłość Bornego i jego okolic.

Maska, paleta i pióro

Stoimy na nasypie kolejowym przy drodze z Nadarzyc do Sypniewa, na południe od Bornego. Przed nami pomnik w formie krzyża. Postawiono go w 1998 r. Jego twórcą jest dr Zygmunt Wujek, pracownik Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej.

– Sercem i duszą tworzył ten pomnik, bo jego stryj był jeńcem oflagu – tłumaczy Tomasz Skowronek. – Pod prawym ramieniem krzyża widnieje kotwica Polski Walczącej, gdyż w 1944 r. trafili w to miejsce, do Oflagu II D Gross Born, oficerowie powstania warszawskiego. Poniżej pięć kółek olimpijskich – w tymże 1944 r. jeńcy zorganizowali tu zawody sportowe, określane jako XII Igrzyska Olimpijskie. Wtedy Niemcy nie zgodzili się na rozegranie dwóch konkurencji: rzutu oszczepem i skoku o tyczce. Można się domyślić, dlaczego...

Pod lewym ramieniem krzyża kolejny symbol – maska teatralna; tutaj więźniowie oficerowie utworzyli Teatr Symbolów. Organizowały go i grały w nim takie sławy jak dramaturg Leon Kruczkowski i aktorzy Aleksander Sewruk i Bolesław Płotnicki.

W sąsiedztwie krzyża stoi inny pomnik, wyciosany z kilku brył granitu. Upamiętnia pobyt francuskich oficerów w obozie. Siedzieli tu dwa lata, od 1940 r. Krótko, bo przeniesiono ich do oflagu w Choszczynie.

– Pomnik postawiły rodziny oficerów francuskich, którzy tu zmarli albo zostali zamordowani. W inskrypcji, jak postanowiono, widnieje tylko jedno nazwisko. To porucznik



Pomnik na miejscu byłego Oflagu II D Gross Born, do którego trafili oficerowie powstania warszawskiego (E.P.)

André Rabin zabity przez Niemców przy wyjściu z podkopów podczas usiłowania ucieczki – opowiada mój przewodnik. – Wyjście się zapadło, Niemcy to zauważyli i postrzelili Rabina, który zmarł w wyniku odniesionych ran.

Na Trakcie Jenieckim, który kilka lat temu zaprojektował Tomasz Skowronek, a dziś jest już powoli realizowany, zaczęły się pojawiać „nieplanowane blaszki”. Jedna z nich, z inskrypcją po rosyjsku i angielsku, widnieje na dębie: „Nikołaj Wasilewicz Lebediew, urodzony 6 grudnia 1918 roku w Rosji, we wsi Pierienosznie. Zginął 6 grudnia 1941 roku w faszystowskiej niewoli, w stalagu 302. Pamiętamy”.

– Zaczęto je tu umieszczać, gdy w Internecie pojawiły się tabliczki z kartoteki obozowej. Któregoś dnia zauważyłem jedną na cmentarzu, drugą tutaj. Rosjanie przyjeżdżają i je mocują – tłumaczy Tomasz Skowronek.

Jedziemy przyszłym Traktem Jenieckim, mijając teren dwóch obozów, w których w czasie wojny znajdowały się: oflag, stalag i obóz dla czerwonarmistów. Trasa będzie liczyła około trzech kilometrów – ma być niedługa, żeby każdy mógł ją przejść. Zwiedzający będą się zatrzymywać w 14 miejscach, gdzie podczas ostatniej wojny przebywało około 55 tysięcy jeńców. Kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy zostało tutaj na zawsze. Zadumają się na cmentarzach. Zobaczają, jak wyglądał obozowy



**Jedna z „nieplanowanych blaszek”
z inskrypcją po rosyjsku i po angielsku
(E.P.)**

teatr, jak przebiegały igrzyska jenieckie. Obejrzą też wzorce medali; pierwowzór, wykonany z papieru, znajduje się w zbiorach Tomasza Skowronka. Poznają również działalność obozowego Koła Leśników, które liczyło co najmniej 51 osób. Prężnego, organizującego szkolenia zawodowe, wykłady i kursy, prowadzącego m.in. szkołkę leśną. Późniejszy szef Instytutu Badawczego Leśnictwa, prof. Maksymilian Kreutzinger, napisał nawet dla członków koła skrypt pt.: „Podstawowe zasady gospodarki leśnej”. Był również szefem zespołu przygotowującego mapy na potrzeby tych, którzy podejmowali próby ucieczki z obozu w Gross Born.

– Skąd brali mapy? Był to przecież środek Rzeszy. Kreutzinger – odpowiada mój przewodnik – nawiązał współpracę z Ernestem Heimem, niemieckim strażnikiem obozowym. To on przekazywał więźniom nie tylko mapy, ale również broń, kompasy. Niestety, został zdekonspirowany i powieszony w Szczecinie przez gestapo. I tu rodzi się drugie pytanie: dlaczego Heim to robił? Był z zawodu leśnikiem. Może podjął się tego czynu w imię solidarności zawodowej?

Wędrujący Traktem Jenieckim zatrzymają się zapewne przed pomnikiem-krzyżem, zespawanym z metalowych części, które tu znaleziono. Krzyż postawiono tam, gdzie znajdował się barak służący oficerom francuskim, a potem polskim za kaplicę. Dziś zostały po nim tylko... schody. Obok nich stoi krzyż.



Trasa Traktu Jenieckiego będzie liczyć 13 kilometrów (E.P.)

Tryptyk z oflagu

Kaplicę zdobił tryptyk wykonany przez Jana Zamoyskiego – współzałożyciela międzywojennej grupy artystycznej Bractwo św. Łukasza. Artysta wykonał go w obozie w Neubrandenburgu z desek z pryczy, blachy po konserwach i masy papierowej. Historia tryptyku to cała seria niezwykłych zdarzeń, które współtworzył również Tomasz Skowronek.

To obozowe dzieło trafiło do Oflagu II D Gross Born w styczniu 1944 r. W lutym następnego roku oficerów ewakuowano, ale tryptyk w obozie pozostał. Odnalazł go tam kapelan IV Dywizji Piechoty „Kilińszczaków”, ppłk Marian Mościński. Z tą dywizją tryptyk uczestniczył w wyzwaniu Kołobrzegu, zaślubinach Ludowego Wojska Polskiego z Bałtykiem, a 9 maja 1945 r. nad Łabą odbyła się przed nim polsko-amerykańska msza dziękczynna za odniesione zwycięstwo w wojnie z Niemcami.

Wiele lat po wojnie Zamoyski przekazał tryptyk do Katedry Polowej WP w Warszawie. Tomasz Skowronek postanowił sprowadzić go do Bornego, bo tu jest jego miejsce. Okazało się, że nie jest to takie proste. Ówczesny biskup polowy WP Sławoj Leszek Głódź odmówił miejscowemu proboszczowi przekazania obrazu. Wtedy poproszono Zygmunta Wujka, aby wykonał replikę tryptyku. W 10. rocznicę wyjazdu Rosjan z Bornego-Sulinowa odsłonięto ją w kościele parafialnym św. Brata Alberta.

– Była to dla mnie połowa sukcesu – zwierza się Tomasz Skowronek, kończąc opowieść. – Gdy dowiedziałem się, że tryptyk przeniesiono z katedry do siedziby Pułku Ochrony, napisaliśmy do biskupa Tadeusza Płoskiego list z prośbą o przekazanie go do Bornego. I tak się stało. W 2008 r. cudowny tryptyk zawisł na ścianie kaplicy kościoła św. Brata Alberta w naszym mieście. Wrócił tam, gdzie dodawał wiary i otuchy więzionym w oflagu oficerom...

Wizyta Kuriera z Warszawy

Kilkaset metrów za kaplicą, w której w czasie wojny znajdował się wspomniany tryptyk, na cmentarzu przy Stalagu 302 Rederitz, gdzie pochowano około 11 tysięcy jego więźniów, wśród rosnących drzew postawiono dziesiątki brzoźowych krzyży. Tak to miejsce wygląda teraz, ale jeszcze w 1993 r. nikt o tym cmentarzu nie wiedział.

– Z początkiem 1993 r. leśniczy leśnictwa Dudylany poinformował nadleśnictwo o znalezieniu tu właśnie ludzkich szczątków. Przypuszczaliśmy, że to pozostałość



Zbiorowa mogiła na Trakcie Jenieckim (E.P.)



**Tomasz Skowronek z Janem Nowakiem-
-Jeziorańskim na terenie po byłym
Oflagu II D Gross Born w czerwcu
2001 r. (R.S.)**

po rosyjskim poligonie. Przyjechałem tam – wspomina Tomasz Skowronek – bo chciałem te szczątki pogrzebać. Ale im głębiej kopałem, tym czaszek było więcej. Gdy znalazłem guzik z orzełkiem w koronie i blaszki z numerkami – niemieckie nieśmiertelniki, wiedziałem, że musi tu być bardzo duży cmentarz.

Jednak nikt szczególnie się tym faktem nie zainteresował. Los sprawił, że w 2001 r. do Bornego-Sulinowa na uroczystość nadania miejscowej szkole jego imienia przyjechał Jan Nowak-Jeziorański – uczestnik powstania warszawskiego, słynny „Kurier z Warszawy”.

– Jeziorański miał w swoim programie zwiedzanie byłego sowieckiego poligonu, a ja zostałem jego przewodnikiem – wspomina Tomasz Skowronek. – Pokazałem mu wtedy listę powstańców warszawskich, którzy byli tu więzieni. To go wciągnęło. Spotkanie z „Kurierem z Warszawy” miało trwać do południa, a przeciągnęło się do godziny 22.00. W pewnym momencie mój gość przerwał rozmowę i zadzwonił do Andrzeja Przewoźnika, sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a potem do Władysława Bartoszewskiego. Obydwu opowiedział o prawdopodobnych cmentarzach, podkreślając, że trzeba się tym zająć.

I tak faktycznie się stało. Prace ekshumacyjne trwały trzy lata. Prowadził je w latach 2002–2004 prof. Andrzej Kola z UMK w Toruniu. Ustalono, że na cmentarzu spoczywa minimum 11 tysięcy osób w 506 mogiłach. Ponadto badania doprowadziły do odkrycia kolejnych dwóch cmentarzy.

– W tym roku zostanie ogrodzony pierwszy cmentarz. W przyszłym pozostałe. Tak powinno być – kończy mój rozmówca.

Nadleśnictwo po poligonie

Tomasz Skowronek ma dwóch starszych braci. Kiedy wstąpili do harcerstwa, Tomek zrobił to samo. W harcerstwie historia weszła do jego życia na stałe.

Obydwaj jego bracia doszli do stopnia podharcymistrza i funkcji komendanta Szczepu 201. Warszawskich Drużyn Harcerskich i Zuchowych. Poszedł w ich ślady i także został podharcymistrzem, a potem komendantem szczepu. Wtedy poznał jednego z legendarnych przywódców Szarych Szeregów z powstania warszawskiego – Stefana Orszę, faktycznie Stanisława Broniewskiego.

– Z druhem Orszą jeździliśmy na obozy i spaliśmy w jednym namiocie. A przy ognisku – opowiada Tomasz Skowronek – słuchaliśmy jego relacji z wojny. To nie

była wiedza z podręcznika, pewnie dlatego byliśmy tymi opowieściami tak urzeczeni. Mogliśmy dyskutować o wydarzeniach z człowiekiem, którego inni poznawali tylko z książek. Właśnie z tego powodu historia stała mi się bardzo bliska.

Mój rozmówca jako harcerz był zawsze związany z lasem – przebywał na kilkunastu obozach harcerskich. Z harcerstwem rozstał się dopiero na studiach. Najpierw wybrał biologię na Uniwersytecie Warszawskim, ale w kolejnym roku zaczął studia na Wydziale Leśnym SGGW i tam je ukończył. Chociaż jest warszawiakiem z urodzenia, nawet przez moment nie pomyślał, że po studiach leśnych będzie pracował w Warszawie.

– Po półrocznym stażu w ówczesnym OZLP Szczecinek – opowiada – dostałem leśnictwo Breńsk. W środku lasu. Do najbliższego sąsiada miałem 3 km, do sklepu – 4,5. I zacząłem gospodarzyć. Sam. Było trudno, szczególnie zimą. Teraz są auta, wtedy był rower, korzystało się jednak najczęściej z własnych nóg. I chyba dlatego znałem swoje leśnictwo jak własną kieszeń. I dużo się nauczyłem.

Z początkiem września 1992 r. Tomasz Skowronek otrzymał propozycję zostania jednym z trzech pełnomocników RDLP w Szczecinku ds. przejęcia terenów po jednostkach Armii Radzieckiej w Bornem-Sulinowie i zorganizowania tam nadleśnictwa.

– To była trudna decyzja, ale podjąłem wyzwanie, m.in. dlatego, że wcześniej leśnikiem na tym terenie był mój teść, a później siostra mojej żony, Jadwiga, prowadziła tu jednoosobowo nadzór nad lasami poligonu – wyjaśnia.

A zadanie było bezprecedensowe i niezwykle trudne. Operaty leśne na tym terenie nie miały połowy stron i nigdy ich nie udostępniono. Pozostałe były z pieczęcią „ściśle tajne”. Rosjanie wyszli z Bornego-Sulinowa w październiku 1992 r., a od 1 stycznia nadleśnictwo miało rozpocząć działalność.

– To, co wykonuje się na podstawie istniejących od lat dokumentów, robiliśmy od początku. Założyliśmy, że nowe nadleśnictwo potrzebuje 20 lat, aby dojść do normalnych warunków pracy, bo stan lasów był bardzo zły. Z 18 tys. ha aż 8,5 tys. ha było w zasadzie wylesionych. Z tego 3,5 tys. ha były to drzewostany tzw. negatywne – spalone albo postrzelane – ocenia Tomasz Skowronek.

A problemów na każdym kroku było mnóstwo. Nie można było stosować zasad hodowli, bo nie było wiadomo, czy grunt leśny, służący od lat 20. poprzedniego stulecia, można uznać za las. Czy obszar, na którym przed wiekiem, może nawet

przed dwoma wiekami prowadzono gospodarkę rolną, można kwalifikować jako grunty porolne.

Dopiero od 1995 r. nadleśnictwo dysponowało operatem, miało informacje niezbędne do prowadzenia gospodarki leśnej. Funkcjonowało więc na początku bardziej na wyczucie niż na podstawie konkretnych instrukcji. Za to zalesiania szły pełną parą. Zaczęto od 150 ha w roku 1994, potem było 250, a w rekordowym roku 1996 – prawie 500 ha.

– Tu wszystko było nowe – wspomina Tomasz Skowronek. – Naszą siedzibą były pokoje ośrodka wypoczynkowego Nadleśnictwa Czaplinek, nad jeziorem Pile. Urzędowaliśmy w kilku pokojach z łazienką i kuchnią. Po południu pracownicy z działu technicznego składali dokumenty na lewą stronę pomieszczeń i kładli się spać na rozkładanych łóżkach.

Mimo takich warunków już od stycznia 1993 r. nadleśnictwo zaczęło funkcjonować, wykonując plany pozyskania drewna, zabiegi hodowlane i ochroniarskie. Równocześnie tworzono całą infrastrukturę, budowano drogi i leśniczówki.

Nie sprawdziły się przypuszczenia, że teren może być radioaktywny. Miejsc zanieczyszczonych chemicznie też nie było zbyt wiele. Tak zwany tor napalmowy (1,5 ha) i „ogródek chemiczny” zrehabilitowano w ciągu pierwszych lat. Saperzy usunęli tysiące niewybuchów, sprawdzając glebę do głębokości leśnej orki – 80 cm. Gorzej było z obszarem rozjeżdżonym przez czołgi, wozy bojowe – miejscem, gdzie prowadzono ćwiczenia.

– Nie spodziewaliśmy się, że tak duża część terenu, bo setki hektarów, została pozbawiona gleby. Wyniki badań naukowców uzmysłowiły nam, że ten teren to sam żwir i piasek, który Niemcy podobno specjalnie zwozili, aby ćwiczyć żołnierzy w warunkach pustynnych. Po prawie 20 latach sytuacja się zmieniła. Posadzenie milionów sztuk drzew i krzewów najrozmaitszych gatunków biocenotycznych poprawiło strukturę gruntu, ale na las trzeba jeszcze poczekać.

Mimo tych problemów Nadleśnictwo Borne-Sulinowo wyszło na prostą i daje sobie radę – nie jest deficytowe. Stało się tak również dzięki trafnemu posunięciu. Do powstających w 1993 r. na terenie poligonu nadleśnictw (obok Bornego również Nadleśnictwa Czarnobór) przyłączono bogate w drzewostany obręby, znajdujące się po sąsiedzku.

Miasto w lesie

– Miast, otwierających się na inwestorów z zewnątrz, jest w Polsce mnóstwo. Ale tych, które chcą zachować formułę „miasta w lesie”, jest niewiele. A Borne jest otoczone lasami. Rzadko się w Polsce zdarza, żeby na 200 km² nie było żadnej wioski, a takie są okolice naszego miasta. Dlatego gmina wspiera turystykę, opartą na historycznej przeszłości tego terenu.

Tak Tomasz Skowronek widzi rozwój swojego miasta, nie tylko jako leśnik, historyk z zamiłowaniem, ale przede wszystkim przewodniczący Rady Miasta Bornego-Sulinowa. A radnym jest już po raz trzeci. Najpierw był nim pierwsze dwie kadencje, od momentu gdy Borne uzyskało status miasta. Potem była przerwa, a w październiku 2010 r. ponownie wszedł do Rady Miasta i został wybrany jednogłośnie na jej przewodniczącego.

– Przez dwie kadencje byłem radnym w opozycji. Nie zgadzałem się z pomysłami burmistrzów, aby dzielić miasto na działki i je sprzedawać. Uważam, że największą wartością miasta jest jego zespół urbanistyczny, otaczające go lasy i jeziora. Nie mogłem również tolerować braku zainteresowania historią tego niezwykłego miejsca, której poprzednicy nie dostrzegali – wyznaje szef Rady Miasta.

Dziś, gdy komitet, z którym wystartował, zdobył 12 z 15 mandatów, współpraca z burmistrzem układa się modelowo – krytykę odłożył do lamusa. Chce, aby pomysły rady były realizowane i to skutecznie. W nowym planie zagospodarowania przestrzennego podkreślono dbałość o architekturę miasta, wydzielono wewnątrz strefy zieleni.

– Chcemy, aby rozwijając Borne – mówi – nie ingerowano w okoliczną przyrodę i artykułowano historię miasta, która jest tak niezwykła, a przez to atrakcyjna turystycznie.

Stąd realizacja m.in. Traktu Jenieckiego, prace doprowadzające do porządku istniejące w okolicy cmentarze i upamiętniające obozy jenieckie. Ale równocześnie radni nie zapominają, że wśród 4,7 tys. mieszkańców, którzy napłynęli do Bornego po opuszczeniu go przez wojska Armii Czerwonej, oprócz dużej liczby emerytów jest też wielu młodych ludzi z dziećmi. Dla nich właśnie wyremontowano pokazną halę sportową i wybudowano boiska.

Zresztą sport zagościł tu na dobre. W Bornem odbywają się co roku biegi przełajowe, na jeziorze Pile – wyścigi modeli pływających, na innych jeziorach – zawody węd-

karskie. Tu rokrocznie organizowany jest Zlot Stowarzyszenia Miłośników Pojazdów Militarnych, bo Borne to idealne miejsce spotkań miłośników amfibii, transporterów opancerzonych, łązików, a nawet czołgów. W roku 2010 przyjechało ponad 4 tys. zlotowiczów. W następnym zlocie, organizowanym pod hasłem „Podkowy i gąsienice” (dojdą ułani i kawalerzyści) frekwencja będzie pewnie jeszcze większa.

– Jesteśmy w stanie zaspokoić oczekiwania prawie każdego turysty, który tu przyjedzie. Oprócz atrakcji historycznych, Targów Miodu i Chleba, różnych prezentacji Stowarzyszenia Producentów Miodów Drahimskich mamy atrakcje przyrodnicze. To choćby Diabelskie Pustacie – jedno z największych w Europie wrzosowiska, rozciągające się na obszarze ponad 900 ha – kończy ten wątek Tomasz Skowronek.

A na dowód tego, że przyroda tu niebanalna, pokazuje kilka drzew, które sam odnalazł. Z racji swoich wymiarów, kształtu i wieku otrzymają zapewne status pomników przyrody. Przyznam, że 270-letni, dorodny dąb nad rzeczką Dobrzycą, ponaddwustuletni klon (pod względem wielkości obwodu drugi z kolei w woj. zachodniopomorskim) czy 125-letnia sosna z pniem spiralnie skręconym jak grubasna lina okrętowa robią wrażenie.

– Wśród 67 takich cudów przyrody, które odnalazłem, jest też leszczyna o średnicy pnia ponad 30 cm i grupa około 30 dębów nazywana Małym Rogalinem. O ich ochronę również wystąpimy.

Mundur leśnika

W wyszukiwaniu drzew pomnikowych Tomasz Skowronek wykazuje nadzwyczajną atencję. Tę pasję wplata w drugi wymiar swojej działalności – pracę radnego. Ale także nawet na moment nie zapomina o swojej pasji historycznej.

Teraz pisze kolejną książkę. Swoje historyczne peregrynacje zaczął od obozów jenieckich, w szczególności od Kół Leśników, które działały w oflagach. Ale starając się ogarnąć historię naszego leśnictwa w czasie drugiej wojny światowej, od wielu lat gromadził informacje na temat leśników pomordowanych w Katyniu, Charkowie, Miednoje, Bykowni i Kuropatach.

– Gdy dowiedziałem się, że jadę z delegacją leśników do Katynia na uroczystości pamiętnego 10 kwietnia 2010 r. – wspomina – zacząłem szukać śladów 227 kolegów leśników, którzy tam zginęli. I napisałem kilkaset listów do rodzin pomordowanych. Z kilkoma osobami umówiłem się na cmentarzu w Katyniu.



Dziwacznie skręcona, 125-letnia sosna, odnaleziona przez Tomasza Skowronka (E.P.)

Przeżył tam niezwykłą historię – nie pierwszy raz w czasie swoich historycznych wędrówek. Na cmentarzu w Katyniu podeszły do Tomasza Skowronka dwie kobiety: matka i córka. Starsza zadała pytanie: „Czy mogę pogłaskać pana mundur? Mój tata, Jan, był leśnikiem”. „Czy to był Żarczyński” – zapytał Skowronek, bo parę minut wcześniej, dokumentując tabliczki, stał przy grobie Jana Żarczyńskiego. „Pan Tomasz Skowronek?” – zapytała młodsza z kobiet.

– Wtedy się zreflektowałem – opowiada Tomasz Skowronek – zrozumiałem bowiem, jak wielkim szacunkiem darzony jest mundur, który noszę od kilkudziesięciu lat. Jak ważne dla córki leśnika było spotkanie z innym leśnikiem. I po powrocie do Polski zdecydowałem, że napiszę książkę o 227 leśnikach, którzy w Katyniu i innych obozach zostali zamordowani. Będą to biogramy konkretnych osób, przedstawionych z imienia i nazwiska. Bo ważne jest, by wiedzieć, ilu zginęło, ale jeszcze ważniejsze pamiętać, kto zginął. Skąd pochodził? Gdzie się kształcił? Co robił, nim spotkał go tak tragiczny los? W jaki sposób został pozbawiony życia?

Podstawowym źródłem, które służył Tomaszowi Skowronkowi do weryfikacji danych, są Księgi Cmentarne, wydane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Ale szybko skonstatował, że księgi bazują na listach wywozowych z obozu do miejsca egzekucji albo dokumentach znalezionych w czasie ekshumacji. A on odnalazł rodziny leśników, które mają listy z Kozielska i Starobielska, ale ich krewni w tych księgach nie istnieją.

– Jeżeli jakiejś osoby nie ma w tych księgach, to wcale nie znaczy, że nie został tam zamordowany. Teraz już wiem, że nigdy nie dotrę do końca tej pracy. Nigdy nie odnajdę wszystkich. Prawie nic nie wiemy o leśnikach pracujących w lasach prywatnych. A oni przed wojną stanowili znaczącą grupę kadry leśnej...

Tych poszukiwań Tomasz Skowronek nie zakończy. Będą trwały i dostarczały mu wciąż nowych, niezwykłych przeżyć. Takich jak to. Układając biogram Tadeusza Lipskiego, porucznika rezerwy, syna Edwarda i Eugenii, dotarł do kolejnych o nim informacji, takich m.in., że maturę zdał w gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Kowlu, a immatrykulowany był na Wydziale Leśnym SGGW 22 listopada 1930 r.

W kilka dni później zaczął redagować biogram ppor. rez. Konstantego Pióro. I spisuje dane: absolwent gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Kowlu, immatrykulowany 22 listopada 1930 r. na Wydziale Leśnym SGGW. Pomyślał, że to pomyłka i ma znów przed sobą dane Tadeusza Lipskiego. Ale pojawiły się pierwsze różnice: K. Pióro otrzymał stopień inżyniera 7 grudnia 1936 r., a T. Lipski – 30 kwietnia 1937 r.



– Były to więc jednak dwie różne osoby! Kończyły to same gimnazjum, w tym samym dniu były immatrykulowane, obydwie pisały prace u prof. Franciszka Krzysika, a potem spotkał ich ten sam okrutny los: znalazły się w tym samym obozie, zostały skazane na śmierć i zginęły w Lesie Katyńskim. Zastanawiałem się, o czym rozmawiały w obozie, bo przecież na pewno się znały. Jak się takie rzeczy czyta, to ciarki przechodzą po plecach – kończy Tomasz Skowronek.

Tomasz Skowronek urodził się 31 sierpnia 1956 r. w Warszawie. Po ukończeniu XXVIII LO im. J. Kochanowskiego w latach 1975–1977 uczęszczał do Policealnej Szkoły Kreślarskiej. W roku akademickim 1978/1979 pracował w Leśnym Zakładzie Doświadczalnym SGGW w Rogowie. W 1984 r. ukończył studia na Wydziale Leśnym tej uczelni.

Po odbyciu rocznej służby wojskowej w roku 1985 rozpoczął pracę w Nadleśnictwie Czarne Człuchowskie na stanowisku leśniczego i pracował tam osiem lat. We wrześniu 1992 r. został powołany na stanowisko pełnomocnika RDLP w Szczecinku ds. przejęcia terenów po jednostkach Armii Radzieckiej w Bornem-Sulinowie. W powstałym 1 stycznia 1993 r. Nadleśnictwie Borne-Sulinowo został nadleśniczym, pracując na tym stanowisku do roku 1994. W nadleśnictwie pełni dziś funkcję inżyniera nadzoru.

Doktor nauk leśnych. W 2010 r. obronił pracę doktorską na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, zatytułowaną: „Aktywność leśników w Oflagu II C Woldenberg oraz ich znaczenie w rozwoju szkolnictwa leśnego i gospodarki leśnej”. Jest autorem bądź współautorem wielu artykułów, głównie na temat działalności leśników w niemieckich oficerskich obozach jenieckich w czasie drugiej wojny światowej. Autor rozdziału „Leśnicy w stalagach, oflagach i obozach” II tomu dzieła „Z dziejów Lasów Państwowych i leśnictwa polskiego 1924–2004” (wyd. CILP 2005).

Żonaty, ma dwoje dorosłych dzieci: Miłosza i Magdę, studentkę Wydziału Leśnego stołecznej SGGW.

Interesuje się historią leśnictwa, ze szczególnym uwzględnieniem okresu drugiej wojny światowej, łowiectwem, również drzewami pomnikowymi.

Staraniem Tomasza Skowronka przy siedzibie Nadleśnictwa Borne-Sulinowo stanął obelisk, upamiętniający leśników więzionych w obozach jenieckich i łagrach (E.P.)



Łowca motyli

Zdumienie, podziw i uznanie. Właśnie takie emocje budzi wśród profesjonalnych entomologów – również z profesorskimi tytułami – kolekcja owadów, a przede wszystkim motyli, zgromadzonych przez Marka Hołowińskiego, podleśniczego leśnictwa Macoszyn w Nadleśnictwie Sobibór.

**Marek Hołowiński
z okazami motyli
z rodziny
niedźwiedziówek
(E.P.)**

Zdumienie, bo trudno im uwierzyć, że autorem tego bezprecedensowego zbioru, liczącego sobie ponad 25 tysięcy okazów, jest szeregowy leśnik – choć obcujący z przyrodą na co dzień, to jednak w tej dziedzinie *par excellence* amator. Podziw, gdyż ów „amator”, zajmujący się gromadzeniem owadów od ponad 30 lat, odkryty dla nauki i przez naukowców prawie 20 lat temu, dzięki ich wskazówkom tworzy swoją kolekcję w sposób niezwykle profesjonalny. I wreszcie uznanie, bo za sprawą nieustającej penetracji terenu i benedyktyńskiej wprost pracy przy preparacji złowionych motyli doprowadził już do odkrycia wielu nieznanych w kraju gatunków motyli.

Początki wielkich łowów

– Już jako dzieciak ganiałem za owadami – opowiada podleśniczy – bo las miałem pod nosem, a w osadzie leśnej, w której mieszkaliśmy, sąsiadowałem z leśnikiem zajmującym się kolekcjonowaniem owadów. Od momentu, gdy zobaczyłem u niego spreparowane motyle, wciąż chodziło mi po głowie, żebym i ja taką kolekcję zgromadził.

W Technikum Leśnym w Biłgoraju, do którego trafił po skończeniu szkoły podstawowej, nadarzyła się taka szansa. Ale na początek w pierwszej klasie technikum sporządził zielnik, podchodząc do tego zadania z ogromnym zacięciem. Rok później, gdy szykował kolekcję owadów na zaliczenie z entomologii leśnej, poczuł się w swoim żywiole. Przygotował zbiór wzorcowy, który potem wisiał przez długie lata w jednej ze szkolnych gablot.

– Nazwy łacińskie owadów same mi wchodziły do głowy. Nie wiem dlaczego, bo nauka języków obcych u mnie kulała – wspomina. – Również nauka biologii przychodziła z łatwością i miałem z niej prawie same piątki. Chłonałem tę wiedzę i szukałem jej również poza podręcznikami, gdyż wciąż mi było mało.

W tym celu penetrował zbiory biblioteki szkolnej, a potem biblioteki miejskiej w Biłgoraju, dobierając się do wszystkich pozycji, które traktowały o przyrodzie, w szczególności o owadach. W efekcie poznał dwa razy więcej owadów od tych, które obejmował wtedy program szkolny.

– Miałem już niemałą wiedzę o 500, może nawet 600 gatunkach owadów. Nie miałem jednak pojęcia, że wchodzi w świat, który tylko w samej Polsce jest reprezentowany przez kilkadziesiąt tysięcy gatunków! Zacząłem zbierać wszystko, co się trafiło – przedstawiciele niemal wszystkich rzędów owadów. Kolekcjonowałem motyle m.in. do pracy maturalnej, a technikum ukończyłem w 1973 r.



Odłowy owadów siatką entomologiczną (E.P.)

Po kilku latach przerwy, z końcem lat 70., gdy już pracował jako leśnik, wrócił do tego hobby. Zainspirował go swoimi zbiorami – pamięta to dokładnie – Grzegorz Wójcik, ówczesny leśniczy w Adampolu. W osadzie, w której mieszkał, była stolarnia. Tam wykonał własnoręcznie kilkanaście gablotek.

– Korzystając z takiej bazy i z zaledwie 150 entomologicznych szpilek – opowiada kolekcjoner – zgromadziłem około trzech tysięcy owadów, które wówczas wklejałem do swoich gablot.

W osadzie leśnej Kołaczce wiedzieli, że zajmuje się owadami. „O takim jednym, który biega z siatką za motylami” wiedział również Wiesław Piotrowski, pracownik Biura Urządzania Lasu w Lublinie.

– Przechodził wówczas z urzędowania do Poleskiego Parku Narodowego i zaproponował mi – wspomina Marek Hołowiński – żebym w tworzonym właśnie muzeum tego parku zostawił swoje gabloty z trzema tysiącami owadów. Oczywiście zgodziłem się. I tak moje zbiory stały się początkiem ekspozycji w Załuczu.

Na tę kolekcję trafiali goście Poleskiego PN. Byli wśród nich również ludzie nauki, entomolodzy z krwi i kości, którzy natychmiast zwrócili uwagę na imponujące zbiory.

– Najpierw przyjechał do mnie prof. Jerzy Gutowski z ówczesnego Zakładu Lasów Naturalnych Instytutu Badawczego Leśnictwa w Białowieży. Przeglądając mój zbiór w muzeum Poleskiego PN, stwierdził, że są tam takie gatunki z rodziny kózkowatych, dla których są w Polsce znane zaledwie dwa rekordy, czyli dwa odnotowane stanowiska.

Potem ukazała się szersza publikacja o chrząszczach Lubelszczyzny – wspólna z profesorem z IBL. Zbiory owadów w Poleskim PN zainteresowały również dr. Krzysztofa Pałkę z lubelskiego UMCS-u. Najpierw przyjechał sam, a potem z czołowymi w Polsce badaczami motyli, profesorami Jarosławem Buszko z Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu i Januszem Nowackim z obecnego Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

– Tak się zaczęły moje kontakty z wielkim światem nauki. Wtedy byłem zwyczajnym zbieraczem owadów, ale ukierunkowano moje działania tak, żeby lepiej służyły polskiej entomologii – zwierza się podleśniczy. – Dostałem od nich na początek kilka gablot. Przywieziono mi też, w formie prezentu, m.in. książkę „Wir bestimmen Schmetterlinge” do rozpoznawania większych motyli, występujących w Europie Środkowej. Wypożyczono też agregat prądotwórczy, pomocny do łowienia tej grupy owadów. Pokazano, jak się poprawnie preparuje owady.

Efekty tych niecodziennych kontaktów leśnika, entomologa i kolekcjonera w jednej osobie, której zbiory wzrosły do 25 tysięcy okazów, z rasowymi lepidopterologami – znawcami motyli – były równie niezwykle. W poważnych pismach naukowych zaczęły się ukazywać kolejne publikacje dotyczące motyli, których współautorem był Marek Hołowiński. Takich prac podleśniczy z Macoszyna ma na swoim koncie już 24!



Jedna ze 122 gablot z okazami motyli (E.P.)

Współpracujący z podleśniczym naukowcy oceniają, że jego zbiór jest pod wieloma względami nieoceniony. Po pierwsze obejmuje bardzo określony obszar – Lasy Sobiborskie, rozciągające się między Włodawą, Chełmem, Bugiem i Poleskim Parkiem Narodowym, a więc teren, który był dotąd białą plamą na entomologicznej mapie Polski. Dziś dzięki Markowi Hołowińskiemu stał się – pod względem wiedzy na temat występujących tu motyli – jednym z najlepiej poznanych w naszym kraju.

– W swoim zbiorze mam osiem nowych gatunków fauny polskiej, w których odkryciu miałem swój udział. Potem entomolodzy, odnosząc się do innych pozycji na ten temat w literaturze, zredagowali wspólne opracowania. Po polsku i po angielsku.

W tym miejscu podleśniczy podaje konkretne przykłady. Otóż ma w swoich zbiorach gatunek motyla (*Xylomoia graminea*), który profesor Janusz Nowacki podał jako nowy dla Europy. Wcześniej ten motyl był znany i opisany w dolinie Amuru, na Zabajkalu.

Inny przykład. Jak twierdzi podleśniczy, jest taki gatunek motyla z rodziny *Nolidae*, o łacińskiej nazwie *Nycteola siculana*, z którego znakomity badacz duński, Michael Fibiger, wyodrębnił drugi bliźniaczy gatunek. Motyla *Nycteola svecicus* w 1941 r. opisał wprawdzie Bryk, ale status gatunku nie był pewny.

– Duńczyk potwierdził, że motyl ten występuje tylko na obszarze krajów nadbałtyckich jako relikw – opowiada Marek Hołowiński. – Nad Bałtykiem jednak znajdowano pojedyncze okazy, a ja w Lasach Sobiborskich obserwowałem w ciągu jednej nocy po kilkanaście egzemplarzy. Dlatego z profesorem Buszko zajęliśmy się tym gatunkiem bliżej. Wyhodowaliśmy go z zebranych gąsienic, żeby poznać stadia preimaginalne, biologię motyla i będzie na ten temat duża publikacja.

Z siatką i agregatem

W jaki sposób podleśniczy łowi okazy motyli, wzbogacając wiedzę entomologiczną naszego kraju, a nawet Europy? Marek Hołowiński odpowiada, że jego „sezon na owady” trwa od kwietnia do października; ma na odłowy około 30 tygodni. Czasami w jednym tylko roku poświęca na nie blisko 30–40 nocy, odławiając motyle głównie na światło za pomocą agregatu.

Kiedyś używał siatki entomologicznej; biegał z nią za motylami i ćmami dziennymi po łąkach, bagnach i lasach. Potem przerzucił się na nocne łowienie za pomocą światła, wabiąc owady na przykład fermentującymi owocami: jabłkami, gruszkami czy śliwkami.

Marek Hołowiński ze swoim pełnym wyposażeniem do nocnych odłowów: agregatem prądotwórczym, torbami na akcesoria i ekranem z żarówką (E.P.)



Czasami – do odłowów bardzo konkretnych gatunków – stosuje feromony płciowe, czyli substancje zapachowe produkowane przez samice i zwabiające samce.

Nocne odłowu traktuje w sposób szczególny. Sprzęt, który rozstawia na leśnej polanie nad rzeką, w pobliżu bagien, robi na przygodnych obserwatorach niezwykle wrażenie. I trudno im odgadnąć, do czego może służyć. Najpierw na stelażu wielkości bramki do piłki ręcznej rozpina wielgachną płachtę białego płótna – rodzaj ekranu. Potem zawiesza nad nią żarówkę, zwykle 250-watową, którą zasila specjalnym agregatem prądotwórczym.

– Mój agregat – japońską hondę – kupiłem prawie za trzy tysiące złotych. Waży około 20 kilogramów, ma trzylitrowy zbiornik paliwa, które wystarcza na 6–7 godzin świecenia, a więc praktycznie na całą noc – podaje szczegóły dotyczące tej części swojego warsztatu pracy.

W przeszłości rozpościarał ekran na podwórku, przy domu. Potem, aby łowić owady również w innych miejscach, korzystał z uprzejmości kolegów leśników albo sąsiadów. Obecnie ustawia go z dala od domów.

Gdy motyle obsiadają ekran, ogląda je, wybierając najpierw owady mu znane, a potem pozostałe, których nie rozpoznaje, i zabiera do domu, żeby je oznaczyć. Na głowie mocuje lampkę czołową, chce bowiem widzieć dokładnie owady siadające na nieoświetlonej stronie ekranu.

– Wypatrzone osobniki – odstawia kulisy swoich łowów – wkładam do probówki lub słoiczek z tamponem na pokrywce, nasączonym octanem etylu – substancją usypiającą. Słoiczek zakręcam, a gdy motylek spowalnia swoje ruchy, identyfikuję go. Kiedy się wybudzi, to jeśli już mam taki okaz, uwalniam go albo – jeśli nie mam – przeznaczam do preparowania.

Swoje nocne łowy wykonuje czasami w niecodziennym towarzystwie. Bywa, że w maju ekran zaczynają obsiadać setki chrabąszczy i wtedy w krótkim czasie staje się brązowy. W ślad za owadami lecącymi do światła pojawiają się ich stali amatorzy – nietoperze, dla których łowisko podleśniczego to bodaj najlepsza, na jaką trafiają w życiu, stołówka.

– Ale nietoperze to nie jedyni moi goście – opowiada Marek Hołowiński. – Wraz z nimi pojawiają się, sunąc cichym, ślizgowym lotem, lelki kozodoje, czasami sowy. Ziemia też nie jest wolna od amatorów owadów zwabionych światłem. Przychodzą do mnie gryzonie, trafiają się również gady, na przykład zaskroniec.

Kiedyś, a było to w pobliżu Bugu, usłyszał za ruszającym się dziwnie ekranem jakieś chrupkanie. Okazało się, że to mały lisek wyłapywał największe ze zwabionych ciem. Miewał też inne przygody.

– Innym razem zainstalowałem się w starym sadku przy opuszczonej osadzie leśnej. Włączyłem światło, łowię motyle, a tu pojawia się nagle patrol Straży Granicznej. Z auta wysiada dowódca, patrzy na mnie i mówi: „To pan, panie Marku? A ludzie mi donieśli, że tu coś dziwnego się dzieje. Że chyba jacyś szpiedzy się pojawili, a może nawet wylądowało UFO, bo widać z daleka taką dziwną poświatę”.

120 gablot

Z tych łowów pochodzi większość okazów, przechowywanych w ponad 120 gablotach, które są wsunięte do czterech szaf. Jest ich więcej niż 25 tysięcy, w tym ponad 2500 gatunków motyli i blisko 2000 chrząszczy z początków jego przygody z entomologią. Podleśniczy zbierał je przez bez mała 30 lat. To jeden z największych w Polsce prywatnych zbiorów owadów. Mój rozmówca zaznacza, że są również w gablotach okazy motyli chronionych, ma bowiem pozwolenie na ich odławianie i preparowanie.



Przy tak zwanym rozpinadle (E.P.)

Zbiory są dobrze zabezpieczone również przed innymi owadami, które mogłyby je... spałaszować. Markowi Hołowińskiemu zdarzył się w przeszłości przypadek, o którym chciałby jak najszybciej zapomnieć. Otóż któregoś razu w jego gablotach, wtedy jeszcze niezbyt dobrze zabezpieczonych, zagnieździły się mrzyki.

– To takie chrząszczyki – wyjaśnia mój gospodarz – które w naturze rozwijają się na różnych odpadkach spożywczych, w ptasich gniazdach, bo chętnie zjadają pióra, włosy, sierść. Zbiory spreparowanych owadów to dla nich też łakomy kąsek. Kiedyś bez przerwy miałem z tym problem. Gabloty nie były szczelne i larwy albo chrząszcze mrzyka dostawały się do środka i wyjadały moje zbiory. Teraz nie mają na to szans; gabloty są już precyzyjnie uszczelnione.

Wśród tych tysięcy okazów znajdują się gatunki opisane jako zupełnie nowe dla polskiej fauny albo gatunki niezwykle rzadkie w naszym kraju. Jeden z okazów, którym Marek Hołowiński się szczyci, jest na przykład *Eublema parva* – malutki motylek o półtoracentymetrowej rozpiętości skrzydeł, imigrant z południowej Europy.

– Tego niespotykanego w Polsce przedstawiciela sówkowatych złowiłem dwa lata temu w Lasach Sobiborskich – opowiada podleśniczy. – Kiedy tylko dostał się w moje ręce, od razu wiedziałem, że to coś niezwykłego. *Eublema parva* występuje

w Basenie Morza Śródziemnego, również nad Morzem Czarnym. Tu do Polski musiały go przynieść prądy powietrzne. Traf chciał, że usiadł na mój ekran. Ale w naszym kraju raczej nie ma szans na przeżycie.

Marek Hołowiński tłumaczy dalej, że ten motyl raczej u nas się nie zadomowi, bo nie ma tu roślin żywicielskich, są zbyt niskie temperatury. Ale klimat się zmienia, ociepla, nie można więc wykluczyć, że motylek, którego złowienie w Polsce opisano niedawno w „Polskim Piśmie Entomologicznym” przez prof. Janusza Nowackiego, jest zwiastunem zmian klimatycznych.

Modraszek i mrówka

Na pytanie, dlaczego od pewnego czasu skupił się na motylach, a zaraz potem zdecydował, że będzie łowił, preparował i opisywał tylko wybrane rzędy motyli, odpowiada, że – jak to w życiu bywa – również jego praca z owadami wciąż ewoluje.

Motyle go zafascynowały od początku nie tylko dlatego, że są piękne, ulotne i delikatne. Jest ich fanem, bo są wśród tej grupy owadów wyjątkowo liczne przykłady zachowań, wobec których baczny obserwator przyrody nie może przejść obojętnie. I próbuje dociec – „Dlaczego?”. Dlaczego na przykład taki monarcha, motyl wędrowny, potrafi przelecieć kilka tysięcy kilometrów z Kanady do Meksyku, a jego potomstwo wraca stamtąd tą samą drogą?

Żeby nie szukać tak daleko, Marek Hołowiński podaje inny przykład z Polski, dotyczący współżycia motyli, konkretnie modraszków z mrówkami. Motyle te, szczególnie ich gąsienice, są smacznym kąskiem dla owadzich drapieżników, zaczęły więc wykształcać strategię przetrwania. Na przykład gąsienice modraszków wytwarzają rodzaj słodkiej wydzieliny, która przyciąga mrówki. Zwabione tą substancją, zabierają gąsienice do mrowiska. Tam je ukrywają i żywią całą zimę. A wiosną i latem wylęgają się z poczwerek motyle, które odfruwają w siną dal.

– „Perfidia” modraszków polega na tym, że chroniąc się u mrówek, zjadają ich jaja i larwy lub są karmione jak własne potomstwo. Szczęście, że mają takich obrońców, gdyż bez nich nie miałyby szans na przeżycie. Kiedy już odlecą z mrowiska, składają jaja na takich roślinach jak krwiściąg czy goryczka wąskolistna. Z jaj lęgną się gąsienice, które zjadają kwiaty tych roślin. W pewnym momencie gąsienica modraszka schodzi na ziemię i... wydziela wabiącą substancję, czekając cierpliwie na pomoc mrówek. Czy ten rodzaj relacji między motylem i mrówką, który nauka nazwała myrmekofilią – pointuje podleśniczy – nie jest fascynujący?

**Marek Hołowiński
z próbkami
na odlawiane motyle;
na czole ma założoną
latarkę do oglądania
ekranu od strony
nieoświetlonej (E.P.)**



Wracamy do ewolucji gromadzenia zbiorów. Gdy pasja kolekcjonerska Marka Hołowińskiego skupiła się na motylach, najpierw zainteresował się najbardziej pospolitymi ich przedstawicielami – motylami dziennymi, bo były najłatwiejsze do zdobycia. W miarę upływu czasu, gdy zbiór się rozrastał, zaczął poszukiwać nowych gatunków, co wiązało się ze zmianą miejsc połowów. Szukał też motyli pod kątem roślin żywicielskich, stanowisk i siedlisk. Później skupił się na motylach nocnych, intensyfikując połowy z agregatem i ze światłem.

Nawet nie zauważył, jak w pewnym momencie, nie rezygnując z łowów, zaczął motyle... hodować. A rozpoczął tę hodowlę od konkretnej grupy motyli – przezierników.

– Gąsienice przezierników żerują wewnątrz roślin: w korze, pod korą, tak jak niektóre chrząszcze. W odpowiednim momencie pozyskuję więc fragment żerowiska z gąsienicami i zapewniam im w domu takie same warunki, jakie mają w naturze – opowiada podleśniczka. I podkreśla, że larw trzymany w pojemniku nie karmi. Jedzą to, co mają. Hoduje też gąsienice żerujące na liściach. Trzeba im podawać świeży pokarm z roślin żywicielskich.

– Taka gąsienica pozostawia odchody, które pleśnieją, żeby więc uzyskać sukces hodowlany, trzeba te odchody usuwać. W pojemniku z gąsienicami musi być czysto, sucho. W pewnym momencie wylęga się motyl. Wtedy go usypiam, a potem preparuję.

Podleśniczy prowadzi również hodowlę motyli z min – są to żerowiska gąsienic wewnątrz blaszki liściowej. Robi to zwykle jesienią. Przebywając w lesie, obserwuje liście. Ma zawsze przy sobie torebkę foliową i jeżeli wypatrzy „zaminowane” liście z lokatorami, zabiera je do domu. Potem sortuje i wkłada do specjalnie przygotowanych pojemników.

– Około Bożego Narodzenia zaczynają mi się lęgnąć pierwsze motyle. Te „żniwa” trwają zwykle do marca. Zdarza się, że wtedy udaje mi się spreparować ponad tysiąc motyli. Po wylęgnięciu usypiam je. Małe preparuję pod mikroskopem. A wszystkim muszę porozpinać skrzydła, żeby się nadawały do oznaczenia. To nie może być okaz z podkurczonymi skrzydłami, bo wówczas oznaczanie jest bardzo trudne.

Po uspieniu nabija okaz na szpilkę, układa w specjalnym drewnianym prawidełku, tak zwanym rozpinadle, po czym igłami entomologicznymi rozciąga skrzydła, opinając je później jeszcze paskami pergaminowymi, żeby miały taki sam wygląd umożliwiający porównywanie.

– Po rozpięciu motyla spisuję jego dane: gdzie i kiedy został znaleziony, na jakiej roślinie żywicielskiej i kiedy się wyląkł. Jeśli był złowiony, podaję miejsce i datę łowów. Sam moment oznaczania bywa najbardziej frapujący, chociaż już przy ekranie zwykle wiem, co złowiłem. W domu weryfikuję oznaczenie, opierając się na dostępnej literaturze.

Książkowe mądrości

Wraz ze zbiorami owadów rośnie również w szybkim tempie liczba książek, które podleśniczy gromadzi.

– To wydawnictwo – pokazuje książkę Manfreda Kocha „Schmetterlinge” – wprowadziło mnie w świat entomologii profesjonalnej. Przed piętnastu laty była to najlepsza pozycja do oznaczania motyli większych, łącznie z ich gąsienicami.

Na tytułowej stronie jest krótka dedykacja z października 1996 r.: „Koledze Markowi Hołowińskiemu na pamiątkę, z życzeniami dalszej owocnej współpracy, od lepidopterologów środowiska poznańskiego”, z podpisami pięciu osób.

– Złożyli się i kupili tę bardzo drogą książkę na giełdzie w Berlinie. Nie stać mnie było na nią. Był to dla mnie wspaniały prezent – wyjaśnia dalej podleśniczy. – A zaczynałem swoją przygodę z motylami od książeczki z 1963 r. „Poznajemy motyle” czeskiego



Wraz ze zbiorami owadów rośnie również w szybkim tempie liczba książek w domowej bibliotece (E.P.)

autora Jarosława Tykacza. Służyła mi, gdy pisałem pracę maturalną w Technikum Leśnym. Aż się nie chce wierzyć, że za dwa lata stuknie jej pół wieku!

Kolejne dzieło, które pokazuje Marek Hołowiński, to „Motyle Polski – atlas, część I” Jerzego Heintzego z 1978 r.

– Niestety nie doczekałem drugiego tomu tej pozycji, bo autor zmarł. Ogromna szkoda. Jerzy Heintze był wielkim, polskim hodowcą motyli, pięknie je rysował, łącznie z gąsienicami.

Książka, do której dziś podleśniczy sięga najczęściej, to „Atlas motyli Polski” Jarosława Buszki i Janusza Masłowskiego. Dzieło składa się z trzech tomów: „Motyle dzienne (I), „Prządki, zawisaki i niedźwiedziówki” (II) oraz „Falice, wycinki i miernikowce” (III).

– A w tej pozycji profesora Janusza Nowackiego napisanej w języku angielskim pod tytułem „Noctuidae of Central Europe” autor zamieścił moje okazy, pochodzące z Lasów Sobiborskich. Cztery motyle na tablicy 7. i dwa na tablicy 10. są z mojego zbioru, ja je złożyłem. Bardzo się cieszę z tej publikacji, bo jest w obiegu literatury europejskiej.

Dwie półki zajmują numery „Wiadomości Entomologicznych” i „Polish Journal of Entomology”. W wielu z nich są artykuły, których współautorem jest również Marek Hołowiński.

Na koniec tego książkowego przeglądu mój gospodarz sięga po jedną z najnowszych pozycji – książkę Marii Beiger „Owady minujące Polski. Klucz do oznaczania...”, mówiąc, że to jego ostatni „modlitewnik”, do którego zagląda najczęściej.

W roli leśnika

Las zna od wczesnego dzieciństwa i można powiedzieć, że od podszewki.

– Urodziłem się w lesie – wspomina dawne czasy. – Tato Kazimierz był sekretarzem w Nadleśnictwie Kołacze. W Lasach Państwowych przepracował 47 lat. Mieszkaliśmy w osadzie z kilkunastoma innymi rodzinami leśników i chcąc nie chcąc, nasiąkałem tą profesją. Rozmowy z nadleśniczym, inżynierem nadzoru, leśniczymi były na porządku dziennym, bo byli to nasi sąsiedzi.

Sam chętnie słuchał opowieści o lesie i żyjących w nim zwierzętach. U sąsiadów widywał preparowane okazy ptaków i owadów. Bardzo lubił chodzić do pobliskich drzewostanów

i obserwować, co się tam dzieje. Gdy do osady, w której mieszkał, przybyli na praktyki uczniowie Technikum Leśnego, podjął decyzję, że też pójdzie do tej szkoły.

– Miałem wtedy prawie 14 lat, a w głowie pomysły na różne profesje. Obecność praktykantów sprawiła, że ostatecznie zdecydowałem się na Technikum Leśne, bo imponowali mi oni swoją wiedzą, umundurowaniem. To przesądziło o wyborze zawodu.

Po skończeniu Technikum Leśnego w Biłgoraju nie dostał się na studia (przez matematykę, która była jego piętą achillesową), poszedł więc na staż w Nadleśnictwie Kołaczce. Potem pracował w wielu leśnictwach, poznając niuanse pracy w tym zawodzie. Jako leśnik ma za sobą prawie 37 lat aktywności zawodowej, w znacznym stopniu na stanowiskach leśniczego.

Po reorganizacji nadleśnictwa zaproponowano mu stanowisko podleśniczego w leśnictwie Macoszyn – propozycję przyjął, bo najbardziej kręczą go prace terenowe. Czynności biurowych nie lubi, woli konkretne zajęcia w lesie.

– W pracach leśnych pociąga mnie wszystko, od zalesień poczynając – a dokładniej od rozmieszczenia składu gatunkowego zalesień na gruncie – na pozyskaniu kończąc. Lubię też wyznaczać trzebieże, bo wykonując je, też trzeba się wykazać znajomością lasu. Tu nie ma schematu, każdy kawałek lasu jest niepowtarzalny. Trzeba mieć oko, żeby zdecydować, które drzewa wyciąć, a które zostawić, bo właśnie te wybrane mają zadatki na dorodne.



„W pracach leśnych pociąga mnie wszystko...” – wyznaje Marek Hołowiński (E.P.)

Gdy przychodzi pozyskanie, a z nim manipulacja, czyli wyrabianie poszczególnych sortymentów ze ściętych drzew, też jest w swoim żywiole. Lubi te czynności wykonywać przy sośnie, która jest prosta. Ale pociągają go również gatunki liściaste, bo tam z jednej kłody mogą być dwa sortymenty, na przykład sklejka z odziomka, a deski z reszty.

– Jeśli się zna normy, proces produkcyjny i oczekiwania odbiorcy, tutaj też można być mistrzem, a nie znudzonym swoją robotą rutyniarzem, i dopasować kłodę do potrzeb.

Kiedy patrzy na zmiany zachodzące w naszym leśnictwie, przychodzi mu do głowy różne refleksje. Dla niego las to zbiorowisko żywych istot, które rodzą się, żyją, rosną i umierają. Jeżeli ekolodzy upierają się, żeby coś chronić, to muszą też pamiętać, że jeśli się starodrzewu nie wykorzysta, on i tak umrze. Może więc jednak lepiej te drzewa pozyskiwać? W lesie powinno być wszystko: odnowienia, halizny, bagienka, oczka wodne, drzewa przestojowe, polany śródleśne, remizy, zwierzyna, fauna i flora jak najszerszej reprezentowane. Bo siła lasu tkwi w różnorodności.

W oczach profesorów

Marek Hołowiński wielokrotnie podkreśla, że znajomość owadów bardzo pomaga w hodowli i ochronie lasu, praca leśnika jest więc idealna dla takich jak on entuzjastów entomologii.

A jak te relacje widzą współpracujący z podleśniczym profesorowie tej dziedziny nauki? Wspomniany prof. Jarosław Buszko z toruńskiego UMK postrzega Marka Hołowińskiego jako osobowość niezwykłą i to zarówno ze względu na znajomość wybranych grup motyli, jak i sam charakter, który tak bardzo sprzyja i pomaga innym.

– Najpierw zajmował się dużymi motylami, a potem, już jako leśnik – mówi profesor – motylami ksylofagicznymi, żerującymi w drewnie, głównie przeziernikami. Stał się w tej dziedzinie jednym z najlepszych specjalistów w Polsce.

Zdaniem entomologa z Torunia być może podleśniczy ma pewne braki w monitorowaniu literatury, w szczególności obcojęzycznej, ale w doświadczeniu terenowym nie ma sobie równych. Gromadzi okazy z rzędu *Lepidoptera*, których jest w Polsce 3200 gatunków. Żeby je poznać, trzeba stworzyć zbiór porównawczy, a podleśniczy z Macoszyna taki ma.

– Jego zbiór jest kompletny, ładnie prowadzony i do tego pochodzi z jednego miejsca. To zapis składu fauny motyli, występujących w określonym miejscu i danym przedziale

czasowym. I dlatego ma ogromną wartość. Jest nieoceniony. To jedna z kilku kolekcji w Polsce o takich walorach. Za 50–100 lat będzie najlepszym wskaźnikiem, podstawą do oceny, jak nasza cywilizacja eliminuje jedne gatunki motyli, promując inne.

Profesor Jarosław Buszko jest również oczarowany osobowością Marka Hołowińskiego.

– To człowiek wyjątkowo otwarty na współpracę, również kontakty z innymi ludźmi, do tego bardzo życzliwy. Jest wiele osób, również w kręgu ludzi zajmujących się owadami, zamkniętych, strzegących zazdrośnie tego, co mają. A on nie czyni ze swoich zbiorów warowni i bardzo wielu osobom pomaga. Na przykład na forum entomologicznym w Internecie identyfikuje gatunki, koryguje błędy. Jego doświadczenie i wiedza służą bardzo wielu osobom...

Profesor Janusz Nowacki z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu ceni podłesniczego najbardziej za to, że jego zapał w gromadzeniu zbioru nie przemija, lecz nieustannie trwa. Mówi krótko: Marek Hołowiński nie jest w entomologii profesjonalistą, jest amatorem, ale zajmuje się owadami jak wzorcowy profesjonalista. Ma przyjemność obcowania z owadami, dar poznawania, który istnieje u rasowego badacza.

– Mamy z Markiem Hołowińskim trzy prace. Najważniejsza to monografia o sówkowatych Lasów Sobiborskich na obszarze polskiego Polesia. Opublikowano ją w oddzielnym zeszycie „Wiadomości Entomologicznych” – czasopiśmie Polskiego Towarzystwa Entomologicznego. Dowiedliśmy w tej monografii, że w Lasach Sobiborskich jest 340 gatunków motyli sówkowatych, co jest porównywalne z ich liczbą w Puszczy Białowieskiej. Bez zaangażowania leśnika z Macoszyna nie byłibyśmy w stanie tego wykazać – kończy prof. Janusz Nowacki.

Cel – 40 tysięcy okazów!

W 2011 r. Marek Hołowiński prowadził obserwacje zlecone mu przez Polską Akademię Nauk, licząc motyle na ściśle określonych transektach, a konkretnie gatunki objęte Programem Natura 2000. To jest powtórka z inwentaryzacji w 2007 r., sprawdzian, co się w tym czasie zmieniło.

Liczył motyle na czterech transektach: w Nadleśnictwie Chełm, na torfowisku Sobowice, gruntach prywatnych okolic Chełma i w okolicach Wisznic. Prace terenowe ma już za sobą. Teraz wykonuje prace kancelaryjne pod kierunkiem dr. Marcina Sielezniewa z Uniwersytetu w Białymstoku. Przypuszcza, że wnioski, wynikające z tego liczenia, będą bardzo interesujące.

– Kolejne zadania, które mi zleca nauka, bardzo mnie wciągają, ale leśnictwo – zwierza się na koniec Marek Hołowiński – zawsze będzie dla mnie na pierwszym miejscu. Nie wyobrażam sobie życia bez pracy w lesie. Niektórzy widzieliby może we mnie kogoś, kto na stałe siedzi w nauce, ale ja chyba do niej za bardzo nie pasuję. Nie mógłbym uczyć studentów, szperać w literaturze, bo to się robi w zamkniętych pomieszczeniach, kojarzy się z pracą w biurze. A ja najlepiej się czuję w terenie, na otwartej przestrzeni wypełnionej życiem, naturą, lasem. I mam nadzieję, że tam właśnie, łowiąc owady, dopnę swego: zgromadzę zbiór owadów, głównie motyli, który będzie miał 40 tysięcy okazów...

Marek Hołowiński urodził się w 1954 r. w Wereszczynie. Jego ojciec pracował w biurze nadleśnictwa, matka była nauczycielką. W 1959 r. po przeniesieniu siedziby nadleśnictwa do miejscowości Kołacze zamieszkał z rodziną w tamtejszej osadzie leśnej.

Absolwent Technikum Leśnego w Biłgoraju z 1973 r. W TL interesowały go głównie botanika, zoologia, szczególnie entomologia leśna. Zbiór owadów do jego pracy maturalnej obejmował ponad 100 gatunków motyli.

Zdawał na Wydział Leśny SGGW w Warszawie, ale się nie dostał. Poszedł więc na staż do Nadleśnictwa Kołacze. Po reorganizacji został podleśniczym w Nadleśnictwie Włodawa. Pracował w wielu leśnictwach i przy okazji na co dzień obserwował rośliny i zwierzęta, również owady, które starał się oznaczyć.

Brak możliwości kupna szpilek oraz innych akcesoriów entomologicznych trochę go zniechęcił. Ale gdy zamieszkał z żoną w Adampolu, a u leśniczego Grzegorza Wójcika zobaczył zbiory owadów, znów obudziła się w nim pasja poznawania świata owadów. I zaczął zbierać chrząszcze, motyle, inne insekty.

W 1985 r. objął leśnictwo Brus, rok później przeniósł się do Nadleśnictwa Sobibór na stanowisko leśniczego leśnictwa Macoszyn. W wolnych chwilach nadal łowił, preparował, poszerzał swoją entomologiczną wiedzę. Jego zbiór rozrósł się do ponad 3000 okazów. Wtedy przyjął propozycję wystawienia swej kolekcji w muzeum przy Poleskim Parku Narodowym. W tym czasie leśnikami z Macoszyna zainteresowali się profesjonalni entomolodzy. Poznał wielu naukowców, w tym profesorów. Ukierunkowany przez specjalistów, rozpoczął pracę nad obecnym kształtem zbioru, który liczy około 25 000 okazów, prezentujących ponad 2500 gatunków motyli i blisko 2000 chrząszczy z początków jego przygody z entomologią.



Urodzony odkrywca

Co siedzi w ludziach, którzy jak ognia unikają rutyny? Ciekawość świata, niepokój twórczy, ciągle poszukiwanie czegoś nowego? Pewnie wszystko naraz, tak jak w wypadku Jarosława Krawczyka, na co dzień rzecznika prasowego RDLP w Białymstoku, i jego nietuzinkowych zainteresowań.

Jarosław Krawczyk
– leśnik odkrywca (E.P.)

O tym, że szukając swojego miejsca na ziemi, będzie wciąż w podróży, dał sygnał już w podstawówce, którą skończył w Warszawie – swoim rodzinnym mieście. Wtedy myślał o szkole aktorskiej, pracy na scenie. I nie były to tylko czcze marzenia. Swoje możliwości sceniczne sprawdzał pod okiem Haliny i Jana Machulskich, chodząc na zajęcia teatralne do Teatru Ochoty. Pamięta do dziś, jak kazano mu powtarzać zdania łamiące języki, na przykład: „Koszt poczt w Tczewie” albo „Strzyga strzygła skrzydła szczygła”.

Między lasem i sceną

– Jestem z pokolenia Krzyśka Ibisza, Edyty Jungowskiej, a Kaśka Szczot – później Kayah – chodziła do mojej szkoły. To między innymi z nimi uczyłem się na te zajęcia – opowiada – ale po podstawówce wybrałem Technikum Leśne w Białowieży. Może wtedy miałem chęć wyrwania się z domu, popisania się przed kolegami oryginalnym wyborem? Nie wiem...

W Białowieży wszystko było dla niego nowe, trudno przyswajalne. Nie miał specjalnej potrzeby bycia w lesie. Utwierdzał się też w przekonaniu, że ci z miasta nie bardzo się sprawdzają jako leśniczowie. Ale siłą rozpędu tę szkołę skończył, z przeświadczeniem, że jeśli pójdzie do pracy w lesie, to się w niej zagubi. Potrzebował czegoś więcej. Stąd wziął się pomysł studiowania. Ponieważ chęć pracy na scenie wciąż w nim drzemała, zmierzył się z egzaminem wstępnym do szkoły aktorskiej w Łodzi. Zdał i został przyjęty.

– Byłem już nawet na obozie roku zerowego pod Zieloną Górą – wspomina Jarosław Krawczyk – gdzie mieliśmy zajęcia z Ryszardą Hanin, Jerzym Bończakiem, Janem Kobuszewskim, ale mimo że otarłem się o te sławy, z aktorstwa zrezygnowałem. Pomyślałem sobie, że jest to zawód, w którym trzeba walczyć. A ja nie mam natury wojownika.

Ponieważ termin egzaminów na studia leśne minął, zapisał się na obóz Ochotniczego Hufca Pracy i jako junak wykonywał polecone mu zadania w Pracowni Fitopatologii Wydziału Leśnego SGGW. Po roku został jego studentem.

Na studiach starał się zaliczać wszystko w terminie. Jednemu z przedmiotów – fotointerpretacji zdjęć lotniczych, wtedy w Polsce dziedzinie nowej, raczkującej – dał się jednak uwieść. Gdy zobaczył w gabinecie profesora Jerzego Mozgawy fotointerpretopskop – urządzenie do odczytywania zdjęć lotniczych – coś nim zaiskrzyło.

W trzech wymiarach

– Ta niemiecka „maszyna” z optyką Zeissa dawała obraz trójwymiarowy. Gdy patrzyłem przez specjalne okulary na pary zdjęć stereoskopowych, zrobionych z samolotu, widziałem obraz w trzech wymiarach. I miałem wrażenie, że lecę nad koronami drzew, oglądam je z góry. To mnie oczarowało. Dlatego z fotointerpretacji zdjęć lotniczych napisałem pracę magisterską.

Promocja lasów, leśnictwa
i leśników. Jarosław
Krawczyk podczas
obchodów Dni Ziemi
na Polach Mokotowskich
w Warszawie (E.P.)



Po studiach trafił do Nadleśnictwa Pisz. Mówi, że to było bardzo fajne nadleśnictwo, ze świetnym nadleśniczym – Ludwikiem Śliwką, ale czegoś mu tam brakowało.

– Wyjeżdżałem do lasu, wyznaczałem trzebieże, odbierałem drewno, robiłem szacunki brakarskie... Wszystko wykonywałem jak należy, ale miałem wrażenie, że stoję w miejscu. Ta praca była nierozwojowa. Czułem, że to nie jest to, czego oczekiwałem, że pozostaję takim leśnikiem z miasta.

Kiedy rozglądał się za czymś innym, w RDLP Białystok wprowadzano SILP, co wiązało się z fotointerpretacją zdjęć lotniczych. To był znakomity moment, aby swoje pasje i umiejętności – na fali zainteresowania informatyką – wykorzystać. I tak się stało. Pięć lat wdrażał SILP w regionalnej dyrekcji białostockiej i nie tylko tam. Jako członek zespołów zadaniowych dyrektora generalnego Lasów Państwowych współtworzył standard mapy numerycznej i projekt pilotażowy zastosowania GIS w regionalnych dyrekcjach na przykładzie RDLP w Łodzi. Zanurzony w tę problematykę po uszy, pomyślał sobie, że może tu właśnie warto poszukać tematu na pracę doktorską.

– Ówczesny dyrektor replikował na taki pomysł krótko: „Jarek, doktorat wcale nie zapewnia awansu. Po co ci to?”. A ja mu odpowiadałem: „Dla siebie” – wspomina o pierwszych przemyśleniach do pracy doktorskiej.

Nie posłuchał. Za to zapamiętał słowa swojego recenzenta, prof. Tomasza Zawily-Niedźwieckiego, obecnego szefa Instytutu Badawczego Leśnictwa, który mu kiedyś powiedział: „Doktorat to pół godziny tremy, czasami pół godziny wstydu, a potem tytuł na całe życie”. Czy to prawda? Życie pokaże. A swoje osiągnął, bo obronił pracę doktorską, w której zaprezentował, jak można wykorzystać system informacji przestrzennej w ochronie przeciwpożarowej lasów na przykładzie Nadleśnictwa Dojlidy.

W głąb Drugiej Rzeczypospolitej „Leśnej”

Gdyby nie ten doktorat, prawdopodobnie nie byłoby książki, którą wydało Centrum Informacyjne LP, pokazującej w niezwykle i bardzo nietypowy sposób kawałek historii leśnictwa polskiego, konkretnie – okresu międzywojennego.

– „Przejrzyj stare gazety, może tam znajdziesz opisy pożarów lasów, które się zdarzały w przeszłości. Przydadzą się do twojej pracy” – podpowiedział mi prof. Janusz Faliński, dziadek moich synów. Za jego radą poszedłem do Książnicy Białostockiej i zacząłem wertować przedwojenne gazety. To, co znalazłem, przeszło moje wszelkie oczekiwania.



Przedwojenny „Dziennik Białostocki” – kopalnia wiedzy na temat ówczesnego życia politycznego i gospodarczego, w tym leśnictwa (J.K.)

Informacji o pożarach lasów wokół Białegostoku było sporo i Jarosław Krawczyk wzbogacił swoją pracę o fakty, które przedstawiali w swoich relacjach ówcześni dziennikarze. A gdy obronił doktorat, wrócił do Książnicy i zaczął od nowa przeglądać szpule mikrofilmów, pamiętał bowiem, że o lasach, leśnictwie i leśnikach pisano bardzo chętnie i dużo nie tylko przy okazji pożarów.

Prawdziwą kopalnią wiedzy na te tematy okazał się ówczesny „Dziennik Białostocki”, który wychodził bez przerwy w latach 1919–1939 i uchwycił się w całości przed wojenną zawieruchą. Po przewertowaniu blisko 50 mikrofilmów nasz wytrwały odkrywca zebrał 980 notatek i artykułów prasowych na tematy związane z leśnictwem. Dotyczyły nie tylko Białostocczyzny (w tym Puszczy Białowieskiej), ale całej Polski. Dziennik bardzo chętnie przedrukowywał teksty leśne z prasy centralnej i doniesienia ówczesnej PAT – Państwowej Agencji Telegraficznej.

Z nich to Jarosław Krawczyk złożył książkę pod tytułem „Lasy Drugiej Rzeczypospolitej w dawnych zapisach prasowych – wydarzenia zwykłe i niezwykłe”. Jak zauważa we wprowadzeniu do książki prof. Andrzej Grzywacz, ówczesne lasy i leśnictwo prezentowane jest we wszystkich odcieniach. Są tam informacje o zdarzeniach radosnych i żartobliwych, także dramatycznych i poważnych. Są też o sukcesach administracji

leśnej, o problemach ludzi lasu, o pożarach, kłusownictwie, defraudacjach, a nawet zabójstwach leśników. Są wreszcie ciekawostki przyrodnicze, relacje z polowań najwyższych dostojników państwowych w Puszczy Białowieskiej i materiały na temat ochrony przyrody przez leśników.

Ponad pół wieku drzemała w murach Książnicy Białostockiej wiedza o naszych lasach i ówczesnym leśnictwie. I pozostawałaby wciąż w archiwalnej drzemce, gdyby nie odkrywca naszej leśnej przeszłości. Dzięki niemu znalazła się w książce, do której teraz będzie miało dostęp wielu czytelników.

A dzięki notatce, na którą trafił Jarosław Krawczyk w jednym z numerów międzywojennego „Dziennika Białostockiego”, współcześni dowiedzą się także o tym, jak na krótko przed wybuchem wojny Herman Goering podarował prezydentowi Ignacemu Mościckiemu samochód myśliwski.

W roli detektywa

Każdą z notatek, znalezionych w tym dzienniku, Jarosław Krawczyk fotografował, a potem do nich wracał, wczytując się dokładnie w ich treść. Któregoś dnia przeglądał zdjęcia z mikrofilmów, na których były informacje z 1938 r. Zatrzymał się na krótkiej, ale niezwyklej notatce, opatrzonej tytułem: „Samochód myśliwski dla P. Prezydenta od Marsz. Goeringa”. Tekst był krótki: „Dnia 27 lutego został wręczony Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej samochód myśliwski jako dar od feldmarszałka Goeringa. Samochód został dostarczony przez delegację złożoną z pierwszego sekretarza ambasady niemieckiej, P. von Scheliha, w obecności radcy MSZ, P. Koziebrodzkiego”.

– Pomyślałem, że to ciekawa sprawa i warto ją poznać bliżej – opowiada mój rozmówca. – Intrygowało mnie, żeby sprawdzić, czy wiadomość jest prawdziwa i jaki konkretnie samochód Goering podarował Mościckiemu.

Jarosław Krawczyk zaczął szukać odpowiedzi na to pytanie najpierw w gremiach związanych z historią motoryzacji. W tym celu odwiedził Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach pod Warszawą, stołeczne Muzeum Techniki, także Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w warszawskich Łazienkach. Szukał śladów tego zdarzenia w biografii Mościckiego. Szperał w starych czasopismach w Bibliotece Narodowej. I dopiero w opracowaniu prof. Marka Kornata z Polskiej Akademii Nauk trafił na raport ambasadora RP w Berlinie, Lipskiego, z 24 sierpnia 1938 r., do ministra Becka. Lipski informował o przebiegu rozmowy z Goeringiem. W jednym akapicie napisał, że: „Goering powrócił do sprawy przysłanego do Warszawy, ofiarowanego



przez niego samochodu myśliwskiego dla Pana Prezydenta RP. W jego imieniu, jego adiutant Peter Menthe pojechał z szoferem do Warszawy i ofiarował samochód P. Prezydentowi”.

– Zobaczyłem czarno na białym, że to żadna kaczka dziennikarska, lecz prawda – opowiada Jarosław Krawczyk. – Ale żeby być jej w stu procentach pewnym, napisałem list do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, aby potwierdzili, że taka korespondencja faktycznie istnieje. Odesłano mi 17-stronicową kopię tego dokumentu. Zawarty w nim był cały fragment, który przytoczył prof. Kornat.

Informację o podarowanym samochodzie potwierdził podczas kwerendy w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. W znalezionym tam pod numerem 2855 dokumencie Stanisław Lubomirski z Ambasady RP w Berlinie pisze, że podczas ostatniego

Jarosław Krawczyk w Muzeum Motoryzacji w Warszawie (E.P.)

polowania w Białowieży feldmarszałek Goering przyrzekł ofiarować P. Prezydentowi samochód do używania w celach łowieckich. Goering poinformował ambasadora Lipskiego, że wóz jest gotów i chce go w najbliższym czasie przesłać do Warszawy. W kolejnym dokumencie odnalezionym w Archiwum Akt Nowych, piśmie kierowanym do ówczesnego ministra finansów RP, natrafił wreszcie – po ponadpółrocznym poszukiwaniu – na nazwę marki samochodu myśliwskiego. Był nim mercedes-benz. Poczł ogromną satysfakcję, ale...

– Brakowało mi jednak jeszcze jednego konketu, przysłowiowej kropki nad „i”, czyli modelu mercedesa, który nasz prezydent otrzymał. Napisałem więc do siedziby Mercedesa w Stuttgarcie i stamtąd otrzymałem odpowiedź, że mógłby to być mercedes-benz model G5, ale pewności i dowodu w archiwum dokumentów koncernu nie ma. Uparłem się i szukałem dalej.

Wtedy przypadkiem wyczytał gdzieś, że w 1994 r. w Ciechanowie była prezentowana wystawa pamiątek po prezydencie Mościckim, wypożyczonych z klasztoru na Jasnej Górze. Tam, w częstochowskim klasztorze, jego długie, momentami wręcz detektywistyczne poszukiwania, peregrynacje po wielu instytucjach, korespondencje z wieloma prywatnymi osobami i różnymi instytucjami dobiegły końca. I zakończyły się sukcesem. Upór i konsekwencja dochodzenia do prawdy sprawiły, że znalazł zdjęcie, na którym przebywający w Spale prezydent Mościcki wsiada do... samochodu marki Mercedes Benz, model G5.

– Trafiłem na nie w bibliotece oo. paulinów, oglądając ostatni wolumin fotografii prezydenta Mościckiego, udostępniony mi przez miejscowego ojca archiwariusza. Zapamiętam ten moment na całe życie. Patrzyłem na to zdjęcie jak urzeczony. Była godzina 11.15 – 9 lipca 2010 r. Z okna na dziedziniec słycać było jak przed dawnymi czasami chóralne śpiewy. A ja całą prawdę o podarunku Goeringa dla Mościckiego miałem już wtedy w garści – wspomina z przejęciem Jarosław Krawczyk.

W przestrzeni niewidomych

Na anons, który zachęcał do udziału w pokazie... audiodeskrypcji, trafił w jednym z tytułów lokalnej prasy cztery lata temu.

– Zaintrygowało mnie samo słowo i treść notatki, a w nim słowo „lektor” – opowiada Jarosław Krawczyk – bo miałem już za sobą doświadczenie wyniesione z pracy w Radiu Białystok. Chciałem być lektorem, chociaż wiedziałem, że nie udźwignę czasowo pracy w radiu.



Swoje pasje Jarosław Krawczyk realizuje m.in. w audiodeskrypcji, czytając napisane wcześniej przez siebie teksty dla niewidomych „oglądających” filmy (E.P.)

Poszedł więc tropem notatki do kina „Pokój”, w którym znalazł się wśród niewidomych i niedowidzących. To dla nich właśnie – wtedy bodaj pierwszy raz w Polsce – wyświetlano film pt. „Statyści” z tzw. skrypsem, czytany przez lektora. Polegało to na tym, że fragmenty filmu, pozbawione dialogów, były niewidomym opisywane słowami, by mogli się orientować, co jest „w obrazie”. Ta forma zbliżania filmu osobom, które nie widzą w ogóle albo widzą bardzo słabo, to właśnie audiodeskrypcja.

Pomyślał sobie wtedy, że jest to ciekawe, ważne i musi to zgłębić. Kiedy założona w Białymstoku przez niewidomych Fundacja Audiodeskrypcji ogłosiła nabór do warsztatów dla chętnych, którzy się chcą audiodeskrypcją zajmować, zgłosił się natychmiast. To była praktyczna nauka pisania skryptów, a potem ich czytania.

Wciągnęło go to i ma już za sobą kilka skryptów do filmów, m.in. do „Pana Tadeusza” Andrzeja Wajdy, filmów Instytutu Pamięi Narodowej o drugiej wojnie światowej. Ostatnio, łącząc pasję audiodeskrypcji z pracą w Lasach Państwowych, pisze skrypty do filmów przyrodniczych. Opatrzył nimi m.in. „Rok w puszczy” i pracuje nad kolejnymi.

– Żeby taki skrypt przybliżał świat widzialny dla niewidomych, był ich „dźwiękowym okiem”, musi być pisany razem z osobą niewidomą. Mam na stałe takich współpracowników. Współpraca nie jest łatwa, bo są to osoby bardzo drobiazgowo,

wymagające. Trudno z nimi o kompromisy, ale zawsze dla dobra sprawy ustępuję, przekonałem się bowiem, że obecność adresata skryptu, gdy jest redagowany, daje szansę na najlepszy opis, przybliżający obrazy niewidomym i niedowidzącym – pointuje swoją nową pasję mój rozmówca.

Gęsia skórka

Pytany o kraj, który odwiedza najchętniej, zaskakuje. Odpowiada, że to Dania. Dlaczego Dania? Bo jest uporządkowana, czysta. I choć brakuje tam lasów, podobają mu się rozległe, otwarte przestrzenie, niezmierzone pola, na nich wiatraki, śmigający wszędzie rowerzyści.

– Liczne białe słupy ze śmigłami zawsze ściągały mój wzrok. Dziś wiem, że do 2030 r. Duńczycy zamierzają produkować 30% energii elektrycznej z energii wiatru. To imponujące, zważywszy, jak prosto i bez szkody dla środowiska można wykorzystać siły natury – tłumaczy.



Jarosław Krawczyk zafascynowany jest Danią, ale najbliższe jego sercu są polskie lasy (E.P.)

A oprócz wiatraków zafascynował go tam jeszcze wszechobecny rower. Dania to kraj rowerzystów. Zdaniem Jarosława Krawczyka dosłownie wszystko – infrastruktura drogowa, turystyczna, przestrzeń miejska i sposób życia – kręci się wokół rowerów.

– Podoba mi się, że rowerzyści w ruchu ulicznym mają pierwszeństwo przed samochodami i że prowadzący samochody przestrzegają tego, bo sami przecież też są rowerzystami. A rower to jest również mój świat. Na co dzień jeżdżę nim do pracy, po mieście, także na weekendowe wycieczki. Marzy mi się nawet duński rower – Kildemoes, co znaczy koliber.

W Danii był wielokrotnie z rodziną. Zatrzymywał się zwykle na wyspie Aero w Marstal – miasteczku portowym wielkości Ustki, znanym z przemysłu stoczniowego, instalacji solarnych. W ciągu kilku powrotów na duńskie wyspy pojawiała się wciąż pytanie: a może to moje miejsce na Ziemi?

Przypadek sprawił, że w ubiegłym roku trafił na przetłumaczoną na język polski sagę o tym mieście, zatytułowaną „My topielcy”. I wtedy upewnił się, że Dania i Duńczycy są bardzo bliscy jego sercu.

– Miałem gęsią skórę, gdy czytałem tę książkę – zwierza się Jarosław Krawczyk. – Mówi o ludziach morza. Carsten Jansen, mieszkaniec Marstal, opisuje losy czterech pokoleń marynarzy z tego miasteczka, tworząc swoistą kronikę narodzin współczesnej Danii. Ludzi twardych, którzy sprawdzali się w najcięższych chwilach, nie robili niczego na pokaz i dzięki więziom społecznym, również samorządowym, potrafili dźwignąć kraj na wyżyny cywilizacji. Mógłbym tam zamieszkać na stałe.

Mroczny tytuł tej książki ma swoje uzasadnienie. Mieszkańcy Marstal, żyjący z morza i prawie na morzu, często się zdarzało, że do domu nie wracali; i jak to z ludźmi morza bywa, nierzadko zostawali na jego dnie. Gdy czytał tę książkę, przed jego oczami przesuwał się korowód najrozmaitszych postaci, jawiły się pokomplikowane losy kilku pokoleń żeglarzy z jednego małego miasteczka. Tak się jakoś złożyło, że w trakcie lektury tej książki po dwudziestu kilku latach odnalazł się i zaczął spotykać w gronie koleżanek i kolegów z warszawskiej podstawówki.

– Jakie metamorfozy! Dobrze zapowiadający się wzorowi uczniowie cieszą się spokojnym życiem rodzinnym. Nieprzejmujący się nauką koledzy podejmują strategiczne, odpowiedzialne finansowo decyzje. Ktoś odszedł już z tego świata. Z jednej oryginalnej, kształtowanej przez osiem szkolnych lat paczki, każdy poszedł swoją nieprzewidywaną drogą – Jarosław Krawczyk dzieli się na koniec swoją refleksją o przemijającym czasie. – Zainspirowała mnie żeglarska saga, zainspirowali odszukani



Książka, która rozbudziła w Jarosławie Krawczyku jeszcze większe zainteresowanie Danią i Duńczykami (E.P.)

przyjaciele. Myślę, że warto o naszych przemianach, w ogóle o przemijaniu, coś napisać, warto je upamiętnić, żeby nie zniknęło. Jeszcze nie wiem dokładnie jak, ale chodzi mi po głowie pewien pomysł...

Jarosław Krawczyk urodził się w Warszawie i tam ukończył szkołę podstawową. Interesował się teatrem i uczęszczał na zajęcia do Haliny i Jana Machulskich w Teatrze Ochoty. Po ukończeniu szkoły podstawowej zdecydował się jednak na naukę w Technikum Leśnym w Białowieży. Wiedza o leśnictwie była dla niego nowością, gdyż nikt w rodzinie nie wykonywał tego zawodu.

Magii teatru nie porzucił. W TL rozwijał swoje zainteresowania, a szkoła mu to umożliwiała. Mimo możliwości zmiany zawodu po maturze wybrał Wydział Leśny SGGW. Po zakończeniu studiów rozpoczął pracę w Nadleśnictwie Pisz jako adiunkt. Przez dwa lata przeszedł praktyczną szkołę nauki zawodu – od prac terenowych do działu technicznego w nadleśnictwie.

W czasie wprowadzania Systemu Informatycznego LP został zatrudniony w zespole informatyki Regionalnej Dyrekcji LP w Białymstoku. Tam zajmował się ochroną przyrody, następnie pozyskiwaniem środków pomocowych. Od roku 2010 jest rzecznikiem prasowym.

W Białymstoku został lektorem radiowym. Inspirują go magia zapalającego się nad mikrofonem czerwonego światełka, oznaczającego „wejście na antenę”, i atmosfera studia. Lubi tę dodatkową pracę i cieszy się, że ma możliwość jej wykonywania.



W żywiołach gór, lasów i wody

Urodził się u podnóża Gór Sowich. Los rzucił go na Mazowsze. Tam Roman Jankowski, leśnik z krwi i kości, szef Nadleśnictwa Pułtusk, połknął bakcyła wodnego i został ratownikiem WOPR. Ale góry mu w duszy wciąż grają i ciągle jest ratownikiem GOPR. A trzy lata temu zdobył Mont Blanc – najwyższy szczyt Europy.

W drodze na Mont Blanc (M.T.)

W Góry Sowie zapuszczał się już od podstawówki. Z Bielawy, w której spędził dzieciństwo, „zdobywał” z chłopakami z podwórka i z klasy najbliższe tamtejsze „szczyty”. Lektura podsuwanych przez ojca książek Arkadego Fiedlera i oglądane wspólnie na wideo filmy przyrodnicze sprawiły, że naturą interesował się od dziecka.

Górski come back

Najpierw – aby być jak najbliżej zwierząt – chciał zostać weterynarzem. Lasy porastające Góry Sowie, z którymi obcował na co dzień, sprawiły, że w planach na przyszłość konkurentem dla Technikum Weterynarii w Nysie stały się szkoły związane z leśnictwem. I tak trafił do Technikum Leśnego w Miliczu. Po jego ukończeniu jako 19-letni młodzieniec chcąc być jak najdalej od domu, znalazł pracę na Mazurach, w Nadleśnictwie Kudypy. W ten sposób rozpoczął swoją profesjonalną karierę w zawodzie leśnika, która trwa już 31 lat.

– Po ukończeniu w 1991 r. Wydziału Leśnego na stołecznej SGGW czułem się już leśnikiem z krwi i kości. Miałem również poczucie, że się realizuję w tym zawodzie – opowiada Roman Jankowski. – Ale i na Mazurach, i na Podlasiu, a konkretnie w Nadleśnictwie Nurzec, gdzie się przenieśliśmy, wciąż mi czegoś brakowało. Gdy trafiłem na informację, bodaj w „Echach Leśnych”, że dyrekcja Babiogórskiego Parku Narodowego poszukuje pracownika na stanowisko nadleśniczego, postanowiłem podjąć rzuconą rękawicę...

Spróbował i został w Babiogórskim Parku Narodowym nadleśniczym z funkcją kierownika gospodarstwa pomocniczego i zastępcy dyrektora. I tam – jak twierdzi – mógł rozwinąć skrzydła.

– W parkach zawsze brakowało pieniędzy na płace – wspomina – ale był dostęp do najnowszej wiedzy i techniki. Czego się chciałem nauczyć, co sobie wymyśliłem, to było w moim zasięgu.



Roman Jankowski jest goprowcem z krwi i kości, zawsze więc zimą bierze krótki urlop, żeby odbyć kilka dyżurów w górach (E.P.)

W Babiogórskim PN Roman Jankowski przełożył wizję naukowców na język leśnictwa, współtworząc plan ochrony parku w części dotyczącej ekosystemów leśnych. W pracach nad przebudową drzewostanów Babiej Góry, a więc zamianą świerczyn na podsadzenia jodły i buka, zaproponował stosowanie rębni złożonych. I to się znakomicie sprawdziło. Pod kierunkiem prof. Jerzego Szwaagrzyka z Akademii Rolniczej w Krakowie realizował program odnowy jodły w tej części Polski.

– W 1999 r. wprowadziłem na teren całego parku mapę numeryczną, co wtedy było ewenementem w skali kraju – wspomina Roman Jankowski. – Dane przyrodnicze połączyliśmy z informacjami przestrzennymi. Tę mapę zaczęli wykorzystywać w Babiogórskim PN na co dzień wszyscy czterej leśniczowie.

Oprócz realizacji prac koncepcyjnych, mając bezpośredni nadzór nad pracą leśniczych, wciąż penetrował teren. Odwiedzał wszystkie możliwe zakątki masywu Babiej Góry z jego kulminacją, sięgającą 1725 m n.p.m., Diablikiem. Na szlakach, które często przemierzał, spotykał się z goprowcami. I wówczas zainteresował się Górskim Ochotniczym Pogotowiem Ratunkowym, dochodząc w końcu do wniosku, że ma trochę wolnego czasu i może poświęcić się górcom.

Do GOPR-u wstąpił w roku 2000. A nie było to wcale takie proste. Musiał znaleźć dwie osoby i uzyskać od nich niezbędne rekomendacje. Potem przeszedł kilkumiesięczną staż, zdając egzaminy z topografii, znajomości gór. Po zaliczeniu kolejnych kursów i szkoleń w 2002 r. złożył uroczyste ślubowanie i został pełnoprawnym ratownikiem.

Głównym terem jego działania był masyw Babiej Góry. Babia – jak głosi legenda – przybrała niegdyś kształt siedzącej kobiety, kochanki zbójnika, którego złapali i powiesili. Zszokowana, zastygła w takiej pozycji, wciąż w niej trwa i nie może się ze swojego nieszczęścia otrząsnąć. Według Romana Jankowskiego, po Tatrach masyw Babiej to druga pod względem niebezpieczeństwa góra w Polsce – zabiera rocznie co najmniej jedno życie.

Okiem goprowca

– Babia jest faktycznie sroga i zmienna jak kobieta – żartuje. – Jej szczyt ma charakter alpejski. Cechują go gwałtowne zmiany pogody. Aż 80% dni w roku to dni pochmurne. Mgła może pojawić się w każdej chwili, o każdej porze roku. Wtedy widoczność spada do kilkunastu metrów; przy opadach śniegu jest bliska zeru.

Chociaż sięga ledwo 1725 m n.p.m. i wydaje się z daleka, że nie jest zbyt stroma, ma drogi o dużej skali trudności. Na przykład Akademicka Perć – szlak żółty, którym się wchodzi na szczyt od schroniska w Markowych Szczawinach – ma odcinki z poręczami łańcuchowymi. Prawie pionową ścianę turyści muszą pokonywać w jednym miejscu za pomocą klamer.

W latach 2002–2006 Roman Jankowski poświęcał działalności ratowniczej i szkoleniowej około 250 godzin rocznie. Od grudnia 2005 r. do końca marca roku 2006, będąc bezrobotnym, pracował w GOPR jako ratownik etatowy. Pełnił wówczas 12-godzinne dyżury na stacjach narciarskich w Zawoi, na Pilsku koło Korbielowa i w Szczyrku. Wtedy wyciągnął z rozmaitych opresji około 50 osób.

Na Babiej Górze uczestniczył w czterech akcjach poszukiwawczych. Dwie były wywołane fałszywymi alarmami, dwie skończyły się odnalezieniem zaginionych. Zimą 2003/2004 trzech młodych ludzi wyszło ze schroniska na Markowych Szczawinach. W śnieżycy skierowali się na Słowację. Ratownicy poszli za nimi na tzw. nartach skiturowych, które łączą walory nart zjazdowych z biegowymi.

– W górach, po silnych opadach śniegu, to jedyna metoda poruszania się poza ubitymi szlakami. Do drugiej w nocy ich szukaliśmy. Niestety, bez skutku. Wróciliśmy. O szóstej – opowiada dalej – gdy zaczęło się rozwidniać, wyszliśmy ponownie. Po czterech godzinach znaleźliśmy ich. Byli na granicy wyczerpania. Śniegu spadło po pas. Nie byli w stanie iść. Niewiele brakowało, a by tam zostali.

Roman Jankowski od momentu, gdy został pełnoprawnym ratownikiem, jest zobowiązany stawić się na każde wezwanie naczelnika. Musi jechać w góry i nieść pomoc potrzebującym. Na pytanie, czy ma też taki obowiązek przyjazdu z Pułtuska, gdzie obecnie mieszka i pracuje, odpowiada:

– Są takie akcje, które trwają kilkanaście godzin, nawet kilkanaście dni poszukiwawczych i jeżeli jestem potrzebny, a mam wolne albo mogę dostać urlop, wsiadam do auta i choć to około 450 kilometrów – jadę.

Służąc w GOPR, pozostawał wciąż w otoczeniu alpinistów i połknął bakcyla alpinizmu. Wspólne ćwiczenia owocowały wyprawami w coraz wyższe góry. Zaczął od najwyższych tatrzańskich szczytów, zdobywając po kolei: Rysy, Gerlach, Krywań. W Alpach wspiął się na najwyższy szczyt Austrii – Gross Glockner (3798 m n.p.m.). Nawet nie zauważył, kiedy wspinaczka stała się pasją, solą jego życia.

Wyprawa życia

W 2008 r. z grupą kolegów z GOPR postanowili wejść na „dach” Europy – najwyższy szczyt Starego Kontynentu, Mont Blanc. Pomysł dojrzał cztery lata. Z Polski wyjechali 21 lipca w 13 osób; dziewięciu było ratownikami GOPR. Około piątej rano następnego dnia, po przemierzeniu Niemiec, potem Szwajcarii, dojechali do Le Houches we Francji, niedaleko Chamonix.

– 23 lipca wstaliśmy o szóstej rano i tuż po godzinie ósmej doszliśmy do dolnej stacji kolei linowej, którą wjechaliśmy na szczyt Bellevue, około 1800 m n.p.m. – opowiada. – Stamtąd poszliśmy szlakiem Tour du Mont Blanc wzdłuż topniejącego jezora lodowca Bionnasay. Schronisko Gare, na wysokości 2370 m n.p.m., osiągnęliśmy po czterech godzinach. Krótki odpoczynek i ruszyliśmy dalej. Naszym celem było schronisko Tête Rousse na wysokości 3170 m n.p.m.

Po dwóch godzinach grupa polskich wspinaczy osiąga schron Refuge des Rognes na wysokości 2770 m n.p.m. Niestety, pogoda się psuje. Około godziny 16 zaczyna padać deszcz ze śniegiem. W nocy przychodzi burza śnieżna. Przez cały następnny dzień pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie: słońce, za chwilę mgła, śnieg i znów słońce. Jednak im bliżej końca dnia, tym prognozy były coraz lepsze.



Roman Jankowski
w Dolomitach (M.T.)

Ranek 25 lipca wita już grupę polskich alpinistów piękną, słoneczną pogodą. Ruszają w drogę. Po dwóch godzinach dochodzą do schroniska Tête Rousse. Przed nimi najtrudniejsza część wspinaczki – wielki kuluar do schroniska Gautiera na wysokość 3820 m n.p.m. W pełnym rynsztunku, ubrani w kaski, uprząże i liny zabezpieczające, pną się mozolnie w górę. Dwadzieścia kilo w plecaku daje się we znaki, ale kuluar zostaje pokonany. Około godziny 14 stają przy schronisku. Widok jak z samolotu: w dole Chamonix, dookoła śnieg i słońce. Przechodzą jeszcze kilkaset metrów i na śniegowej półce rozbijają namioty.

26 lipca pobudka o drugiej w nocy. O trzeciej wyjście z namiotów. W dole rozświetlone ulicznymi latarniami Chamonix, a wężyk ze światełkami idących wyżej alpinistów wyznacza w mroku trasę. Temperatura minus 5 stopni, na szczęście wiatr nie jest zbyt mocny. Ruszają, powiązani liną asekuracyjną, uzbrojeni w czekany i raki w trzech zespołach. O wschodzie słońca docierają do ostatniego na trasie schronu Vallota na 4360 m n.p.m., które uratowało niejedno życie. Jaśniej i wspinaczka po wąskiej, śnieżnej grani staje się łatwiejsza.

– Około dziewiątej stajemy na szczycie. Europa pod nogami. Ogromna satysfakcja. Kilkanaście SMS-ów do rodziny, znajomych z pozdrowieniami ze szczytu, trochę zdjęć, łyk francuskiego szampana, wniesionego na własnych plecach (nigdy nie zapomnę jego smaku) i wracamy.

Powrót odbywa się tą samą, już znaną drogą. Zejście początkowo jest trudne. Co chwila spadają obok, uwalniane z lodu promieniami słońca, kamienie. Poruszają się wolno, na linie asekuracyjnej. Na nocleg docierają już po zmroku. Nazajutrz 27 lipca, dochodzą do kolei linowej Bellevue.

– Po pięciu dniach w górach docieramy do pola biwakowego w Chamonix. Tutaj luksus: kąpiel, polski „Żywiec” i dzielenie się wrażeniami prawie całą noc. 28 lipca po południu – powrót do Polski. Z tarczą! – kończy z dumą Roman Jankowski – bo góra zdobyta i jesteśmy w komplecie, co na wyprawach górskich jest najważniejsze.

Sukces w zawodzie

W trzy lata po tym sukcesie wdrapał się na kolejny szczyt, tym razem w karierze zawodowej – został powołany na stanowisko nadleśniczego w Nadleśnictwie Pułtusk. Dochodził doń dość szybko, ale chyba dobrze przemyślanymi krokami.

Na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu ukończył studium podyplomowe, wieńcząc je pracą pt.: „Koncepcja zarządzania Nadleśnictwem Pułtusk”.

– Nie chciałem, aby moja praca, dotycząca zarządzania nadleśnictwem, trafiła do szuflady. Myślałem o realnym wykorzystaniu nabytych na studium umiejętności. Wiedziałem, że jednym z zadań startujących w konkursach na stanowisko nadleśniczego było przygotowanie takiej koncepcji dla konkretnego nadleśnictwa. I taka okazja nadarzyła się w Pułtusku.

Po odejściu w roku 2010 na emeryturę nadleśniczego Nadleśnictwa Pułtusk Roman Jankowski przystąpił do konkursu na to stanowisko. W swojej koncepcji kierowania nadleśnictwem wykorzystał obszerne fragmenty pracy dyplomowej z poznańskiego studium. Ze znakomitym efektem. Komisja konkursowa oceniła jego kandydaturę bardzo wysoko i decyzją dyrektora RDLP w Warszawie 1 października 2010 r. został powołany na stanowisko szefa Nadleśnictwa Pułtusk.

– Osiągnąłem cel zawodowy, do którego dążyłem przez ponad 30 lat swojej pracy – zwierza się – ale nie spocząłem na laurach. Od pamiętnego października zacząłem z marszu wprowadzać w życie swoją koncepcję zarządzania. Jednym z jej najważniejszych elementów jest podniesienie poziomu wiedzy informatycznej pracowników nadleśnictwa, zwłaszcza leśniczych, i wdrożenie jej do codziennej pracy.

Jedną z pierwszych decyzji, którą podjął, był zakup notebooków dla połowy leśniczych i założenie wszystkim leśniczemu kontu poczty internetowej, także udostępnienie zasobów SILP dla leśnictw przez zapewnienie dostępu do szybkiego Internetu każdej leśniczówce. W 2011 r. planuje zakończyć wyposażanie leśnictw w sprzęt komputerowy i dalsze szkolenia dla leśniczych. Zakupił też kilka odbiorników GPS, współpracujących z leśną mapą numeryczną i rejestratorem leśniczego.

W nadleśnictwie opracowano również mapę numeryczną szkółki leśnej o centymetrowej dokładności pomiaru. Wyposażono posterunek Straży Leśnej w terenowego notebooka, który umożliwia zdalne łączenie z Internetem, a poprzez sieć – z kamerami monitorującymi las, z SILP-em i bazami danych, pokazując sprawców wykroczeń.

– Straż Leśna rozpoczęła szkolenie z wykorzystania mapy numerycznej, aby analizować w lesie kradzieże, wandalizm, kłusownictwo – opowiada dalej o informatyzacji pracy nadleśnictwa. – Spora część dokumentów i informacji jest przekazywana do leśnictw elektronicznie. Dzięki temu zmniejszyła się liczba papierów w obrocie i wizyt leśniczych w nadleśnictwie.

Proces optymalizacji nie ominął Pułtuska. Nadleśniczy musiał zlikwidować jedno leśnictwo i zmienić organizację nadzoru nad lasami prywatnymi. Wprowadzone

zmiany spotkały się z uznaniem starostów. Na szczęście nikogo nie zwolnił. Redukcja etatów odbywa się na zasadzie naturalnych odejść pracowników, na przykład na emerytury.

– Aby poprawić wizerunek leśników w środowisku, w sezonie wiosenno-letnim zatrudniam osobę, która współpracuje z lokalnymi mediami oraz prowadzi zajęcia edukacyjne w szkołach i na naszej ścieżce edukacyjnej – informuje nadleśniczy.
– Z dobrym skutkiem; nie ma tygodnia, aby w miejscowej prasie nie ukazał się tekst o nadleśnictwie. Już zauważam efekty tej kampanii w postaci mniejszej liczby wykroczeń oraz życzliwego stosunku ludzi do leśników.

Bliżej wody

Sprowadzając się na Mazowsze, daleko od gór, odkrył w sobie nową pasję. Swoje zainteresowania skierował na wodę. Przez Pułtusk przepływa Narew, a w pobliżu dużej rzeki zawsze są ludzie zajmujący się sportami wodnymi, takimi jak żeglarstwo, kajakarstwo, również ratownictwem wodnym.

Umiejętności nabyte w ratownictwie górskim postanowił wykorzystać w ratownictwie wodnym. Pod koniec 2009 r. miejscowe Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (WOPR) organizowało kurs na młodszego ratownika. Skorzystał z tej okazji. Po kilku tygodniach szkolenia został najstarszym młodszym ratownikiem WOPR pułtuskiej grupy.

– Kilka miesięcy przed kursem trenowałem na nowo otwartej pływalni w Pułtusku, żeby podnieść swoje umiejętności pływackie – opowiada – i w efekcie nie odstawałem pod względem kondycji i sprawności od kursantów, którzy są ode mnie o 20–30 lat młodsii!

W roku 2010 przeszedł następny stopień wtajemniczenia i po kolejnym kursie otrzymał stopień ratownika WOPR. Teraz, od roku 2010, kolejne 100 godzin rocznie poświęca na pracę społeczną na pułtuskich kąpieliskach jako ratownik wodny. W Pułtusku wygrzebał również z dokumentów swój patent żeglarski sternika jachtowego; uprawnienia zdobył w Technikum Leśnym w Miliczu. Należał wtedy do harcerskiej drużyny żeglarskiej, skąd trafił na kurs i egzamin do Gdyni.

– Kupiłem kilka książek, aby odświeżyć wiedzę żeglarską, w Internecie znalazłem interesujący rejs i tak trafiłem po 33 latach znowu na morze. Okazało się, że nie zapomniałem sztuki żeglarskiej. Do tego, jako jeden z nielicznych na pokładzie, nie cierpiałem na chorobę morską. Pierwszy rejs na trasie Trzebież–Sassnitz–Klintholm–



Podczas rejsu na Bałtyku (R.J.)

Kurs pletwonurka P1;
najwyższy wśród stojących
– Roman Jankowski (R.J.)



–Kopenhaga–Ystad utwierdził mnie w przekonaniu, że żeglarstwo to jest to, co również lubię. I co roku wyruszam w jakiś rejs.

Niespokojny duchem, szukając kolejnych wrażeń w kontaktach z wodą, ukończył również kurs pletwonurka P1 (stopień podstawowy). Daje to uprawnienia do nurkowania na głębokość do 20 metrów (pod pewnymi warunkami), z których stara się korzystać w kolejnych rejsach morskich. Teraz z grupą znajomych organizuje rejsy, ustalając własne trasy, połączone z nurkowaniem i połowem ryb.

– Byliśmy w rejsie po Bałtyku na wyspy Christianso i Bornholm. A w tym roku żeglowaliśmy i nurkowaliśmy w Adriatyku, czarterując łódź z Chorwacji. Teraz planuję kolejne wyprawy; będzie to Morze Północne lub Atlantyckie. Zdobyte w tym roku uprawnienia na głębsze nurkowanie pozwoli mi penetrować morskie wraki.

Czas na góry

Część duszy Romana Jankowskiego została w górach. Nie wyobraża on sobie, aby co najmniej połowy urlopu nie spędzał właśnie tam. Po przeprowadzce do Pułtuska w GOPR dyżuruje około 120 godzin rocznie. Najczęściej w stacjach narciarskich Beskidzkiej Grupy GOPR, łącząc przyjemne – jazdę na nartach – z pożytecznym, bo pomaga ludziom wyjść z różnych opresji.

– Na dyżury wyjeżdżam zwykle zimą na początku roku, biorąc kilka dni urlopu – opowiada. – Coraz większa dostępność narciarstwa i coraz szybszy sprzęt sprawiają, że na dyżurach się nie nudzę. Na szczęście coraz więcej narciarzy pojawia się na stoku w kaskach ochronnych. I bardzo dobrze. Tylko w tym roku w ciągu tygodnia moich dyżurów kask uratował narciarzowi i snowboardziście zdrowie, a może nawet życie!

Nie zrezygnował z letnich wypraw wysokogórskich. Najdalsze góry, poza Europą, ze względów finansowych i czasowych odłożył na razie na przyszłość, ale jak się nadarzy okazja, to ruszy i tam. Dwa lata temu był na wyprawie w Dolomity.

– Ta część Alp nie jest najwyższa (do 3500 m n.p.m), ale w zamian daje możliwość uprawiania wspinaczki na ubezpieczonych drogach zwanych *via ferratami*. Każdy dzień wyprawy to inna droga wspinaczkowa, na inny szczyt, zwykle około 6–8 godzin podejścia i wspinaczki, a potem już tylko 3–4 godziny na zejście i powrót na pole biwakowe. Bardzo mi się to podobało.

Dodatkową atrakcją Dolomitów są pozostałości fortyfikacji z pierwszej wojny światowej. Tunele drążone w litej skale na wysokości 2–3 tys. metrów i połączone skalnymi pułkami bunkry tworzą sieć fortyfikacji.

– W 2010 r. postanowiliśmy zdobyć drugi z alpejskich gigantów wysokości 4478 m n.p.m. – Matterhorn. W celu aklimatyzacji wyszedłem z kolegami z GOPR na szczyt Alphubel, na wysokość 4206 m n.p.m. Gdy byliśmy gotowi do ataku na nasz główny szczyt, nastąpiło załamanie pogody. Nie zdobyliśmy Matterhornu, ale trzy noclegi na lodowcu, niezapomniane widoki i ogromne zmęczenie na szczycie sprawiły nam wielką radość.

Pytany o plany na przyszłość, wraca znów do swojego nadleśnictwa. Marzy mu się system monitorowania przeciwpożarowego, zarządzany z jednego miejsca, gdzie na monitorach byłby podgląd z wszystkich wież obserwacyjnych. W planach jest też sporo inwestycji drogowych, budowa dwóch kolejnych leśniczówek, modernizacja



„Najważniejszy jest las i on zawsze będzie moim priorytetem...” (E.P.)

kotłowni przy nadleśnictwie, termomodernizacja osad, wreszcie aktualna ortofotomapa – jeden z elementów nowego planu urządzenia lasu na lata 2014–2023.

– Oczywiście najważniejszy jest las i on zawsze będzie moim priorytetem. Niestety, praca na stanowisku nadleśniczego bardziej absorbuje, niż wydawało mi się to wcześniej. Ale postaram się na wszystko znaleźć czas, wszak nie samym lasem człowiek żyje. Mam jeszcze parę pomysłów na życie, o których zamilczę, żeby nie zapeszyć. W życiu, podobnie jak w zawodzie, tak samo jak w alpinizmie – trzeba sobie wciąż wyznaczać nowe cele.

Roman Jankowski urodził się 15 listopada 1959 r. w Bielawie – małym dolnośląskim miasteczku u podnóża Gór Sowich, pełnych jaskiń i starych fortyfikacji. Decyzja o wyborze szkoły średniej w roku 1974 była konsekwencją jego zamiłowań do natury.

Tak trafił do Technikum Leśnego w Miliczu, do klasy o specjalności mechanizacja leśnictwa. W szkole średniej uprawiał zapasy, grywał w piłkę ręczną. Z harcerską drużyną żeglarską wyruszył w swój pierwszy rejs morski po Zatoce Gdańskiej i zdobył uprawnienia sternika jachtowego. W technikum uzyskał także uprawnienia łowieckie.

Po ukończeniu szkoły średniej wybrał Mazury – otrzymał skierowanie do pracy w Nadleśnictwie Kudypy. Swoją drogę zawodową rozpoczął jako stażysta, potem – kierownik warsztatów. Po odbyciu służby wojskowej w roku 1985 objął stanowisko leśniczego w Nadleśnictwie Nowe Ramuki i rozpoczął studia zaoczne na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie. Po dziewięciu latach pracy na tym stanowisku w roku 1994 został inżynierem nadzoru w Nadleśnictwie Nurzec.

W roku 1998 znalazł w gazecie leśnej ogłoszenie o konkursie na stanowisko nadleśniczego w Babiogórskim Parku Narodowym. Napisał więc do BPN aplikację i w tym samym roku trafił w góry. Pracując w parku, wstąpił do GOPR i po dwóch latach szkoleń i egzaminach został pełnoprawnym ratownikiem.

Wkrótce ukończył studia podyplomowe z ochrony parków narodowych. W 2005 r. otrzymał „propozycję zmiany stanowiska”, którą odrzucił. Tak został bezrobotnym. Zdobył jednak uprawnienia kierowcy ciężarówki, pracował sezonowo jako ratownik w górach, a latem jako robotnik rolny w Niemczech.

W roku 2006 poszukiwania stałej pracy zakończyły się sukcesem. W Nadleśnictwie Pułtusk został starszym specjalistą ds. pozyskania drewna. Po czterech latach (kilka miesięcy pracował jako p.o. zastępcy nadleśniczego) wystartował w konkursie, w wyniku którego objął stanowisko nadleśniczego w Nadleśnictwie Pułtusk.



LEŚNY KOMPLEKS PROMOCYJNY "LASY MAZURSKIE"
RUCJANE-NIDA 2011



Oczy leśnika, nogi maratończyka

Arkadiusz Rosiński przebiega rocznie ponad tysiąc kilometrów. W tym treningu maratończyka na moment nie przestaje być leśniczym. Mówi, że jak biegnie, to też pracuje. Dostrzeże na przykład kradnącego drewno i prawie w biegu zbierze latem z pułapek feromonowych motyle brudnicy mniszki.

Arkadiusz Rosiński z medalami zdobytymi w konkurencjach biegowych (E.P.)

A leśnictwo Orło, którym zawiaduje, do najmniejszych nie należy. Zlokalizowane w lwiej części w Dolinie Dolnego Bugu, na Wysoczyźnie Wysokomazowieckiej, ma powierzchnię 1776,5 ha. Należy do Nadleśnictwa Ostrów Mazowiecka. Do niedawna rozciągało się na dystansie prawie 30 km; po wymianie gruntów z sąsiednim leśnictwem stało się bardziej zwarte, nieco krótsze, ale wciąż ma około 20 km. A składa się z ponad 30 kawałków lasu – fragmentów Puszczy Białej; tylko trzy z nich to kompleksy leśne sporej wielkości.

Kiedyś syrenką, teraz golfem

Jest więc czego doglądać. Leśniczy patroluje swoje włości, biegając, ale przede wszystkim jeżdżąc. Służyła mu do niedawna do tego celu prawie 30-letnia syrenka. Teraz zastąpił ją 20-letnim golfem II, ponoć o bardzo twardym zawieszaniu, za to niezwykle wytrzymałym na korzenie.

– Tam, gdzie nie dobiegnę, dojeżdżam golfem – mówi Arkadiusz Rosiński. – Myślę, że jeszcze parę lat mi posłuży. A syrenka przeszła na emeryturę i stoi pod stodołą. Wspominam ją jak najlepiej. Z wysokim podwoziem, dobrze osadzonym na ramie, sprawowała się prawie jak samochód terenowy. Sam się dziwię, że tak długo mi służyła. Wcześniejsze maluchy, choć dużo młodsze, częściej stały, były cały czas w remoncie i musiałem się ich pozbyć...

Przodkowie obecnego leśniczego leśnictwa Orło, którzy co najmniej od trzech pokoleń pracują w leśnictwie, takich udogodnień jeszcze nie mieli, ale lasom oddawali się bez reszty. Pradziadek Arkadiusza, Wojciech Rosiński, pracował w lesie z dwoma braćmi w okolicach wsi Budykierz. Cała trójka na przełomie XIX i XX stulecia zalesiała i odnawiała drzewostany wedle standardów hodowlanych, wprowadzonych na tych terenach przez Zakład Praktyki Leśnej w Feliksowie. Utworzył go – jeszcze przed powstaniem styczniowym – profesor Wojciech B. Jastrzębowski. Pradziadek Arkadiusza trudnił się też bartnictwem, które kwitło w XIX w. w całej Puszczy Białej.



„...syrenka przeszła na emeryturę i stoi pod stodołą. Wspominam ją jak najlepiej...” (E.P.)

Jak wspomina prawnuk Wojciecha, jego pradziadek pracował również przy przecieraniu i spławianiu drewna Bugiem. Podczas tych prac przeziębził się, zapadł na zapalenie płuc i zmarł. Pozostawił siedmioro dzieci, w tym kilkuletniego Piotra Rosińskiego, dziadka Arkadiusza, który od najmłodszych lat pracował i w polu, i w lesie. Ranny podczas drugiej wojny światowej trafił najpierw do szpitala w Terespolu, potem do niewoli niemieckiej, wreszcie sowieckiej.

Zatrudniony w szwalni u Rosjanina, z jego pomocą został uratowany przed wywózką do Katynia. Uciekł z niewoli wraz z kolegą po siedmiu miesiącach na podrobionych dokumentach. W swoich rodzinnych stronach został gajowym w leśnictwie Trzcianka (obecne Nadleśnictwo Wyszaków), gdyż jego poprzednika zastrzelili bandyci. Po wojnie Piotr Rosiński wraz z grupą tutejszych gajowych odbudowywał zdevastowane w czasie wojny lasy w okolicach Białego Błota, Knurowca, Trzcianki i Ojcowizny, sadząc głównie – czując się tam najlepiej – sosny i brzozy.

Syn Piotra, ojciec Arkadiusza – Jan, najpierw musiał odbyć tzw. zastępczą służbę wojskową, fedrując w jednej ze śląskich kopalń węgla. Potem pracował w składnicy drewna w Knurowcu, a w końcu osiadł w leśnictwie Orło, w którym przepracował 30 lat, najpierw jako gajowy, a potem podleśniczy.

Arkadiusz, następca Jana, pracuje w leśnictwie Orło już 21. rok. W obecnej leśniczówce, którą dziś zajmuje z żoną i dwojgiem dzieci, mieszka prawie od urodzenia.

Tu od najmłodszych lat przyglądał się, jak jego ojciec sprawuje funkcję gajowego. A Jan Rosiński w lesie, który kochał nad życie, spędzał, podobnie zresztą jak jego ojciec Piotr, prawie 24 godziny na dobę.

Brydź w... Białowieży

Arek, gdy tylko zaczął chodzić, towarzyszył ojcu przy odnowieniach, odbiórcie drewna, trzebieżach, właściwie przy każdej czynności w lesie. I gdzie mógł, tam pomagał. Mimo to gdy kończył podstawówkę, nie rwał się do leśnictwa. W końcu jednak uległ namowom rodziców i podjął naukę w Technikum Leśnym w Białowieży.

Z polskiego nie był najmocniejszy. Przyznaje, że do drugiej klasy przeszedł tylko dlatego, że był bardzo dobry z praktyki, doskonale na przykład wiedział, jak się posługiwać kosturem czy kłupą. Potem szło mu jak po maśle, ale z różnymi przygodami.

– Jeszcze w podstawówce – wspomina – kolega mojego ojca, Stanisław Ościłowski, nauczyciel matematyki, nauczył mnie grać w brydża. Ta gra mnie zafascynowała i przeniosłem ją do internatu w Białowieży. Graliśmy w pokoju nocami, do czasu gdy nas opiekun złapał. Kiedy nam zarekwirował karty, kupiliśmy dwie nowe talie. Nauczyciel wchodził do pokoju, my oddawaliśmy karnie karty, którymi graliśmy, a gdy wychodził, już wyciągaliśmy następną talię i gra toczyła się dalej.

Arkadiusz Rosiński chętnie wraca do białowieskiej części swojego życiorysu. Opowiada, że chociaż większość uczniów pochodziła ze wsi, z niewielkich miejscowości, nie dawali sobie w kaszę dmuchać. Gdy jeden z nauczycieli, ówczesny aparaczyk, bardzo dokuczał koledze z pokoju, wstawili mu malucha między lipy, tak że nie był w stanie stamtąd wyjechać. Ponieważ wciąż znęcał się nad ich kolegą, gdy wieczorem zabrakło światła, obrzucili go w internacie jajami. Wtedy dał mu spokój. Innym razem, gdy przy prawie trzydziestostopniowym mrozie przestały grzać kaloryfery, bo zabrakło węgla w kotłowni, zorganizowali strajk. Skutecznie, gdyż zwolniono ich na dwa tygodnie z lekcji i mogli pojechać do domów.

– Jak w każdej szkole – opowiada dalej – mieliśmy różnych nauczycieli. Ówczesny dyrektor technikum, Mieczysław Mokrzycki, choć był niezwykle ostry, budził nas na przykład po szóstej rano, żebyśmy zdążyli na lekcje, był wspaniałym człowiekiem. Jego pedagogiczne credo: „Nie sztuka ucznia wyrzucić, sztuka wychować, zrobić z największego łobuza przyzwoitego człowieka” pamiętam do dziś.

Dyrektor faktycznie nikogo nie wyrzucił, a spod jego ręki wychodzili bardzo dobrzy fachowcy. Na przykład Cezary Bystrowski, kolega z klasy Arka, zajmujący się ochroną lasu, zrobił doktorat i dziś dalej pnie się po szczeblach kariery naukowej.

– Z ogromną radością i przyjemnością wysłuchałem w Malinówce jego wykładu na temat owadów. Przeprowadził go w Akademii Leśniczego, w której uczestniczę wraz z dwoma innymi leśniczymi RDLP w Warszawie.

Cichy bohater

Po maturze zdanej w 1988 r. Arkadiusz Rosiński otrzymał propozycję pracy w Nadleśnictwie Ostrów Mazowiecka. Nie przyjął jej, bo miał już plan wyjazdu z hufcem pracy do ówczesnej Czechosłowacji. Wyjazd dawał możliwość całkiem przyzwoitych zarobków przy pracach odnowieniowych w lasach Sudetów czeskich i zwiedzenia kraju naszych południowych sąsiadów.

– Gdy stawiałem się w nadleśnictwie po wakacjach – wspomina – powiedziano mi, że teraz mnie nie potrzebują. I trafiłem do wojska. Wzięli mnie do jednostki pod Stargard Szczeciński, w której zajmowano się kontrolą przelotów samolotów nad Polską. Byłem tam półtora roku. Po śmierci ojca zwolniono mnie, ale zbyt długo na gospodarce w domu nie pracowałem.

W sierpniu 1990 r. Arkadiusz Rosiński dostał angaż jako stażysta leśnictwa Orło. Po stażu został podleśniczym i zaraz potem, po tragicznej śmierci leśniczego, mianowano go na pełniącego obowiązki na tym stanowisku. W lutym 1997 r. objął funkcję leśniczego i sprawuje ją do dziś, uchodząc w oczach zarówno dyrektora RDLP w Warszawie, jak i nadleśniczego za jednego z najlepszych na tym stanowisku.

– Cichy, skromny, nie chwali się tym, co robi – mówi Piotr Uścian-Szaciłowski, jego obecny szef, nadleśniczy Nadleśnictwa Ostrów Mazowiecka. – A robi bardzo dużo – i w lesie, i poza lasem i leśnictwem, wychodząc z propozycjami do szkół, myśliwych, lokalnych społeczności. Według mnie to cichy bohater. Gdybym miał takich pracowników, o nic nie musiałbym się martwić...

Arkadiusz Rosiński uważa, że teren, na którym mu przyszło gospodarzyć, jest piękny, dość zasobny, ale i bardzo trudny. Piękny, bo przyroda tu niezwykle bogata. Nie brak więc starodrzewów sosnowych, również lasów mieszanych i liściastych, liczących grubo powyżej 100 lat. Wśród nich są takie rarytasy, jak 25-metrowy (128 cm w pierśnicy) Dąb Geodetów koło Broku nad Bugiem, który ma prawie 240 lat. Trzy inne, blisko 160-letnie dęby to też drzewa pomnikowe.



Arkadiusz Rosiński jest leśnikiem od co najmniej trzech pokoleń; w leśnictwie pracowali jego ojciec, dziadek i pradziadek (E.P.)

Wiekowa sosna zwyczajna – inny pomnik przyrody, zaatakowany kilka lat temu przez chorobę grzybową – uschła. Ale chyba będzie miała następczynię, bo drugi okaz sosny, koło Orła, ma także grubo ponad 200 lat i może otrzyma status drzewa pomnikowego. Podobny los może spotkać dziesięć okazałych, rosnących na brzegu rzeki Broczysko, prawie 150-letnich jaworów, lip i jesionów, które leśnicy niedawno wypatrzył.

Rozlewiska Bugu są też bardzo bogate w ptactwo wodne. W leśnictwie znajduje się unikatowe stanowisko bociana czarnego; trzy lata temu lokatorzy go opuścili, ale jest szansa, że wrócą. Są również żurawie, przelatują gęsi zbożowe. Nie brakuje ptaków drapieżnych, m.in. myszołowów, jastrzębi gołębiarzy, pustulek, krogulców. Świat awifauny jest tu bardzo bogaty.

– Dobry stan ptaków drapieżnych cieszy, jednak wysoki procent zwierzyny drobnej w ich menu sprawia, że zajęcy, kuropatw, bażantów nie mamy za wiele, a przepiórka zupełnie zniknęła – tłumaczy Arkadiusz Rosiński. – Jest za to sporo dzików, saren, a w szczególności jeleni. Myśliwi się z tego cieszą, my – leśnicy – mamy do tych czworonogów mieszane uczucia, bo ta zwierzyna musi się czymś posilić, ale niezadko wchodzi w nasze uprawy.

Daje przykład dębu, który ma tutaj niezłe warunki siedliskowe, trochę gorsze pogodowe i dlatego jest i tu, i tam podsadzany. Ale zwierzęta go nie oszczędzają. Jelenie i sarny, które zastąpiły obecne tu niegdyś łosie (tych ostatnich jest dużo mniej, bo obniżył się poziom wody gruntowej), zgryzają uprawy, spalają młode dąbki.

– To, czego nie zdąży ruszyć sarna czy jelen – narzeka Arkadiusz Rosiński – potrafi wykopać dzik. Jeśli się pojawią późne przymrozki, uprawy dębowe giną, bo po przemrożeniu strzały kilkuletnie dęby nie mają szans na regenerację. Są jednak cieplejsze miejsca w dolinie Bugu, takie jak okolice wsi Glina, gdzie drzewka, na „trafionym” siedlisku chcą rosnąć. Oczywiście radują, jak „idą do góry”...

Kradli nawet klopy

Mój rozmówca zaraz dodaje, że mimo to ze zwierzyną dużo szybciej można dojść do ładu niż z ludźmi. To oni są największym zagrożeniem w jego leśnictwie.

– Jak nie ukradną, to spalą, a jeszcze częściej zaśmiecą – opowiada o plagach w lasach, którymi zawiaduje.

Arkadiusz Rosiński, biegając po lesie, trafił parę razy na podpalacza nękającego lasy. Trudno go było złapać na gorącym uczynku, a szkody były spore, bo pożary powierzchniowe zdarzały się dość często.

– Namierzałem go kilka razy – zwierza się leśniczy. – Zauważyłem, że podpala, gdy popije. Wtedy coś mu odbija i idzie do lasu z ogniem. W końcu go ze Strażą Leśną dopadliśmy. Ma zakaz wchodzenia do lasu i jest spokój.

Trudno również wytropić złodziei drewna. Kradną głównie na opał – po dwa, jednym wałku na plecach wynoszą. Takich można wykryć, ale co z tego. W domu bieda, dzieci głodne, nałożenie mandatu nie skutkuje, bo nie ma jak ściągnąć. Trudniejsze są do wykrycia kradzieże papierówki. Pod Małkinią sporo jest badylarzy. Mają folie, szklarnie i ogromne, przestarzałe piece, do których trzeba wciąż dorzucać paliwo.

– Węgiel jest drogi – mówi Arkadiusz Rosiński – idą więc do lasu i sięgają po papierówkę. Jak ukradną kubik wieczorem i wrzucą do pieca, to rano można szukać tylko wiatru w polu. Szczęście, że dobrze zorganizowanych kradzieży drewna tartaczego u nas nie ma. Tacy złodzieje powodują największe straty, do tego są niebezpieczni. Myślę jednak, że oczy Wielkiego Brata – trzy ruchome kamery, które instalujemy w różnych miejscach, zniechęcają skutecznie złodziei drewna.

Największym jednak utrapieniem leśniczego jest problem śmieci w lesie, również dewastacja urządzeń dla turystów. Jak opowiada Arkadiusz Rosiński, ludzie wywożą do lasu wszystko, czasami w ogromnych ilościach. Do niedawna z okolic parkingu leśnego w Zamościach miesiąc w miesiąc usuwał po pięć metrów sześciennych śmieci. Odpadów pozbywali się głównie miejscowi rolnicy, także liczni właściciele domków letniskowych z okolic Broku.

– Na tym parkingu były piękne ławki, kwietniki, woda ze studni, WC – żali się leśniczy. – Wszystko ukradli albo zdewastowali. Wywieźli krokwie z daszkiem na parkingu, nawet drewnianą kabinę WC! Dopiero gdy za pomocą ciągników i podnośników postawiliśmy tam ważącą pół tony ławę z pnia topoli przetartej na pół, nie zdołali jej ruszyć. Stoi do dziś.

Zdaniem leśniczego regulacja gospodarki komunalnej w gminach sprawia, że lasy nie są już tak bardzo zanieczyszczone. Również oczy Wielkiego Brata dość skutecznie odstrasza od uprawiania tego procederu. Leśniczy uważa, że kary za zaśmiecanie lasu powinny być dotkliwsze. Złapanych dzięki kamerom na gorącym uczynku powinno się „obdarowywać” znacznie wyższymi mandatami.

Spowiedź maratończyka

W kancelarii leśniczego spoglądają ze ścian słońka i kaczką krzyżówka. O drzwi są oparte numerki, klupa i cechówka. Na biurku stoi oczywiście kasa fiskalna, przy niej leży rejestrator. Ale nie tylko atrybuty leśnika tworzą atmosferę tego pomieszczenia. Znaczącą rolę odgrywają także wiszące na ścianach niezliczone dyplomy, stojące na półkach statuetki oraz – zawieszony na solidnym wieszaku – medale z najrozmaitszych kruszców, także z tworzyw sztucznych, a nawet z drewna.



Trofea, trofea... Arkadiusz Rosiński najbardziej sobie ceni medal, którym go udekorowano po ukończeniu Biegu Katorżnika (E.P.)

Medali jest koło setki. Wraz z podkowami – trofeum za udział w tzw. Biegu Katorżnika – ważą... kilkadziesiąt kilogramów. Z tego powodu zostały przeniesione na wieszak; poroże jelenia nie wytrzymałoby takiego ciężaru. Wszystkie trofea wiążą się z największą pasją gospodarza kancelarii – bieganiem.

– Statuetkę tego biegacza – pokazuje Arkadiusz Rosiński – otrzymałem w czerwcu 2000 r. za udział w Festiwalu Biegowym Grand Prix Polski w Zamościu. Był to bieg 24-godzinny, w którym pokonałem dystans ponad 130 km. Ten z kolei dyplom wręczono mi w 2001 r. za III miejsce w Mistrzostwach Polski Leśników w Biegu na Orientację w Olsztynku. A tamten, wiszący nieco wyżej, to pamiątka z Maratonu Warszawskiego; ukończyłem go, przebiegając w czasie krótszym niż cztery godziny.

Właśnie od maratonu zaczęła się przygoda leśniczego z bieganiem. Zainteresował się tym sportem dość późno, dopiero w 1997 r. Namówił go do biegania starszy brat – Zbyszek, wojskowy z zawodu, zagorzały maratończyk z Wojskowego Klubu Biegacza „Meta” w Lublińcu. Arek zapisał się do tego klubu i po kilku miesiącach treningu skoczył na głęboką wodę – wystartował w Maratonie Warszawskim, zainicjowanym przez Tomasza Hopfera.

– W tym XIX już maratonie – opowiada – pobiegłem w grupie z żołnierzami, kolegami brata. To mnie uratowało, bo pilnowali mnie, żebym się nie wrywał do przodu. Dzięki temu dobiegłem do mety z całkiem niezłym czasem: 4 godziny, 13 minut i 54 sekundy. Wtedy na własnej skórze się przekonałem, że na tym dystansie każdy biegnie w miarę normalnie do 35. kilometra. Później jest coraz



Ola i Marcin – córka i syn leśniczego – również biegają długie dystanse, tak jak ich tata (E.P.)

ciężej, wszystko zaczyna boleć i biegnie się bardziej siłą woli niż siłą mięśni. Tak to odczuwają nie tylko amatorzy, ale i zawodowcy. Rozmawiałem z nimi, potwierdzają, że jest ciężko...

Mimo tych niezbyt miłych odczuć pokonanie pełnego dystansu każdego maratonu, również samego siebie, smakuje wybornie i wciąga jak narkotyk. Arkadiusz Rosiński, chociaż przekroczył już czterdziestkę, ani na moment nie pomyślał, żeby z biegania zrezygnować. Tym bardziej że jego postura (60 kg wagi przy 170 cm wzrostu) jest stworzona do biegania. A przy tym warunki do uprawiania biegów ma w Orle znakomite – wokół lasy ze ścieżkami, nawet pagórki do podbiegów, choć niezbyt strome, też dają się znaleźć.

Nie mógł więc sobie odmówić udziału w biegu narciarskim Szlakiem Bieszczadzkiej Kolejki Wąskotorowej, bo było to coś zupełnie niepowtarzalnego. Trzeba było pokonać dystans około 40 kilometrów, biegnąc po torach, a właściwie po podkładach kolejowych, które miejscami były zupełnie pozbawione śniegu.

Od kilku lat bieganie Arkadiusza Rosińskiego mocno ewoluuje. Z maratonów, których ma za sobą aż 26, już prawie zrezygnował na rzecz biegów na orientację. A od niedawna bierze udział w kolejnych Biegach Katorżnika, organizowanych w Kokotku koło Lublińca przez WKB „Meta” – klub jego brata. I do tego nie sam, bo do biegania włączyli się 17-letni syn Marcin i ledwo 10-letnia córka Ola, którzy biegają na dystansach stosownych do ich wieku. Nawet nie zauważył, kiedy stał się trenerem, bo do biegów przygotowuje młodzież – trenuje zawodników sekcji biegowej UOLKA – Uczniowskiego Ostrowskiego Ludowego Klubu Atletycznego w Ostrowi Mazowieckiej.

Bieg Katorżnika to jeden z najtrudniejszych biegów w Polsce. Długość (około 12 km) jest nieistotna. Największą trudnością jest przebrnięcie przez wyznaczoną trasę, przemierza się bowiem błota, rowy melioracyjne, trzęsawiska i bajora o głębokości do 1,5 metra. Na trasie ustawiane są różne przeszkody, na przykład 10-metrowe rury, przez które trzeba się przecisnąć. Zawodnik, jeśli tego nie zrobi, musi przebiec rundy karne.

– Trzy razy pokonywałem tę trasę razem z czynnymi karatekami, judokami, zapaśnikami i innymi twardzielami. I za każdym razem zawieszano mi na piersiach żelazną, czterokilogramową podkowę, bo dobiegałem do mety. Ktoś pomyśli: wariat, po co się męczy, po co zadaje sobie tyle bólu? A ja wtedy sobie po cichu odpowiadam: pokonując te wszystkie przeszkody, wygrywam z samym sobą – z każdą barierą, która stanie w życiu przede mną, sobie poradzę.

Rzut oka w przyszłość

Jeszcze kilka lat temu tuż obok leśniczówki wyglądały zza płotu trzy potężne strusie, zresztą też znakomici biegacze. W roku 2000 Arkadiusz Rosiński kupił tuzin piskląt, sądząc, że na tej hodowli zarobi parę groszy. Karcił je prawie rok, najpierw specjalną karmą, potem zbożem, cebulą, czosnkiem, marchwią, koniczyną, lucerną – jadły wszystko.

Z dwunastu padł tylko jeden. Kłopot się zaczął, gdy zostały do przechowania do sprzedaży. Okazało się, że cena 1 kilograma strusiny spadła z 60 do 20 złotych, ale i za te pieniądze nie było chętnych; zemścił się brak umowy z ubojniami. W końcu osiem ptaków udało się sprzedać i prawie wyszedł na swoje.

– Trzy strusie, samca i dwie samice, zostawiłem dla siebie, bo do nich przywykłem, mimo że kolegę, który chciał je ujeżdżać, zrzuciły za każdym razem na ziemię, a mnie zrywały czapkę, chwytając za orzełka, bo lubią błyskotki. Przez kilka kolejnych lat znosiły jaja, a my dla całej rodziny tylko z jednego jaja robiliśmy pyszną i zdrową jajecznicę. Potem jeden ze strusi opuścił ten ziemski padół, bo zwiedzające hodowlę dzieciaki nakarmiły go czymś nieodpowiednim. Ostatnie dwa sprzedałem.

Dziś w zagrodzie gości tylko swojska, podrośnięta już łania, którą przypadkowi przejeżdżający znaleźli w czerwcu ubiegłego roku na drodze. Chodzi za Rosińskimi jak pies, ale leśniczy ma świadomość, że do czasu. Jak podrośnie, poczuje zew wolności, przeskoczy płot i pójdzie do lasu. Nikt z domowników nie będzie jej przeszkadzał, choć na pewno wszyscy trochę zatęsknią, bo przywykli do niej tak samo jak do czteroletniego Omena, boksera pilnującego obojścia.

Arkadiusz Rosiński sądzi, że po strusiach przyjdzie czas na inne zajęcie, bo chodzą mu po głowie nowe pomysły. Cokolwiek jednak by zrobił, leśnictwo i las pozostaną zawsze na pierwszym miejscu. Na pytanie, co w swojej 21-letniej karierze leśnika uznałby za swój największy sukces, odpowiada:

– W leśnictwie odnowiłem już ponad 300 hektarów lasu, zalesiłem 10 hektarów gruntu, a długość przejezdnych dróg udało się zwiększyć o około 10 kilometrów. Gdy patrzę na odnowienia, gdy widzę, jak rośnie „nowe”, serce się raduje i myślę, że sprostam temu, co w leśnictwie chyba najważniejsze: pozostawię po sobie więcej lasu, niż zastałem.

Na pytanie o plany na przyszłość, o marzenia, też odpowiedź jest krótka.

– Chciałbym wybudować dom. Mam już nawet działkę, a właściwie prawie hektarowe siedlisko po rodzicach, na którym ten dom stanie. Mały, drewniany, o takim właśnie myślę.



Arkadiuszowi Rosińskiemu marzy się, by Ola została leśnikiem... (E.P.)

Leśniczy wyznaje, że marzy mu się również, żeby Ola została leśnikiem. Na syna specjalnie nie liczy, bo Marcin jest w klasie matematyczno-fizycznej i planuje studia raczej na innym kierunku niż leśnictwo.

– Ale Olę ciągnie ze mną do lasu. Mówi, że brzydzi się robaków. Jednak gdy przynoszę do domu pudełka z borecznikami, osnujami, zawisakami – plon jesiennego poszukiwania owadów szkodników – zawsze jest na posterunku. Potrafi je doskonale na biurku posortować, a mnie pozostaje już tylko odnotowanie tego na kartach. Może więc Ola...

Arkadiusz Rosiński urodził się 15 listopada 1968 r. w Ostrowi Mazowieckiej w rodzinie związanej od pokoleń z leśnictwem. Leśnikami byli jego pradziadek Wojciech, dziadek Piotr i ojciec – Jan. Jako absolwent Technikum Leśnego w Białowieży otrzymał propozycję pracy w lasach komunalnych Ostrowi Mazowieckiej, ale jej nie podjął, bo został powołany do służby wojskowej. W kwietniu 1990 r., po śmierci ojca, został uznany za osobę niezbędną do pracy w gospodarstwie rolnym i zwolniony z wojska. Cztery miesiące później podjął pracę w leśnictwie Orło (Nadleśnictwo Ostrów Mazowiecka) jako stażysta. Od stycznia 1991 r. leśnictwo prowadził już samodzielnie, chociaż pod okiem sąsiedniego leśniczego. W roku 1997 został leśniczym leśnictwa Orło, którego szefem jest do dziś.

Biorąc przykład ze starszego brata, Zbigniewa, który biega w maratonach, sam też zaczął trenować bieganie już w podstawówce, potem w technikum. Do biegania na długich dystansach powrócił w leśnictwie Orło. W październiku 1997 r. wziął udział w Maratonie Warszawskim z grupą żołnierzy, zajmując 546. miejsce z czasem 4 godz. 13 min i 35 s. Od tamtej pory ukończył 26 maratonów, jeden bieg 24-godzinny oraz kilkadziesiąt biegów na innych dystansach. W 2001 r. startował w Mistrzostwach Polski Leśników w Biegu na Orientację – w konkurencji sprinterskiej zajął trzecie miejsce (uczestniczył we wszystkich Biegach na Orientację, organizowanych dotąd przez leśników). W ślady ojca poszły jego dzieci – syn Marcin i córka Aleksandra.

Od 2009 r. w Uczniowskim Ostrowskim Ludowym Klubie Atletycznym szkoli adeptów biegu na orientację i jako trener odnosi pierwsze sukcesy. W latach 2010 i 2011 po dwóch jego biegaczy zakwalifikowało się do Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży.

Organizuje zawody biegowe na terenie leśnictwa Orło. Jest członkiem Koła Łowieckiego „Mykita” w Ostrowi Mazowieckiej, od 10 lat gospodarzem obwodu łowieckiego, leżącego częściowo na terenie leśnictwa Orło.



Zapasy z Dziećmi Księżycyca

Do mistrzowskiego kunsztu, szczególnie w przywracaniu świetności obiektów drewnianych, dochodził powoli, małymi krokami. Dziś o tym, jak chronić skutecznie zabytki stanowiące dziedzictwo naszej kultury przed niszczycielskimi, wszechobecnymi grzybami wie prawie wszystko.

Obiekty, które Piotr Kozarski doprowadza do dawnej świetności, to głównie konstrukcje drewniane (E.P.)

Piotr Kozarski, od stycznia 2008 r. główny specjalista ds. dziedzictwa kulturowego w Lasach Państwowych, wszedł po uszy w królestwo grzybów w połowie lat 70., konkretnie 1 kwietnia 1974 r., gdy trafił do Wydziału Ochrony Zabytków ówczesnych Zjednoczonych Zespołów Gospodarczych INCO. Od tamtego momentu aż do roku 2007, a więc w ciągu 33 lat w pracy przy renowacji różnych zabytków, sporządził ponad 1300 orzeczeń mikologicznych, ekspertyz konserwatorskich i innych dokumentów. Przygotował je nie tylko dla obiektów architektury drewnianej, zlokalizowanych w całej Polsce, ale również dla architektury murowanej, także cmentarzy, zieleni zabytkowej, takiej jak na przykład Ogród Botaniczny w Warszawie.

Gdy po podstawówce rozpoczął profesjonalną edukację, najpierw w Zasadniczej Szkole Ogrodniczej, a potem już w Technikum Terenów Zieleni, nie przypuszczał, że zapasy z grzybami – Dziećmi Księżycyca, jak je nazywają niektórzy naukowcy – będzie toczył przez całe swoje profesjonalne życie. Był przekonany, że pójdzie w ślady dziadka Jana i ojca Stanisława, to znaczy – raczej zostanie leśnikiem.

Ród patriotów i leśników

A ród Kozarskich miał nie tylko pociąg do leśnictwa, zawodu leśnika, lasów, polowań i przyrody. Mężczyźni tego rodu przez pokolenia związani byli z walkami o polskość i niepodległą Polskę. Kozarscy uczestniczyli czynnie w powstańczych zrywach, potem walkach przeciwko okupantowi i przeciwstawiali się zniewoleniu przyniesionemu nad Wisłę po drugiej wojnie światowej.

Pradziad Piotra Kozarskiego, jak wielu patriotów ziemi opoczyńskiej, był uczestnikiem powstania styczniowego 1863 roku. Po upadku tego narodowego zrywu, ścigany listem gończym carskiej ochrony, salwował się ucieczką przez zieloną granicę. Dotarł – bagatela! – do Stanów Zjednoczonych, gdzie – jak przekaz rodzinny głosi – przebywał ponad 10 lat. A po zawieszeniu popowstańczych represji wrócił w rodzinne strony, kupując duże gospodarstwo rolne. Nie dość duże, żeby je można było nazwać

majątkiem, ale wystarczające, aby umożliwiała wychowanie liczego potomstwa: trzech synów i dwóch córek.

Najmłodszy z rodzeństwa, Jan, zmobilizowany przez armię carską, wziął udział w kampanii mandżurskiej w wojnie rosyjsko-japońskiej. Zdemobilizowany, pozostał na Dalekim Wschodzie na własne życzenie i przez trzy lata polował w syberyjskich lasach, dając upust swoim łowieckim pasjom. Być może kontakt z dziewiczym, nieogarnionym obszarem syberyjskiej tajgi zdecydował o jego przyszłym życiu.

Po powrocie w opoczyńskie strony poślubił młodą Zofię z Grochulskich. W Brzustowie koło Opoczna w 1911 r. przyszedł na świat Stanisław, syn Jana, ojciec Piotra Kozarskiego. Spokój młodej rodziny przerwał zamach w Sarajewie. Jako urzędnik kolejowy Jan Kozarski wycofał się z linią frontu wraz z rodziną. Koniec wojny zastał ich w Petersburgu.

– Jak opowiadał dziadek, pierwsza o wybuchu rewolucji październikowej dowiedziała się moja babcia, Zofia Kozarska – wspomina jej wnuk. – Wychodząc rano na spacer, zauważyła, że szyby witryn pobliskiego magazynu futer są wybite, a sklep został splądrowany. To był znak, że rewolucja proletariacka już zaczęła swój barbarzyński pochód.

Finał rosyjskiej epopei był typowy dla polskich rodzin. Kozarscy zatrzymali się na krótko w Odessie, skąd uciekli do wolnej już Polski. Jan Kozarski podjął pracę jako sekretarz w Nadleśnictwie Meszcze, w którym pracował aż do emerytury. Jeden z jego dwóch synów, Stanisław, ojciec Piotra, ukończył Wydział Leśny SGGW.

Już w czasie studiów uczestniczył w pracach badawczych z zespołem profesora Mariana Nunberga w świeżo powołanym Instytucie Badawczym Lasów Państwowych. Potem, jako absolwent SGGW, wykonywał prace urządzeniowe i geodezyjne na Zaolziu oraz na Kresach Wschodnich w rejonie Zaleszczyk.

– Ojciec, pracując jako leśnik, wciąż podkreślał, że Lasy Państwowe to sprawna, wspaniale funkcjonująca organizacja – mówi Piotr Kozarski. – Niestety, rozwój tego nowoczesnego, wzorcowego na tamte czasy przedsiębiorstwa przerwała kolejna wojna. Zgodnie z rodzinną tradycją, która była także tradycją polskich leśników, jako żołnierz AK wziął aktywny udział w ruchu oporu.

Tuż po wojnie Stanisław Kozarski podjął pracę w leśnictwie. Był na terenach odzyskanych nadleśniczym kolejno w nadleśnictwach: Warlubie Skarszów Dolny, a w końcu w Lubieniu – Rejonie Lasów Państwowych w Bytowie.



**Ojciec Piotra Kozarskiego – Stanisław
(archiwum P.K.)**

– Ojciec przemieszczał się celowo, aby zmylić pracowników UB, którzy ścigali go za działalność w AK. Niestety, w Skarszowie Dolnym go dopadli. Aresztowany w 1951 r., został przewieziony do Łodzi i tam, po sfingowanym procesie politycznym, został skazany na 10 lat więzienia – opowiada Piotr Kozarski.

Na wolność wyszedł po siedmiu latach – w roku 1956. I znowu podjął pracę, najpierw w Przedsiębiorstwie Produkcji Niedrzewnej „Lasy”. Potem już do emerytury pracował w Biurze Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej. Uhonorowano go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Polonia Restituta.

Studia z profesorem Tłoczkiem

– Urodziłem się w samych Mszczach – opowiada Piotr Kozarski. – I często chodziłem z ojcem do lasu. Kiedyś tam były uprawy, teraz rosną piękne drzewostany. Mszczę zapamiętałem z enklawy starych, teraz chyba 160-letnich dębów. W czasie wojny nadleśnictwu udało się uchronić ten grąd dębowy. Teraz jest tam rezerwat im. Jeremiego Kozłowskiego, ówczesnego nadleśniczego.

Ani dziadek, ani ojciec Piotra nie namawiali go do zawodu leśnika. Owszem, towarzyszył im w polowaniach, często chodził z nimi do lasu. I chyba wtedy zapalał miłością do leśnictwa, w szczególności do niezwyklego, jak się potem wielokrotnie przekonał, świata grzybów.

– Ale nim poszedłem na studia leśne, skończyłem Technikum Terenów Zieleni w Warszawie – wspomina szkolne czasy. – To była bardzo dobra szkoła. Wiedza z drzewoznawstwa, przekazywana przez nauczycielkę dendrologii, przydaje mi się do dziś.

Na studia leśne trudno się było wtedy dostać, bo oprócz botaniki trzeba było zdawać egzamin z matematyki. Ale zdał, dostał indeks i ojciec był z niego dumny, że kontynuuje rodzinne tradycje.

Wtedy na Wydziale Leśnym zajęcia z budownictwa leśnego prowadził profesor Ignacy Tłoczek – legenda najpierw toruńskiej, a potem warszawskiej architektury. Po wojnie wykładał na Politechnice Warszawskiej w Katedrze Architektury i Planowania Wsi. W 1961 r. został kierownikiem Katedry Budownictwa Wiejskiego na Akademii Rolniczej.

– Ten architekt, urbanista, historyk architektury krajobrazu i humanista zasłynął z tego, że w czasie drugiej wojny światowej gromadził materiały dotyczące obiektów architektonicznych. Wykonując przy tym tysiące rysunków, stworzył unikatową doku-

mentację obiektów, które nie przetrwały do obecnych czasów. A potem zainicjował utworzenie skansenu przy muzeum w Ciechanowcu. Byliśmy jako studenci dumni, że mamy tak wspańskiego profesora – opowiada Piotr Kozarski.

Mój rozmówca przyznaje, że to osobowość profesora Tłoczka sprawiła, iż zainteresował się bliżej architekturą drewnianą. Pracę dyplomową napisał o inwestycjach budowlanych w łowieckim zagospodarowaniu Puszczy Boreckiej.

– Pamiętam dobrze z czasów studiów przedwojenne, poniemieckie koliby drewniane w Puszczy Boreckiej, m.in. w nadleśnictwach Czerwony Dwór i Krukłanki. Tam poznałem obiekty bardzo ciekawej architektury, doskonale wpasowane w puszczański krajobraz. Ale zaniedbane, nie przetrwały do dziś, nie licząc koliby w Niedźwiadach. Szkoda! Gdybym miał wtedy dzisiejszą wiedzę, może udałoby się je zachować...

Z BUL-u do INCO

Piotr Kozarski wybrał na studiach na swoją specjalizację budownictwo leśne, ale zaczął karierę zawodową w Biurze Urządzenia Lasu, a konkretnie – w Oddziale Regulacji Stanu Posiadania. Pracował tam dwa lata, głównie w terenie, gdzie przeprowadzał taksacje drzewostanów, przeważnie południowo-wschodniej Polski. Wykonywał pomiary drzew za pomocą tzw. klupowania, obliczał ich miąższość, zajmował się podziałem drzew, sporządzał plany cięć itp.

– Wykonywanie tych czynności w terenie nie było łatwe. Często odbywało się w bardzo trudnych warunkach. „Klupowanie” w Bieszczadach, gdzie trzeba było wciąż chodzić w górę i w dół, a kolce jeżyn raniły nogi, było czasem wyczerpujące. Ale praca mi się podobała, bo zespół był zgrany i widziałem efekty tego, co robiliśmy – wspomina Piotr Kozarski. – Uważam, że w ciągu dwóch lat doświadczyłem znacznie więcej niż koledzy, którzy zaraz po studiach trafiali do prac biurowych.

Mój rozmówca podkreśla z dumą, że uczestniczył w niełatwej operacji wymiany gruntów leśnych, czyli przesuwania enklaw chłopskich lasów na obrzeża kompleksów leśnych. Z tej rozsądnie prowadzonej komasacji gruntów Lasów Państwowych były zadowolone obie strony, bo chłopci nic na tym nie tracili, a w skomasowanych drzewostanach państwowych wszelkie prace hodowlane czy ochronne wykonywało się dużo łatwiej.

Z różnych powodów, o których woli nie opowiadać, musiał jednak z pracy w BUL-u zrezygnować. W 1974 r. zatrudnił się w Zjednoczonych Zespołach Gospodarczych INCO, które w palecie rozmaitych zadań miało także ochronę zabytków.

– Moja wiedza budowlana wyniesiona ze studiów – opowiada – najpierw była wykorzystywana do wydawania opinii. Potem wysłano mnie na kurs rzeczoznawców mikologiczno-budowlanych. Po jego ukończeniu zacząłem się zajmować m.in. skansenami, a później muzeami martyrologii w byłych, najbardziej znanych obozach koncentracyjnych – w Oświęcimiu-Brzezince, Majdanku i Stutthofie.

W samym Oświęcimiu spędził około trzech miesięcy. Zajmował się tam m.in. konserwacją stalowego zbiornika wodnego na 10 tys. litrów, służącego łaźni drewnianej. Zbiornik, ustawiony na podporach ceglanych, skorodował.

– Wyremontowano go w Zakładzie Chemii Budowlanej w Wisznicach, należącym do naszej Fundacji Ochrony Zabytków. W czasie wojny maskował miejsce, w którym bez przerwy wykonywano egzekucje przez powieszenie. Była pod nim szubienica, ulokowana na podporach stalowej beczki – opowiada Piotr Kozarski.

Ze Stutthofu zapadły mu w pamięci komory gazowe, umieszczone w części murowanej obozu. Obznajomiony z chemią, mógł je bez specjalnego problemu zidentyfikować, na ścianach bowiem widoczne były wysolenia cyjanowodorowe w kolorze turkusowym, nie pozostawiając wątpliwości, że tu właśnie zagazowywano ludzi.

– W Stutthofie dokonałem niezwykłego odkrycia – wspomina. – Niedaleko muzeum zauważyłem trzy pryzmy, długie na ponad 20 metrów. Okazało się, że były to zwały butów, porośnięte mchem, przysypane ziemią, żeby się rozpadły. Ale nie zdążyły się rozpaść i zostały umieszczone w obozowym muzeum. Niemcy się interesowali butami, bo często w ich zelówkach znajdowali ukryte złoto.

Prace konserwatorskie, które wykonywał w tych obozach, zupełnie niespodziewanie zaowocowały wyjazdem do... USA. Pojechał tam w 1990 r., zaproszony przez Fundację Ronalda S. Laudera, która zainteresowała się bardzo jego opracowaniem na temat stanu zachowania obiektów w obozach Auschwitz-Birkenau, Majdanek i Stutthof, gdyż w tym czasie tworzyła Muzeum Holokaustu w Nowym Jorku.

Z wyjazdem miał problemy, bo jego dyrektorem nie było w smak, że to nie ich, lecz zwykłego pracownika zaproszono do USA. Czuł się dumny z wyjazdu i wyróżniony, gdyż znalazł się w towarzystwie prof. Alicji Strzelczyk – światowej sławy specjalisty od konserwacji papieru i skóry, bo ją fundacja również zaprosiła.

– To właśnie prof. Strzelczyk stworzyła nową dziedzinę nauki, mikrobiologię konserwatorską – wyjaśnia Piotr Kozarski – Na jej doświadczeniach wzorują się liczne

pracownie i instytucje konserwatorskie w Europie i na świecie. W czasie podróży po USA i Kanadzie dowiedziałem się od niej wiele ciekawych rzeczy.

W Nowym Jorku obserwował metody restaurowania zabytków w pracowni konserwatorskiej Metropolitan Museum. Potem przyglądał się, w jaki sposób pracują nad renowacją zabytków w kanadyjskim mieście Windsor. Przy okazji zapoznał się również z tamtejszym budownictwem drewnianym.

– Podczas tej podróży doszliśmy z prof. Strzelczyk do wniosku, że sztuka konserwacji w Europie stoi na zdecydowanie wyższym poziomie niż w USA. Za oceanem mają znakomity sprzęt, ale stosują bardzo toksyczne środki, których używanie na Starym Kontynencie jest zakazane. Byłem również bardzo zaskoczony, że konserwując stare drzewa, plombują ubytki drewna betonem – opowiada. – W Polsce już od 20 lat tego nie robimy, bo betonowanie kumuluje wilgoć, stwarza warunki do rozwoju grzybów i choroba nie ustępuje.

Zaciekawiła go natomiast koncepcja zaprezentowana przez Alexa Schigo z Pensylwanii, który twierdził, że drzewa same wytwarzają warstwy ochronne. Otorbiają miejsce zajęte przez grzyba, chroniąc w ten sposób pozostałą, zdrową tkankę. Barię odpornościową, wytwarzaną samoistnie przez drzewa, są związki fenolowe, które niszczą grzyby.

– To była ciekawa podróż studialna. Ale nie wszystkie tamtejsze zwyczaje nam się spodobały. Zaproszono nas na przykład na kolację, a potem przy wyjściu kazali za nią zapłacić. W Polsce byłoby to nie do pomyślenia...

Na Małym Wawelu

Jest taka miejscowość na Kresach Wschodnich, a konkretnie na Ukrainie, około 40 km na wschód od przejścia granicznego w Hrebennem, której zespół zabytkowych budowli określany jest mianem Małego Wawelu. To Żółkiew, gdzie króluje kościół farny pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Został wzniesiony w latach 1606–1618, ufundowany przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Ta późnorennesansowa budowla z grobowcami Jakuba i Konstantego Sobieskich była w XIX w. jedną z najwspanialszych skarbnic pamiątek narodowych.

I właśnie na tym Małym Wawelu przez blisko dziesięć lat Piotr Kozarski wykonywał prace konserwatorskie, przywracając temu obiektowi dawny blask (po wojnie, w czasach ZSRR, zdewastowano go, czyniąc zeń magazyn artykułów spożywczych, a potem – przemysłowych).



Elewacja południowo-wschodnia zespołu sakralnego pw. św. Wawrzyńca w Żółkwi (P.K.)

– Nasza Fundacja Ochrony Zabytków – opowiada – prowadziła prace konserwatorskie na Kresach Wschodnich na terenie dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. Gdy zdewastowaną świątynię w Żółkwi przekazano Kościołowi katolickiemu, fundacja wysłała mnie tam, abym włączył się do restauracji zabytku. W ramach Programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Dziedzictwo Kulturowe” uczestniczyło w tym kilkanaście instytucji.

Lista prac wykonanych w Żółkwi przez Piotra Kozarskiego jest bardzo długa i liczy ponad 20 pozycji. Zajmował się głównie tzw. ratunkową konserwacją fragmentów świątyni wykonanych z drewna, przede wszystkim detalami we wnętrzu świątyni.

Zaczął od remontu dachu. Najpierw opracował ekspertyzę mikologiczną więźby dachowej. Dach pokryto blachą miedzianą. Kierując w Żółkwi pracami konserwator-



**Piotr Kozarski w stallach
prezbiterium kościoła
pw. św. Wawrzyńca w Żółkwi (P.K.)**

skimi Fundacji Ochrony Zabytków, oczyścił strychy, zamurował dziury w sklepieniach i zakonserwował stare konstrukcje drewniane dachu. Następnie wykonał nowe drzwi szczytowe w połaci dachu nad prezbiterium, objając je z frontu miedzianą blachą. Potem wziął się za detale drewniane w środku świątyni, a konkretnie za trzy ołtarze: główny i dwa boczne, stalle oraz ambonę. Uporządkował też kryptę Żółkiewskich, którą wcześniej splądrowano, bo szukano tam złota, wreszcie odrestaurował tzw. prospekt organowy.

To wszystko wykonał, jak można wyczytać w książce pt. „Żółkiew i jej świątynie”, w darze dla tego obiektu. Z zamieszczonej w publikacji listy „Darczyńców świątyni” (liczy 14 pozycji, większość z nich to poważne instytucje) wynika, że udział Piotra Kozarskiego w przywróceniu świetności naszemu Małemu Wawelowi jest ogromny. I faktycznie jest darem jego umiejętności, pracy dla żółkiewskiego cudeńka.

– Wszystkie prace wykonywałem, korzystając z przywiezionych z kraju materiałów. Były to m.in.: kleje, epidian, paraloid – sztuczne żywice, służące do wzmacniania struktury drewna. Warto było, bo to, co zrobiłem w żółkiewskiej świątyni, będą mogły oglądać kolejne pokolenia – mówi Piotr Kozarski.

Ale na pracach renowacyjnych kościoła farnego w Żółkwi zasługi Piotra Kozarskiego na rzecz polskich zabytków, które po drugiej wojnie znalazły się na Kresach Wschodnich, wcale się nie kończą. Z jego udziałem wykonano też pierwszą inwentaryzację Cmentarza Orląt we Lwowie.



**XVIII-wieczny kościół
w Powiewiórkach, w którego
restauracji uczestniczył
Piotr Kozarski (P.K.)**

Pracując w Fundacji Ochrony Zabytków, uczestniczył w wielu innych pracach konserwatorskich, m.in. przy porządkowaniu cmentarzy na Białorusi i Ukrainie czy zdewastowanej nekropolii ponad 400 żołnierzy polskich, poległych w 1920 r. w Brześciu nad Bugiem. Brał również udział w restauracji XVIII-wiecznego zespołu sakralnego św. Kazimierza w Powiewiórkach na Litwie, w którym 15 grudnia 1867 r. został ochrzczony Józef Klemens Piłsudski, urodzony w pobliskim Zułowie.

Grzyby – moja miłość

– Do zbierania grzybów wciągnął mnie ojciec w Meszczach – tam, gdzie się urodziłem. Lasy były dorodne, grzybne, tylko trzeba było bardzo uważać, bo było pełno żmij. Zbieractwo grzybów już wtedy mnie bardzo fascynowało – wspomina Piotr Kozarski.

Potem, gdy był w szkole średniej, jeździł z bratem w Bory Tucholskie, gdzie pomagali ojcu w leśnych pracach urzędzeniowych. Pamięta, że było tam wtedy mnóstwo rydzów.

– Zebrane rydze wkładaliśmy do kamiennego garnka – wspomina tamte czasy – przekładając je warstwami soli. Zimą wyciągaliśmy, płukaliśmy i jedliśmy na surowo. Mama twierdziła, że są pyszne, choć mnie już tak bardzo nie smakowały.

Pasja zbierania grzybów jadalnych pozostała w nim do dziś i co najmniej raz w roku jeździ do Niedźwiadów, gdzie ma swój domek. Tam oddaje się bez reszty temu hobby. A okolice tej miejscowości, położone na zachodniej flance Borów Tucholskich, są nadzwyczaj grzybne. Wypatrzył tam stanowiska takich gatunków, które są rzadkością w Polsce.

Z równą, a może jeszcze większą żarliwością poznaje grzyby, które żyją na drewnie, powodując destrukcje wielu przedmiotach, wykonanych z tego surowca. Najgłębiej wniknął w tajniki gatunków, atakujących domy drewniane. W tym jest specjalistą najwyższej klasy.

Na pytanie, które z grzybów w naszych warunkach klimatycznych są najgroźniejsze i czynią największe szkody, odpowiada, że jest ich wiele – dość powszechnie występujących i niebezpiecznych dla budownictwa drewnianego. Są to na przykład: gnilica mózgowata, nazywana grzybem piwnicznym, stroczek domowy (grzyb domowy właściwy) i podskórnik zatokowaty, czyli grzyb domowy biały.

– Najgorszy z grzybów podstawkowych, tzw. podstawczaków, jest stroczek domowy. Jako jedyny powoduje alergie u ludzi. Badania prowadzone w Anglii dowiodły, że rozsiewane przez strocza zarodniki wywołują nowotwory krwi. Obecność strocza domowego stwierdziłem w kilku leśniczówkach i tam został zwalczony.

Z kolei gnilica mózgowata jest odporna na różne warunki pogodowe i zasiedla drewno zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz budynków. Natomiast grzyb domowy biały lubi się zadomowić w więźbie dachowej.

Żeby ochronić drewno przed dalszą deprecjacją, najpierw trzeba zdiagnozować, co jest powodem jego niszczenia (E.P.)



– Drewniane elementy konstrukcyjne domów należy impregnować – przekonuje Piotr Kozarski. – Niektórzy specjaliści twierdzą, że drewno strugane nie poddaje się owadom. To prawda, ale jeśli ten surowiec, użyty w konstrukcji szkieletowej, nie zostanie potraktowany impregnatem, najlepiej ciśnieniowo, prędzej czy później grzyb zacznie weń wchodzić.

I mówi dalej, że jest wiele dobrych metod, które skutecznie zwalczają grzyby. Kiedyś dobrym impregnatem, zabezpieczającym przed grzybami atakującymi konstrukcje drewniane, był ksylomit, stosowany również do zwalczania owadów. Dziś paleta środków – ekologicznych, nieszkodliwych dla człowieka – jest bardzo bogata. Szkołę w tym, że bardzo kiepskie jest wykonawstwo zabezpieczeń.

– Jeśli tzw. fachowiec smaruje zaatakowane przez grzyba powierzchnie nie trzy razy, jak mówi instrukcja, tylko raz, efekty są mizerne, czasem żadne, a pieniądze – wyrzucone w błoto – twierdzi Piotr Kozarski. – Przykładów mógłbym podać wiele. W pewnej leśniczówce zidentyfikowałem stoczek domowego, który pojawił się w narożnym pomieszczeniu leśniczówki. Dwa lata po remoncie wrócił, bo zamiast zastosowania proponowanych preparatów został zalany... betonem.

Mój rozmówca opowiada, że wśród grzybów, które pojawiają się w domach, są również zupełnie nieszkodliwe, chociaż oczywiście nikt nie chce, aby się w domu zasiedlały. Obojętna dla ludzi jest na przykład kustrzebka murowana, którą rozpoznał w mieszkaniu kolegi leśnika, mieszkającego pod Warszawą.

– Kustrzebka wystąpiła na betonowej posadzce. Najprawdopodobniej dlatego że do zaprawy cementowej użyto piasku z lasu, w którym były zarodniki tego grzyba. Kiedy pojawiły się wilgoć i ciepło, zaczęły się rozwijać.

Piotr Kozarski tłumaczy, że owocniki kustrzebki pojawiają się często na płytach gipsowo-kartonowych, którymi zakrywane są wilgotne ściany. Obecny w tych płytach tzw. ścier gipsowo-kartonowy jest dla tego grzyba znakomitą pożywką.

W rozmowie o grzybach bardzo często wraca do swoich ukochanych Niedźwiadów, gdzie co rusz udaje mu się odkryć niezwykle, rzadko spotykane gatunki grzybów. Kiedyś na przykład trafił tam na stanowisko ozorka dębowego, który jest pod ścisłą ochroną.

– Profesor Henryk Orłoś nazywał go ozorkiem wątrobowym, bo jego dojrzały owocnik bardzo przypomina, zarówno kształtem, jak i kolorem płat wątroby. W jednym miejscu na 10 dębach, liczących prawie 180 lat, zinwentaryzowałem 10 jego stanowisk.

Ozorek występuje tylko na starych dębach. Rozwijają się bardzo wolno, ale dla swojego żywiciela jest niegroźny. W Anglii przenoszono go nawet na żywe dęby, bo pozyskane później drewno było bardzo podatne na różne sposoby obróbki, m.in. toczenie, i miało zastosowanie w szkutnictwie. A o czerwonym odcieniu – także w meblarstwie.

Piotr Kozarski, gdy pracował jako mikolog w INCO, miał nawet na temat ozorka pisać pracę doktorską. Niestety, jego ówczesni szefowie – nie wiadomo, czy z zazdrości, czy innych powodów – nie dopuścili do realizacji tego planu.

W Niedźwiadach spotkał również innego niezwyklego grzyba. Na buku dostrzegł, objętego ochroną gatunkową, flagowca olbrzymiego. Jest to jeden z większych grzybów nadrzewnych. Ze względu na upodobanie do antropogenicznych stanowisk nazywa się go również grzybem parkowym.

– Flagowiec jest bardzo ładny i zmienny. Pojedyncze rozety osiągają wagę do kilkunastu kilogramów, a skupienia owocników przy jednym pnieniu – do kilkudziesięciu.

Podobnie jak ozorek, wytwarza jednoroczne owocniki i znika. W Niedźwiadach udało mi się znaleźć trzy formy tego grzyba. Być może trafię na kolejne, jeszcze nie wiem, jak wielkie i jakiego kształtu. Bo świat grzybów to ocean tajemnic. Nie na darmo grzyby – w przeciwieństwie do roślin, o których mówi się, że są Dziećmi Słońca – nazywane są Dziećmi Księżycy...

Piotr Kozarski jest absolwentem Wydziału Leśnego Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, którą ukończył ze specjalnością inżyniera leśna. Swoją karierę zawodową rozpoczął w roku 1972 w Biurze Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej na stanowisku taksatora.

Przez kolejne 26 lat, po uzyskaniu w roku 1986 specjalności konserwatora zabytków na Studium Podyplomowym Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, zajmował się renowacją i konserwacją zabytków, specjalizując się głównie w ratowaniu obiektów drewnianych.

W latach 1974–1986 wykonywał te zadania jako główny specjalista ds. mikologii i konserwacji zabytków w Zjednoczonych Zespołach Gospodarczych INCO, potem (w latach 1986–2002) pracując w Fundacji Ochrony Zabytków na stanowisku głównego specjalisty ds. konserwacji zabytków.

Przez cztery lata był konserwatorem zabytków w Fundacji Polskiego Państwa Podziemnego, a w 2007 r. objął stanowisko ds. ochrony dziedzictwa kulturowego w Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych. Od stycznia 2008 r. jest głównym specjalistą ds. dziedzictwa kulturowego w Lasach Państwowych.

Wybitny fachowiec w dziedzinie ochrony drewna i innych materiałów, z których wznoszono budowle, będące dziś zabytkami naszej kultury materialnej. Jest m.in. rzeczoznawcą mikologicznym i rzeczoznawcą Ministerstwa Środowiska w specjalności ochrona powierzchni ziemi i zieleni.

W ciągu 33 lat w pracy na rzecz renowacji różnych zabytków sporządził ponad 1300 orzeczeń mikologicznych, ekspertyz konserwatorskich i innych dokumentów. Jest autorem około 20 publikacji, dotyczących głównie ochrony drewna przed korozją biologiczną, przede wszystkim przed grzybami.

Uhonorowany odznakami i odznaczeniami, m.in. Złotym Medalem „Za Zasługi dla obronności kraju” Ministerstwa Obrony Narodowej i Medalem „Pro Memoria” Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.



Bicie własnego serca

Janusz Rautszko miał smykałkę do matematyki, w czym wspierali go rodzice – nauczyciele tego przedmiotu. Polonistka nakłaniała go do pisania, widząc w ówczesnym licealiście talent pisarski. Sam wybrał jednak zawód leśnika i dziś jest nadleśniczym w Nadleśnictwie Szczecinek.

Janusz Rautszko ma na swoim koncie dziesięć książek (E.P.)

Ale prawie od dwudziestu lat spełnia nadzieje Klary Ujmy – wspomnianej polonistki, z którą zresztą ma stały kontakt – i pisze książkę za książką. Ma ich na swoim koncie już dziesięć i jedenastą chyba w drodze. A zaczął od trylogii – trzech tomów, w których opisał losy swojej rodziny i rodziny żony Krystyny.

Wilhelm, Tatiana i Henryk

Obydwa rody łączą dramatyczne epizody wiążące się ze zbrodniami w Katyniu – niesławnej Gologicie Wschodu. W losach tych rodzin skupiona jest jak w soczewce historia Polski ostatnich dziesięcioleci: od wybuchu drugiej wojny światowej po początki Solidarności.

Pierwszy tom trylogii – „Ślady miękkich łap” – to opis tragicznych dziejów dziadka i babci nadleśniczego: Wilhelma i Tatiany Rautszków, także losów czwórki ich dzieci, które zostały sierotami. Nadleśniczy napisał o tym na podstawie opowieści usłyszanych od ich syna, a swego ojca – Stefana.

– Książkę napisałem w 1989 r. – opowiada Janusz Rautszko – ale ukazała się 11 lat później. Wtedy nie miała szans na publikację, bo takie słowa jak NKWD, Miednoje, Ostaszków, Katyń należały do tematów tabu.

Dopiero w 2000 r. „Ślady miękkich łap” ujrzały światło dzienne. Pierwsza część tej książki opowiada o tragicznym losie Wilhelma Rautszki, przodownika Policji Państwowej, komendanta posterunku w kresowych Chinoczech (pow. Sarny). Aresztowany w 1939 r. przez Sowieców, więziony w Ostaszkowie, a potem zamordowany w Twerze przez NKWD strzałem w tył głowy, spoczywa w masowych grobach pod Miednoje.

13 kwietnia 2011 r. w Warszawie, gdzie od lat pracuje jako lekarz Bolesław Rautszko, syn Wilhelma i stryj autora „Śladów miękkich łap”, odbyła się niezwykła uroczystość. Na terenie parafii św. Feliksa z Kantalicjo w Wawrze w ramach programu edukacyj-

nego „Katyń... ocalić od zapomnienia” odsłonięto tablicę pamiątkową i posadzono Dąb Pamięci, poświęcone Wilhelmowi Rautszce, którego prezydent Lech Kaczyński awansował pośmiertnie do stopnia aspiranta.

– Sadząc ze stryjem ów dąb, odsłaniając tablicę pamiątkową, czułem się jako wnuk, a więc reprezentant rodziny, bardzo dumny z mojego dziadka, szczęśliwy, że doczekałem takiej chwili – opowiada Janusz Rautszko. – I wzruszony, szczególnie w chwili, gdy ktoś podkreślił, że „to drzewo – pomnik zamordowanego – będzie przypominało kolejnym pokoleniom młodzieży wawerskiej o bohaterze, który zginął, abyśmy mogli żyć”. Tych słów i odegranej na koniec uroczystości pieśni „Śpij, kolego...” nie zapomnę do końca życia...

Druga część książki „Ślady miękkich łap” opiewa historię Tatiany, którą w kwietniu 1940 r. wraz z czwórką dzieci deportowano do północnego Kazachstanu, a potem przewieziono kilka tysięcy kilometrów na południe do pracy w kołchozie. Skatowana przez brygadzystę, w wyniku obrażeń umiera w 1944 r.

– Obiecałem ojcu – wyznaje nadleśniczy – że to, co mi opowiedział, kiedyś przeleję na papier. Słowa dotrzymałem. Tak powstał fabularyzowany dokument, z dialogami, w którym wszystkie postaci są prawdziwe, a opisane epizody miały lub mogły mieć miejsce; są próbą rekonstrukcji tamtych wydarzeń.



Janusz Rautszko na nowiułkiej, mierzącej 45,5 metra wieży obserwacyjnej leśnictwa Spore (E.P.)

Henryk Więcek, teść nadleśniczego, też był w obozie w Ostaszkwie i przez kilka tygodni przebywał z jego dziadkiem na wyspie Łłowaja, położonej na jeziorze Seligier. Osadzono go tam po kapitulacji Pińska. Wcześniej jako 17-letni harcerz brał udział w wojnie obronnej 1939 r.

Z Ostaszkowa został wywieziony do Warszawy. Cudem ocalony (w Rembertowie wyrzucono go z pociągu, bo myśleto, że nie żyje), trafił do stołecznego Szpitala Maltańskiego, gdzie odzyskał zdrowie. Wiosną 1941 r. został zatrzymany w ulicznej łapance i wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. W maju 1945 r. powrócił do rodzinnego Ostrzeszowa.

– Właśnie o Henryku Więcku opowiada drugi tom wspomnianej trylogii „Nikt im iść nie kazał”, którą napisałem po wysłuchaniu opowieści mojego teścia – mówi Janusz Rautszko. – Powojenne losy bohaterów dwóch poprzednich tomów, którzy przeżyli, opisuję w trzecim tomie: „Wpisani w ciebie nadzieją”.

Z 82. piętra WTC

Pewnego razu do księgarni, w której pracowała żona nadleśniczego, przyszła jej znajoma z artykułem w tygodniku „Niedziela”. Tekst mówił o Polce – Leokadii Głogowskiej, cudem uratowanej podczas ataku terrorystycznego na World Trade Center. 11 września 2001 r. była na 82. piętrze WTC. W artykule przewijało się też nazwisko Danuty Rautszki – matki nadleśniczego. Okazało się, że L. Głogowska była jej uczennicą w wałbrzyskim Liceum Sióstr Niepokalanek, a po emigracji do USA wciąż ze swoją „ukochaną nauczycielką od matematyki” korespondowała. Janusz Rautszko skonstatował, że los podsunął mu szansę napisania kolejnej książki. I tak się stało.

– W czerwcu 2002 r. – opowiada – napisałem do Leokadii pierwszego maila. Wymiana korespondencji między Szczecinkiem i Nowym Jorkiem była intensywna. Przeplatała się z wielotygodniowym surfowaniem po Internecie, kwerendą literatury na temat ataku na WTC, doprowadzając do napisania książki „Więcej niż być”.

Historia cudownego ocalenia Leokadii Głogowskiej, do dziś pracownika NY Metropolitan Transportation Council, opowiedziana w książce Janusza Rautszki, przyniosła mu największy jak dotąd sukces wydawniczy; pozycja rozeszła się w nakładzie ponad 30 tysięcy egzemplarzy.

W Nowym Jorku, dokąd zaprosiła go Leokadia Głogowska, podkreślano, że miejsce wydarzenia – topografia WTC i jego sąsiedztwo – choć przedstawione w książce na odległość, z Polski, opisane zostało bezbłędnie, niemal perfekcyjnie.

– W 2003 r. Leokadia i ja objechaliśmy z tą książką niemal całą Polskę – opowiada autor. – W Krakowie do dyskusji włączył się franciszkanin, mówiący płynnie po polsku i angielsku. Jak się okazało, urodził się na Manhattanie, znał Nowy Jork jak własną kieszeń. I on również nie mógł wyjść z podziwu, że droga ucieczki Leokadii ze „strefy zero” do jej mieszkania na Brooklynie została opisana tak dokładnie przez kogoś, kto tam nigdy nie był.

Hazard szarych komórek

Zanim nadleśniczy wziął się za pisanie książek, był wręcz nałogowym uczestnikiem radiowych i telewizyjnych turniejów, w które wciągnął całą rodzinę.

– Wszystko zaczęło się od rodzinnego turnieju radiowego emitowanego w połowie lat 90. w każdą niedzielę przez radio RMF FM. Rodziny musiały się w nim wykazać wiedzą, którą chłonąłem wcześniej, gdy jako uczeń, potem student rozwiązywałem krzyżówki, studiując namiętnie różne encyklopedie i słowniki.

Efekty hazardu szarych komórek były imponujące. Rodzina Rautszków wygrała kilka wycieczek, m.in. jedną na Majorkę, dwie do Grecji, także do Hiszpanii i krajów Beneluksu. Potem zaczęły się przygody z teleturniejami: Koło fortuny, Krzyżówka szczęścia, Miliard w rozumie. Także z sukcesami. W 1996 r. Krzyżówka szczęścia przyniosła rodzinie nadleśniczego najwyższą wygraną – samochód marki Daewoo, matiza. Głowa rodziny wzięła również udział w wielkim finale Jednego z dziesięciu.

– Ale największą przyjemność – opowiada Janusz Rautszko – przyniosło mi Koło fortuny. W finale, gdy trzeba było odgadnąć pięcioliterowe hasło, a podano tylko jedną samogłoskę, nagle z pamięci wynurzyła mi się fioletowa okładka lektury szkolnej Byrona z wypisanym białymi literami tytułem: „Giaur”. Wypaliłem na głos to słowo i wygrałem. To właśnie o nie chodziło...

Ta skłonność do intelektualnych potyczek wciąż tkwi w Januszu Rautszce. Stała się chyba jego nałogiem. I dlatego po dziewięcioletniej przerwie w 2011 r. wystartował do kolejnego teleturnieju. Tym razem wybrał Gilotynę, turniej, który – jak tłumaczy – wymaga umiejętności skrablisty.

– Pomyślałem, że sprostam zadaniom Gilotyny – chodzi w niej o kojarzenie związków frazeologicznych. Pojechałem więc w styczniu na casting do Warszawy i po teście, w którym sprawdzano wiedzę ogólną, i próbie przed kamerą zostałem zakwalifikowany do finału.

„Nie zamieniłbym zawodu leśnika na inny” – twierdzi z przekonaniem Janusz Rautszko (E.P.)



Finał był dramatyczny, bo równocześnie i zwycięski, i przegrany. Zwycięski, gdyż pokonał szybko trzech konkurentów, ale suma „dowieziona” do finału – 32,5 tys. złotych – przeszła mu koło nosa. A więc przegrany.

– Gdy wyświetlono pięć słów: komplet, kancelaria, radca, agent, wybory – opowiada – wszedłem w ślepą uliczkę i w ciągu minuty, którą miałem na odgadnięcie hasła, już się z niej nie wycofałem. Wszystkie pięć słów łączyło oczywiście słowo „tajny”, a ja się wpakowałem w słowo „prawni” i już z niego nie wyszedłem. Tym razem więc nie wygrałem, ale dla mnie największą radością jest sam udział, który zawsze podnosi mi poziom adrenaliny i chyba dla niej w tych teleturniejach startuję.

Nadleśniczy i jego rodzina uczestniczyli do tej pory w 23 teleturniejach. Teraz czekają na casting do teleturnieju Postaw na milion, bo Renata – jego córka – tam właśnie ich zgłosiła. Może tym razem? Jak twierdzi Janusz Rautszko, żeby w tych turniejach nie być statystą, coś osiągnąć, trzeba swój umysł trenować, być cały czas „na topie”. A na pytanie, czy jest w stanie pogodzić ambicje literackie z pracą zawodową, odpowiada:

– Jedni gapią się godzinami w ekran telewizora, inni lubią leniuchowanie, a ja piszę w wolnym czasie książki. Rodzina to akceptuje, twierdząc, że dzięki moim pomysłom mamy ciekawe życie. A w pracy robię swoje – to, co do mnie należy. Z ogromną przyjemnością, bo nie zamieniłbym zawodu leśnika na inny.

Wszystko poukładane

Jako najlepszy uczeń w liceum Janusz Rautszko mógł pójść na kierunek, który sam sobie upatrzył. Wybrał leśnictwo na ówczesnej Akademii Rolniczej w Poznaniu, kończąc je dyplomem z wyróżnieniem. Po studiach zaczął pracę w Biurze Urządzania Lasu; myślał, że sam sobie będzie tam sterem, żeglarzem i okrętem.

– I się nie pomyliłem. Nie było tam administracji, była za to praca inżynierska, koncepcyjna. W BUL-u wytrzymałem cztery lata. Odszedłem, bo musiałem zerwać z pracą w terenie; rodzina sygnalizowała, że w domu też jestem potrzebny.

Tak trafił do Nadleśnictwa Szczecinek, gdzie przez 14 lat był brakarzem. Ale i w fascynującym, jak twierdzi, poszukiwaniu wad w drzewostanach i ściętym drewnie zaczął się w pewnym momencie dusić. Gdy padła propozycja, aby został szefem Nadleśnictwa Szczecinek, skorzystał z niej. Od czerwca 2001 r. jest więc nadleśniczym.

– Szybko się wtedy przekonałem – opowiada – że być nadleśniczym to zupełnie inna bajka. To stanowisko niczym burmistrza, odpowiedzialnego za wszystko, za ludzi i sprawy – od detali po kwestie najwyższej wagi. W pracy czułem się jak zagoniony pies. Przychodziłem do domu zmęczony i od razu zasypiałem. Trwało to jednak tylko pół roku.

W tym czasie nadleśniczy poukładał relacje między ludźmi, bo uznaje, że jeśli one są w firmie co najmniej poprawne, można rozwiązywać najtrudniejsze problemy. Czynił to bez rewolucji, przez systematyczne, ewolucyjne zmiany.

– Mój największy sukces – mówi – to załoga. – Najlepiej widać to w Dniu Leśnika. Pojawia się blisko 100 osób, a przecież nikt nie każe im przychodzić. Jednak uczestniczą w tym święcie i to mnie bardzo cieszy.

Na pytanie, co się nadleśniczemu przez 10 lat szefowania udało się zrobić, odpowiada, że żadnej sprawy nie pozostawił odłogiem. Podaje cały ciąg przykładów. Niegdyś w nadleśnictwie za szacunki brakarskie zabierano się w połowie lipca; były gotowe na wrzesień. Janusz Rautszko ten termin systematycznie cofał; dziś szacunki oddawane są co roku w połowie marca. Podobnie jest z wnioskami gospodarczymi. Przygotowywano je w końcówce lata, na początek jesieni, a teraz są gotowe w połowie czerwca.

– Jedenaście lat minęło od chwili, gdy wprowadziliśmy rodzaj dorocznej konsultacji z leśniczymi, które *de facto* są oceną pracy leśniczego. Udało się nam do tego

włączyć algorytmy matematyczne. Ta ocena wiąże się z nagrodami pieniężnymi i mobilizuje, bo w podświadomości ludzi tkwi gdzieś przekonanie, że warto, bo się opłaca. Porządkuje też pracę w nadleśnictwie: po 14 takich spotkaniach (mamy 14 leśnictw) doskonale wiemy, na czym stoimy – ciągnie dalej nadleśniczy. I dodaje, że łatwo osiągnąć sukces jednorazowy, a jemu zależy na tym, żeby wejść do „pierwszej ligi” i w niej pozostać. Gdy spogląda na polskie leśnictwo z lotu ptaka, wydaje mu się, że z naszymi lasami, przy których wciąż ktoś kombinuje, może się zdarzyć coś, o czym opowiadał Laskowik: oto był sklep kolonialny, nagle zniknął i wszyscy wokoło zaczęli pytać: komu to przeszkadzało?

– Uważam, że mamy bardzo dobry model gospodarowania lasami: sprawdzony, organizacyjnie dopracowany. Nasze nieszczęście polega na tym, że wciąż pojawiają się pomysły, żeby coś w tym poukładanym mechanizmie poprawić. Wtedy chciałoby się ostrzec: dajmy spokój temu poprawianiu, bo coś, co jest na prawdę dobre, w końcu zepsujemy – puentuje nadleśniczy.



„Mamy bardzo dobry model gospodarowania lasami, sprawdzony, organizacyjnie dopracowany, a mimo to wciąż pojawiają się pomysły, żeby w nim coś zmienić” – dziwi się Janusz Rautszko (E.P.)

Zdaniem Janusza Rautszki leśnik – co powinno być oczywiste – zawsze wycina to, co wyciąć musi, narażając się tym, którzy chcą mieć więcej drewna, ale i tym, którzy optują za tym, aby nie ruszać w lesie ani jednej sztuki.

– Za komuny – wspomina nadleśniczy – było takie powiedzenie: oszczędzając papier, oszczędzasz lasy. Nic bardziej bzdurnego! Na 1 ha sadzimy 10 tys. sadzonek sosny. Do wieku rębności – 100 lat – dojrzeją 500 pięknych, dorodnych sosen. Ale przez ten długi czas trzeba coś zrobić z 9,5 tys. drzew. Są więc czyszczenia późne, trzebieże wczesne i późne, a w trakcie tych zabiegów do Kronospanu, Świecia, Kwidzyna suną transporty drewna. Ludzie to widzą i krzyczą: masakra! A nieszczęście będzie wtedy, gdy te zakłady pozamykamy. Bo co zrobimy z surowcem? W przeszłości zdarzały się już przestoje w odbiorze drewna. Były to najgorsze dla lasów okresy: gradacji owadów, chorób grzybowych, epizoocji. Drewno nie wyjeżdżało z lasów i wreszcie ekologiczne bomby eksplodowały – podsumowuje nadleśniczy.

Jego zdaniem gwarantem tego porządku są leśnicy w strukturach Lasów Państwowych – takich, jakie są. Broń Boże, nie należy tu niczego zmieniać!

G.I. Joe

W 2010 r. nadleśniczy ze Szczecinka postanowił swoją kolejną powieścią upamiętnić tragiczną katastrofę, która się wydarzyła w Chorzowie, w styczniu 2006 r., podczas 56. Ogólnopolskiej Wystawy Gołębi Poczтовых. I tym razem – jak w wypadku cudownie uratowanej Leokadii podczas ataku na nowojorski WTC – zainspirował go pojedynczy los Jerzego Wiesie z Lotynia pod Szczecinkiem. Ten świetny weterynarz, specjalizujący się w leczeniu gołębi, cudem uszedł z życiem z katastrofy, w której zginęło 65 osób!

– To miała być książka opisująca losy ocalonych i rodzin osób, które straciły życie pod gruzami dachu pawilonu wystawowego – wspomina Janusz Rautszko. – Gdy zacząłem zgłębiać wiedzę o środowisku hodowców gołębi, doszedłem do wniosku, że bohaterem książki może być nie tylko człowiek, zafascynowany gołębiem pocztowym, ale również sam gołąb.

Nadleśniczy szybko się zorientował, że w naszej literaturze owa tematyka to biała plama. Napisano kilka poradników o tym, jako hodować gołębie, ale na tym koniec. Książek o odwiecznych relacjach między człowiekiem a gołębiem pocztowym i o samym gołębiu, który odegrał w historii człowieka niebagatelną rolę, nie ma. A Internet pęka w szwach od informacji na ten temat. Janusz Rautszko postanowił więc przynajmniej w jakiejś części tę lukę wypełnić.

– Tak powstała książka „Gołębie serce” – opowiada – której akcja zaczyna się w okolicach zatopionej góry Ararat, kiedy Noe, dzięki gołębiowi, dowiaduje się o końcu potopu, a kończy w dzisiejszych czasach epizodem z gołębim występującym w roli... sanitariusza. Pomiędzy tymi wydarzeniami czytelnik ma okazję zapoznać się z bardzo mało znanymi faktami z pierwszej i drugiej wojny światowej, kiedy to służące w różnych armiach gołębie decydowały o losach bitew albo ratowały życie tysiącom ludzi.

Oto przykład gołębia o imieniu G.I. Joe. Wyklął się w Algierii, latał z pocztą armii amerykańskiej w północnej Afryce, a pod koniec wojny znalazł się we Włoszech, na południe od Monte Cassino. Był tam, gdy 18 października 1943 r. oddziały brytyjskie – po przekroczeniu Ankony – miały zająć wioskę Colvi Vecchia.

Wcześniej miejsce to, opanowane przez Niemców, miało być zbombardowane przez lotnictwo amerykańskie. Gdy zwiadowcy brytyjscy stwierdzili, że Niemców w wiosce nie ma, weszli do Colvi Vecchia. Pech sprawił, że łączność radiowa się zerwała i oddziałom brytyjskim, liczącym ponad tysiąc żołnierzy, zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo zbombardowania... przez aliantów. Wtedy, na 20 minut przed planowanym nalotem, z informacją o tych faktach wysłany zostaje G.I. Joe. I dolatuje do sztabu, w chwili gdy bombowce już grzeją silniki. W ten sposób maleńki gołąbek uratował życie tysiącom żołnierzy!

Książka nadleśniczego kończy się w Londynie. Nie bez kozery. To tam właśnie, na ulicy Park Lane, znajduje się pomnik poświęcony bohaterskim zwierzętom. Tworzą go m.in.: konie, psy, koty, słonie, wielbłądy i oczywiście stadko gołębi. A na białej ścianie z portlandu widnieje napis: „Zwierzętom na wojnie. Pomnik ten poświęcony jest wszystkim zwierzętom, które we wszystkich czasach służyły i ginęły u boku sił brytyjskich i sprzymierzonych podczas wojen i kampanii. Nie miały wyboru”.

Współcześnie gołębie pocztowe wykorzystuje w Londynie pogotowie ratunkowe; ratownicy docierający do wypadku pobierają krew rannego i wysyłają ją z gołębim, który przylatuje do kliniki w kilka minut. Gdy ambulans dojeżdża z rannym, analiza krwi już jest gotowa.

Autor „Gołębiego serca”, penetrując różne źródła, trafił na zdjęcie, które dowodzi, że i w polskiej armii służyły zwierzęta.

– Fotografia przedstawia kilkunastu żołnierzy plutonu łączności Wojska Polskiego sprzed drugiej wojny światowej – kończy nadleśniczy. – Przy każdym siedzi owczarek

niemiecki: jeden z nawiniętym na bęben kablem telefonicznym, drugi z taśmą z nabojami, a kilka następnych psów dźwiga na plecach nosidełka z gołębiami. Więc i u nas też gołębie służyły, ale kto o tym pamięta? Kto o tym wie?

W Republice Mnichów

– Byłem w tej grupie jedynym leśnikiem. Tworzyli ją m.in.: ksiądz kardynał Kazimierz Nycz, jego kapelan – ksiądz Piotr i jezuita Aleksander. Razem było nas ośmiu.

Tak nadleśniczy rozpoczyna opowieść o niezwyklej wyprawie na wyspę Athos, którą odbył w 2010 r. Najpierw polecili do Salonik. Stamtąd dojechali wypożyczonym samochodem do Uranupoli – portu, z którego udali się promem na górę Athos, do Republiki Mnichów. Innej drogi do tamtejszych 20 monasterów, w których żyje około 1500 mnichów, nie ma.

– Pojechaliśmy tam, aby w miejscu, gdzie czas zatrzymał się tysiąc lat temu, dotknąć tajemnicy prawosławia, dla nas – katolików – w większości nieznaną. Pojechałem tam również po to, aby podziwiać na żywo krajobrazy wyspy, wynurzającej się z Morza Egejskiego na wysokość 2033 metrów, a więc góry prawie tak wysokiej jak nasze Rysy – mówi dalej Janusz Rautszko.

Wrażenia, które stamtąd wywiózł i wciąż nosi pod sercem, są niezwykle z wielu powodów. Wszak odbył wyprawę w towarzystwie Jego Eminencji i osób duchownych do miejsca nazywanego również Ogrodem Maryi, w którym żyją i mogą nawiedzać to miejsce tylko mężczyźni, gdzie kiedyś – według legendy – podczas burzy schroniła się Maryja. Uczestniczył w codziennych mszach, spał, jadł, przebywał w monasterach, istniejących tu od ponad dziesięciu wieków.

Na jednym monasterów, który się wyłamał z obowiązujących reguł, powiewa czarna flaga z napisem: „Prawosławie albo śmierć”. W innym, zwanym Burazeri, spotkał ojca Gabriela – Polaka, dawnego mieszkańca Białegostoku, który przez wiele lat ubiegał się o miejsce na Athos i... od kilkunastu lat już tam przebywa. Przed Wielką Ławrą, najstarszym monasterem Athosu, oglądał cyprys o pniu wielkości jego pokoju, liczący 1100 lat. Drzewo ma metrykę z informacją, kiedy i przez kogo zostało posadzone. W rosyjskim, najbogatszym monasterze św. Pantalejmona przebywa dwa razy do roku sam premier Putin...

– Być może opowiem o tym wszystkim na kartach kolejnej książki. Opiszę czytelnikom wyprawę na górę Athos, w to niezwykle miejsce, gdzie czas się zatrzymał, gdzie samemu też można przystanąć i spojrzeć na swoje życie.



Janusz Rautszko nie zapomina, że jako autor wielu książek jest i będzie leśnikiem z krwi i kości (E.P.)

Janusz Rautszko nie zapomina również, że jako autor wielu książek jest i będzie leśnikiem z krwi i kości. Dlatego spod jego pióra wyszedł też pięknie ilustrowany, „Poradnik leśnego wędrowca”. Autor wykorzystał w nim pomysł tzw. registrów, tyle że zamiast liter alfabetu, jak w notatniku z adresami, występują w poradniku piktogramy: lornetka, lupa, zegar, koszyk, płomień, parasol itp., które prowadzą jak po sznurku do poszukiwanego hasła.

– Tę książeczkę napisałem w formie epickiej. Jest pełna informacji niezbędnych dla turysty przebywającego w lesie. Udało mi się w niej odejść od nakazów i zakazów. Zwrot: „Musisz być w lesie cicho” zastępuje zdanie: „Aby nie płoszyć zwierząt, powinniśmy się zachowywać tak cicho, żeby słyszeć śpiew ptaków i bicie własnego serca” – kończy Janusz Rautszko.

Janusz Maria Rautszko w roku 1978 ukończył II Liceum Ogólnokształcące w Wałbrzychu o profilu matematyczno-fizycznym, uzyskując najwyższą ocenę, upoważniającą do wyboru kierunku studiów bez egzaminów wstępnych. Zdecydował się na Wydział Leśny Akademii Rolniczej w Poznaniu, który ukończył z wyróżnieniem, otrzymując tytuł magistra inżyniera leśnictwa.

W latach 1983–1987 pracował w Biurze Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej w Szczecinku. Wtedy działał w szczecineckim oddziale Klubie Inteligencji Katolickiej, którego był wiceprezesem. W 1989 r. KIK rozpoczął wydawanie miesięcznika „Temat”, na łamach którego ukazywała się w odcinkach pierwsza jego powieść „Ślady miękkich łap”.

Od roku 1987 Janusz Rautszko pracuje w Nadleśnictwie Szczecinek, od czerwca 2001 r. jako nadleśniczy.

W latach 1989–1990 członek Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, odznaczony krzyżem „Semper Fidelis” w uznaniu zasług w realizacji zadań i celów Związku Solidarności Polskich Kombatantów. Od roku 2002 jest radnym Rady Miasta Szczecinek.

W ciągu kolejnych 10 lat ukazało się 10 książek autorstwa Janusza Rautszki: „Ślady miękkich łap” (2000), „Nikt im iść nie kazał” (2001), „Wpisani w ciebie nadzieją” (2002), „Więcej niż być” (2003), „Więcej niż być – Postscriptum” (2004), „Ahtanaram” (2005), „Beyond Being” (2005, tłumaczenie na język angielski książki „Więcej niż być”), „Więcej niż być” – audiobook (2005), „Twoje więcej niż być” (2006), „Aurus i Gaja” (2007), „Poradnik leśnego wędrowca” (2009), „Gołębie serce” (2010).



Człowiek orkiestra

Gra na gitarze i własnoręcznie wykonanej trembicie, jest autorem śpiewnika i śpiewa. Ale na miano człowieka orkiestry zasługuje z innego powodu. Oprócz pracy leśnika, którą wykonuje z sercem, profesjonalizmem najwyższej miary, ima się zajęć, którymi można by obdzielić wiele osób.

Edwarda Marszałka pociągają najrozmaitsze zajęcia (A.R.)

Jest niezwykle aktywny, ciekawy świata, ma potrzebę kreowania nowego. Z tych m.in. powodów wciąż wchodzi do kolejnych gremiów ludzi niezwykłych, potrzebnych, podziwianych. Najpierw – do elitarnego grona bieszczadzkich ratowników GOPR. Potem został speleologiem i „bywa” nim do dziś. Aby rozruszać lokalną społeczność, w rodzinnym Krościenku Wyżnym założył Stowarzyszenie Kulturalne „Dębina”, któremu od początku prezesuje.

Te kroki pociągnęły za sobą kolejne. Założył dwa pisma, których jest redaktorem naczelnym. Miesięcznik „Dębina” informuje o tym, co dzieje się w stowarzyszeniu, a kwartalnik „Echo Połonin” dostarcza goprowcom i innym zainteresowanym relacji z gór.

Twierdzi, że dziennikarzem też tylko „bywa”. Ale, jak obliczono, napisał już ponad 350 artykułów do prasy lokalnej, regionalnej i leśnej ogólnopolskiej. W pisaniu tak się rozkręcił, że nawet nie zauważył, iż konto jego książek autorskich rozrosło się do kilkunastu pozycji, a kolejne pomysły czekają w kolejce na realizację.

Żyłkę społecznika ma we krwi i nie licząc wielu innych funkcji w różnych „ciachach” i „forach”, od listopada 2010 r. jest wiceprzewodniczącym Rady Gminy w Krościenku (skromnie dodaje, że tylko tytularnym). O tym, że malował na szkłe, rzeźbił w drewnie, stał się wytrawnym kolekcjonerem siekier, wiedzą bywalcy wystaw, wernisaży, izb przyrodniczych i spotkań autorskich. Dojdą do tego pewnie również impresje fotograficzne bieszczadzkich lasów, bo ostatnio oddał się pasji fotografowania. Jak zawsze – bez reszty.

Bieszczady – moja muza

Gdzie się zrodziły te wszystkie pasje? W jaki sposób Edward Marszałek – od ośmiu lat rzecznik prasowy Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie – wchodził w coraz to nowe role, odnosząc zresztą za każdym razem niemałe sukcesy? Co kierowało małym Edziem, który chciał być księdzem lub adwokatem, a gdy

podrósł – na przekór wszystkim wybrał Technikum Leśne, żeby w końcu jako leśnik skończyć prawo, a jako magister prawa napisać doktorat z... leśnictwa?

Urodził się pod Krosnem i od najmłodszych lat wpadało mu wciąż w ucho słowo „Bieszczady”. Rodzice wspominali dość często trwożliwe czasy powojenne, gdy nawet stamtąd widać było łuny nad Bieszczadami. To były lata 1945–1947. W Bieszczadach trwała wojna. Nasi palili ukraińskie wioski, Ukraińcy – nasze.

– W 1967 r. brat kupił syrenkę i jako siedmiolatek pojechałem pierwszy raz z nim i ojcem w Bieszczady – opowiada. – Objechaliśmy wtedy Małą Pętlę, dopiero oddaną do użytku. Wokoło było pusto. Tam mnie ciągnęło. Gdy w siódmej klasie podstawówki dostałem rower, zacząłem nim jeździć w Bieszczady – ponad 60 kilometrów. Kiedyś wszedłem z rowerem na Połoninę Wetlińską. Oczarowany Bieszczadami, ich przyrodą, zamiast do ogólniaka, trafiłem do... Technikum Leśnego w Lesku.

Nauka w tej szkole to pięć lat bliskiego kontaktu z bieszczadzskimi lasami. Jako prezes Klubu Turystycznego „Wędrus” uczestniczył w wielu bieszczadzskich rajdach. Wyprawiał się również w góry samotnie, czasami nawet na kilka dni.

– Z tamtejszych szczytów widać wszystko. Wejdiesz na połoninę i widzisz, że świat nie ma granic! Masz problem, chcesz go przemyśleć, przetrwać – idź w góry! Z góry widać lepiej – mówi o tym bez patosu.

W 1981 r. zaczął pracę na samym cyplu południowo-wschodniej Polski, w leśnictwie Sokoliki. Był tam podleśniczym. Teren zupełnie wyludniony. Do najbliższego przystanku PKS – 10 kilometrów. Mieszkał w hotelu robotniczym. Kancelarię miał w lesie, 16 kilometrów dalej. Dojeżdżał tam z robotnikami, często ciężarówkami, którymi przewożono drewno. Zimą – bywało – dobiegał do kancelarii na... nartach śladówkach.

– Wtedy czułem się leśnikiem pełną gębą. Miałem las, w którym żyły niedźwiedzie, żubry, wilki, rysie. Było duże pozyskanie, duże zalesianie. Ale był też czas na wyjście w góry i dobrą zabawę – wspomina. – W 1987 r. wyniosłem się z Bieszczadów, bo nie było szans na mieszkanie i widoków na awans. Po pięciu latach wyjechałem z plecakiem – tak jak przyjechałem. Pod „sufitem” zostało trochę doświadczeń. To było normalne, męskie, zdrowe życie.

Diabły, anioły

I dodaje, że leśnictwo w Bieszczadach to oddzielny, niepowtarzalny w Polsce świat. Tak je postrzegają leśnicy z całej Polski, którzy przyjeżdżają tu na wycieczki. Wystarczy,



Mundur leśnika Edward Marszałek
nałożył w roku 1981 (E.P.)

że przejdą przez bieszczadzki las między śniadaniem i obiadem, a będą go mieli dość na całe życie. Bo drzewostany piękne, ale błota – po pępek, a pogoda tak zawirowuje, że nie sposób za nią nadążyć.

Jeszcze w Bieszczadach, gdy miał wolne popołudnia, rzeźbił w drewnie. Głównie diabły i anioły. Najchętniej w lipie. Te zapasy z dłutem i młotkiem nie wzięły się z niczego. Zafascynowali go bieszczadzcy rzeźbiarze. Szczególnie przypadł mu do gustu Jędrzek Wasilewski „Połonina” – taką miał ksywę. Gdy Edek uczył się w Technikum Leśnym, Jędrzek był palaczem w szkolnej kotłowni.

– To był mądry gość, wielowymiarowy. Poeta, filozof, ale przede wszystkim rzeźbiarz. Rzeźbił w swojej kotłowni. Podpatrywałem go i w końcu sam zacząłem rzeźbić.

W domu ma z tamtego okresu około 15 rzeźb. W Ośrodku Edukacyjnym Bieszczadzkiego Parku Narodowego znajduje się cały zestaw jego „dusiołków” – bieszczadzkich diabłów. Już nie rzeźbi, choć był okres, gdy zarejestrował nawet swoją rzeźbiarską firmę.

– Zostawiłem to w 1997 r., bo mi nadgarstek wysiadł. Ręka puchła, bolała. Wiedziałem, że to od młotka i dłuta. Ale jak przestałem rzeźbić, zacząłem pisać, czyli – jak niektórzy powiadają – rzeźbić w słowie.

50 złotych za stronę

Zawsze marzył o tym, żeby być pisarzem. W szóstej klasie podstawówki wysłał pracę na konkurs „Świata Młodych” i otrzymał wyróżnienie za tzw. humorystyczne ujęcie tematu. W Warszawie, w ogrodach Belwederu, był gościem przewodniczącego Rady Państwa profesora Henryka Jabłońskiego.

– To było dla mnie duże przeżycie. Dostałem pierwsze w życiu honorarium autorskie – 50 złotych za stronę. Razem miało być 450 złotych. Zapytali mnie, pod jaki adres mają przesłać pieniądze: pod mój, czy na konto... budowy Zamku Królewskiego. Odpisałem, że za pierwszą stronę – tę najważniejszą – niech prześlą na Zamek, a za pozostałe kartki – pod mój adres. To były duże pieniądze. Ojciec, pracując ciężko w krośnieńskiej hucie szkła, zarabiał na miesiąc dwa tysiące złotych. A ja, 12-letni chłopiec, w jeden wieczór napisałem opowiadanko, za które dostałem prawie pół tysiąca!

Ten wyjazd po nagrodę wbił się Edwardowi Marszałkowi w pamięć z jeszcze jednego powodu. Laureaci konkursu spotkali się z Edmundem Niziurskim, autorem książek, które ówczesna młodzież szkolna chłonęła pasjami.

– „Jesteście dobrze zapowiadającymi się pisarzami – powiedział nam wtedy – ale to bardzo trudny zawód i jeżeli nie zostaniecie pisarzami, będziecie porządnymi ludźmi”. Zrozumiałem to tak: pisarz to niezbyt porządny człowiek. Zarzuciłem więc pisanie i pomyślałem o wyborze jakiejś innej profesji. Ale mijały lata, nic dobrego ze mnie nie wyrastało, zatem... znów zacząłem pisać.

Gdy był szeregowym leśniczym, współpracował z prasą lokalną i regionalną, z „Echami Leśnymi”. A powodem napisania pierwszego tekstu stało się konkretne wydarzenie. W leśnictwie nieznanymi sprawcami okorowali 170 jodeł, praktycznie je uśmiercając. Wtedy nadleśniczy polecił mu, żeby poprosił dr. Zygmunta Rygla, aby przygotował artykuł o tym akcie wandalizmu.

– Pojechałem do niego, a on mnie zawstydził, pytając: „To już w Nadleśnictwie Dukli nikt pisać nie potrafi?”. Napisałem więc do „Nowego Podkarpacia” i wydrukowali. Potem pisanie do gazet już samo poszło...

W 1999 r. założył gazetę Stowarzyszenia Kulturalnego „Dębina”. W rok później przejął prowadzenie kwartalnika „Echo Polonin” – pisma bieszczadzkich ratowników. Do dziś jest redaktorem naczelnym obydwu tytułów. Z artykułów, które napisał, złożył swoją pierwszą książkę: „Leśne opowieści z Beskidu”. Traktuje o osobliwościach Beskidu Niskiego, Pogórza, okolic Dukli.

– To taki lokalny przewodnik przyrodniczo-historyczny: o wodospadach, świętych źródłach. Również o Zamieszkańcach – Rusinach, którzy posługiwali się mieszaniną rosyjskiego, ukraińskiego i polskiego. Zamieszkiwali 10 wsi wokół Krosna. To spośród nich wywodzili się kamieniarze, wykuwający elementy podmurówek do domów, oseeki, żarna. Niestety, 60 lat temu wysiedlono ich na głęboką Ukrainę, pozostały po nich tylko sztolnie...

Marszałkowa Dziura

Jak każdy rasowy, ciekawy świata dziennikarz, nie mógł tych sztolni ominąć. Będąc „domorosłym”, jak siebie określa, speleologiem, penetrował je, bo interesują go nietoperze zimujące w Czarnorzekach, w okolicach Suchej i Królewskiej Góry na Pogórzu Dynowskim.

– Udało się nam znaleźć kilka sztolni, w których nietoperze zimują. Są to obiekty, których długość dochodzi do 75 metrów. Część jest pozalewana, więc są do penetrowania bardzo trudne – opowiada.





Do dziś jest członkiem honorowym Speleoklubu Beskidzkiego. Co roku bierze udział w zimowym liczeniu nietoperzy. W 2011 r. znów przeszedł kilka jaskiń w Beskidzie Niskim. Dzięki informacjom rozestanym wśród leśników udało się odkryć sporo nowych jaskiń.

– Mam też swoją jaskinię – kończy ten wątek. – Nazywa się Marszałkowa Dziura. Znajduje się w Beskidzie Niskim, na Kilanowskiej Górze, i jest w spisie oficjalnym naszych jaskiń. Bardzo mi się podoba, choć ma zaledwie 10 metrów długości.

Bieszczady to góry niewysokie, wydawałoby się – niegroźne. Statystyki miejscowego GOPR wskazują jednak, że tak nie jest. Nie licząc Tatr, właśnie w Bieszczadach podejmuje się najczęściej wypraw ratunkowych, bo około 150 w roku, podczas gdy w Beskidzie jest ich latem kilkanaście.

Edward Marszałek, pracując w Bieszczadach, szybko wszedł do grona tamtejszych ratowników. Najpierw na akcje jako ochotnik chodził z Antonim Derwichem, też leśniczym, wytrawnym górnikiem. Był jego partnerem.

– Kiedyś Antek przyszedł do mnie i powiedział: „Jest kurs I stopnia. Chcesz jechać? Narty, zjazdy na linach, pierwsza pomoc...”. To był rok 1986. Zapisalem się więc na kurs podstawowy, nie będąc członkiem GOPR, nawet kandydatem. Skończyłem go w lutym, a 7 marca Rada Grupy przyjęła mnie w poczet kandydatów. Dwa lata później złożyłem przyrzeczenie i od tamtej chwili jestem ratownikiem ochotnikiem.

Jest też redaktorem naczelnym kwartalnika „Echo Połonin”. Po wielu latach redagowania pisma skonstatował, że z artykułów o ciekawych, smutnych i wesołych wyprawach ratunkowych można by ułożyć całkiem ciekawą książkę. I to uczynił.

– „Wołanie z połonin” to moja najcenniejsza pozycja z tych, które zredagowałem. Są to opowieści ratowników bieszczadzkich, a głównym źródłem ich relacji są zapisy w „Księdze wypraw”. Książka miała już trzy wydania. Pierwsze – z 45 opowieściami – ukazało się z okazji 45-lecia Bieszczadzkiej Grupy GOPR.

Speleologiczne dokonania Edwarda Marszałka sprawiły, że w spisie polskich jaskiń figuruje Marszałkowa Dziura – jaskinia, którą odkrył w Beskidzie Niskim (T.M.)

Tę pozycję doceniła Elżbieta Dzikowska – znana podróżniczka, która jeździ po świecie, a wypoczywa w Bieszczadach. Napisała w swojej recenzji, że są to opowieści profesjonalnych, oddanych swojej misji ratowników, pisane z sercem i od serca. Opowieści docenili również jurorzy konkursu „Podkarpacki Dziennikarz Roku”, przyznając ten tytuł Edwardowi Marszałkowi w 2004 r.

Bohater z wygwizdowa

Edward Marszałek ma już na swoim koncie kilkanaście książek. Jedna z nich, nosząca tytuł: „Z karpaccich lasów”, to zbiór opowieści o regionie, w którym mu przyszło pracować. Jest tam mowa o spławianiu drewna, huculskich drwalach, starych kapliczkach. Są historie o leśnikach z Grupy Bieszczadzkiej GOPR.

– Na kanwie tych opowieści chcę napisać książkę o historii leśnictwa na Podkarpaciu, bo tam leśnictwo polskie się zaczęło. Taka jest moja teza, a dowodów mam sporo. Pierwsze ważne przepisy, które dotyczyły ochrony lasów, zredagowano na Podkarpaciu. A w Przeworsku Teresa Lubomirska kazała wystawić szubienicę dla tych, którzy kradną w lesie, i tych, co nie potrafią lasu upilnować.

Jak opowiada Edward Marszałek, tu był leśniczym Henryk Strzelecki – wcześniej zarządca dóbr sapieżyńskich w Krasicy, samouk, wybitny leśnik. To on założył Galicyjskie Towarzystwo Leśne oraz pierwszą szkołę leśną (już w 1857 roku!) w Hołubli koło Przemyśla.

– Polskie leśnictwo wiele ma do zawdzięczenia ludziom z byłej Galicji. Podobnie demokracja, której czasami próbują nas uczyć przyjezdni. Tutaj, w autonomicznej Galicji, nasi dziadkowie już w drugiej połowie XIX w. wybierali swoich posłów do sejmu krajowego we Lwowie. Warszawiacy wtedy jeszcze gięli kark przed zaborczym knutem – opowiada pół żartem, pół serio. I dodaje, że w książce o historii leśnictwa na Podkarpaciu znajdują się też fakty o leśnych dziejach takich rodów, jak Sapiehowie, którzy byli związani z Krasicynem, Potoccy – z Łańcutem czy Lubomirscy – z Przeworskiem. Będą przedstawieni, bo już w XVIII w. mieli doskonale zorganizowane leśnictwo, nic więc dziwnego, że przez dziesięciolecia przewodzili Galicyjskiemu Towarzystwu Leśnemu.

Edward Marszałek wyznaje również, że chodzi mu po głowie książka o człowieku, który przesiedział na połoninie kilkadziesiąt lat, jest żywą historią przemian w Bieszczadach od początku lat 60.



Od roku 1988 Edward Marszałek jest członkiem Bieszczadzkiej Grupy GOPR, pięknie też gra na skonstruowanej przez siebie trembicie (J.H.)

– Lutek Pińczuk, Serb z pochodzenia, to legenda Bieszczadów. Dziś ma 73 lata, a przyjechał tu na początku lat 60. z wycieczką górników ze Śląska. I został, obejmując we władanie dawny obiekt wojskowy – obserwatorium przeciwlotnicze na Połoninie Wetlińskiej. Przebudował je na schronisko – najwyżej położony obiekt tego typu w Bieszczadach.

To o nim właśnie Jerzy Michotek śpiewał kiedyś znaną piosenkę: „Mam szałas na połoninie, piękniejszy niż w mieście dom...”, a dalej: „Mam pannę w sukni niebieskiej...”. Panna miała na imię Ula; Lutek porwał ją na ognisku studenckim i wkrótce została jego żoną.

– Wciąż prowadzi to samo schronisko, położone na wygwizdowie, bo powyżej granicy lasu. Jest również ratownikiem Grupy Bieszczadzkiej GOPR, mając za sobą największą spośród ochotników liczbę wypraw ratunkowych – ponad 150. To człowiek o niezwyklej osobowości. Przykłady, ilustrujące tę tezę, mogę mnożyć.

I podaje jeden. Jest rok 2003. Wielki Piątek. Tuż przed referendum, za czy przeciw Unii Europejskiej. Spotyka Lutka na przełęczy i pyta, gdzie był, a ten odpowiada: „W Brukseli. Pojechałem, żeby zobaczyć, jak ta Unia z bliska wygląda. Obejrzałem urzędy, byłem na poczcie, pojechałem na narty do Grenoble, byłem na Lazurowym Wybrzeżu. Widziałem. Jest w porządku. Będę głosował za Unią...”

Przepisy pani Luśki

W 1998 r. Edwarda Marszałka zaproszono do Krościenka, jego rodzinnej wsi. Grupa nauczycieli i rodziców chciała założyć organizację, która wsparłaby ich szkołę w organizowaniu zajęć pozalekcyjnych, wycieczek i ożywiła kulturalnie wieś. Jako świeżo upieczony absolwent prawa na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej zaproponował, żeby utworzyć stowarzyszenie. Tak powstało Stowarzyszenie Kulturalne „Dębina”, które od ponad 13 lat organizuje konkursy na drzewa genealogiczne, konkursy recytatorskie, koncerty kolęd.

– Na koncerty kolęd w drugą niedzielę stycznia zgłaszają się i śpiewający, i grający; ostatnio mieliśmy na scenie 214 osób. Za tę i inne inicjatywy otrzymaliśmy nagrodę starosty krośnieńskiego. Cieszę się, że udało mi się zmobilizować ludzi do działania...

Do stowarzyszenia należą i wójt, i proboszcz. Organizacja może wywierać nacisk na miejscowe władze, zgłaszać swoje uwagi – legalnie, w ramach prawa. Edward

Marszałek cieszy się, że stowarzyszenie ma swoje czasopismo. Trwałe, bo istniejące już 13 lat!

– „Dębina” wychodzi regularnie raz na miesiąc. Pieniądze na kolejne numery mamy ze sprzedaży wydań bieżących i takich pomysłów, jak na przykład „Przepisy pani Luśki” – miejscowej kucharki – które drukujemy w piśmie. Z tego też są niewielkie dochody. I tak się to kręci, pismo łączy mieszkańców Krościenka – kończy Edward Marszałek.

W listopadzie 2010 r. przybyła mu kolejna funkcja. Wziął udział w wyborach samorządowych i z największą liczbą głosów wszedł do Rady Gminy. Został jej wiceprzewodniczącym, ale traktuje tę funkcję jako tytularną. Bardziej mu zależy na tym, aby utworzyć w wiosce Centrum Kultury.

– Chcemy stworzyć instytucję, która będzie co roku układać kalendarz imprez kulturalnych w Krościenku, starać się o fundusze, kreować nowe pomysły, koordynować działania różnych instytucji.

A na razie wysłali wnioski o dofinansowanie, m.in. na renowację nagrobka Cecylii Jabłonowskiej z Fredrów, spoczywającej na Starym Kościelisku.



Grając na gitarze i śpiewając, staje się duszą każdego towarzystwa (E.P.)

– To była bardzo zacna kobieta. W pierwszej połowie XIX w., w czasie głodu, wydała 200 obiadów dziennie z kuchni dworskiej. I nie żałowała drewna na budowę szkoły w Krościenku. Mam nadzieję, że wniosek zostanie przyjęty...

Od siekiery...

Edwarda Marszałka od zawsze interesowało zbieranie rzeczy ciekawych, ładnych, niekoniecznie cennych. Matka była krawcową i jako kilkuletni berbec, szperając po szufladkach maszyn do szycia, znajdował stare, przedwojenne monety. Dostał je i zaczął wymieniać z kolegami. Poprzez monety poznawał historię. Nim poszedł do przedszkola, wiedział, że istniały Austro-Węgry, a orzeł polski nie zawsze był bez korony.

– Potem kolekcjonowałem monety z całego świata z wizerunkami zwierząt, roślin, motywami przyrodniczymi. Uzbierałem ich 1,5 tys. Dziś w rzeszowskim oddziale Narodowego Banku Polskiego mam wystawę swoich monet.

Następnie zaczął zbierać pocztówki o tematyce leśnej i górskiej. Znaczącą zdobyczą była dla niego była pocztówka z pawilonu leśnego na wystawie gospodarczej w Jarosławiu w 1903 r. Kilka lat temu wpadł na pomysł, żeby zredagować tomik o polskich niezapominajkach, bo zebrał około 150 pocztówek z tymi kwiatami z XIX i XX wieku. W 2010 r. słowo stało się ciałem – wydał, zredagowany przez siebie, z pomocą niezapomnianego redaktora Andrzeja Zalewskiego z EkoRadia, tomik „Niezapominajki z polskiej bajki”. To wydawnicze cacuszko, z pięknymi wierszami, okraszone bajkowymi motywami rysunkowymi z zebranych pocztówek, cieszy oko. Kanadyjczycy, którzy mają niezapominajkowego bzika (na ich srebrnej półdolarówce widnieje niezapominajka), mogliby nam tej książeczki pozazdrościć.

– Urodziłem się w Krościenku Wyżnym, a okoliczni mieszkańcy nazywali nas siekiernikami. Ale nie dlatego, że używaliśmy na zabawach siekier zamiast sztchet – żartuje Edward Marszałek. – Mieszkańcy Krościenka, jako poddani króla Kazimierza Wielkiego, mieli obowiązek świadczenia tak zwanego siekiernego. Musieli przygotowywać dla zamku w Sanoku obrobione bale i drewno na opał. A do tego używali siekier. Stąd pomysł mojej ostatniej kolekcji – siekier.

Ma ich ponad sto. Nie tyle, co kolekcjoner spod Kielc, który zebrał około 1,5 tys. siekier, bo on „nie idzie na ilość”. Zbiera te, które coś znaczą, mają swoją wartość. Ma w kolekcji siekiery symbole miast, na przykład Rymanowa, które umieściło siekiere w swoim herbie. Ma toporki harcerskie, góralskie ciupagi, miniatutki siekier kulturowych, znalezionych w starych grodziskach. Dostał od kolegi leśnika z USA toporki

i tomahawki, które ten zebrał w podróży z Chicago na Alaskę. O swoich zbiorach napisał do „Dębiny” kilkanaście artykułów. Potem złożył je w wyborowym tomie, zatytułowanym żartobliwie: „Od siekiery, czyli wstęp do toporologii”.

Jego zdaniem kolekcjonerzy, na których wielu patrzy z przymrużeniem oka, widzą więcej niż inni i swoimi kolekcjami przybliżają przeszłość. Coś banalnego, zebranego w przemyślaną kolekcję, często stanowi sporą wartość, bo kultywuje historię, tradycję.

– Na spotkaniu autorskim w Błazowej, gdzie miałem swój benefis, zamiast kwiatka podarowano mi... siekiere. To mnie bardzo uradowało, bo w ten sposób doceniono moje kolekcjonerskie pasje...

Miejsce dla ludzi i zwierza

Na pytanie, jak postrzega rozwój i przyszłość Bieszczadów, z którymi obcował, obcuje i jest wciąż mocno zaprzyjaźniony, odpowiada, że to, co się w tej chwili dzieje, idzie w dobrym kierunku.

– Tam była wypalona ziemia. Nie było dróg, mostów, osad. Teraz da się żyć. Drogi są wyremontowane, zimą odśnieżone, jest dobry zasięg telefonów komórkowych. To wszystko ma sens. W latach 60., 70., nawet 80. była tam groza. Wtedy za pomocą dynamitu wysadzano ślady dawnych wsi, a ciężkim sprzętem równano doliny górskie, żeby zasiać zboże w górach. Dobrze, że czasy radosnej twórczości Igloopolu, kiedy tworzone jakieś „hokejki” (obory do zimnego chowu bydła), się skończyły – tłumaczy Edward Marszałek.

I cieszy się, że w ostatnich latach w tym niezwykłym miejscu, z którego wysiedlono około 250 tysięcy ludzi, w którym reaktywowała się przyroda, a zaludnienie jest jednym z najniższych w Polsce, w ostatnich latach zrobiono wiele dobrego: zapewniono ochronę przyrody w rozmaitych formach, a miejscowi, wspaniali ludzie, mający dobre pomysły, przestrajają się na życie z turystyki.

– Oprócz Bieszczadzkiego PN jest jeszcze około 150 tys. ha lasów, który powinien być hodowany, użytkowany – twierdzi Edward Marszałek. – Z tego 60 tys. ha to las posadzony na gruntach rolnych. Bardzo dobrze, że kiedyś pokryto opuszczoną glebę gatunkami drzewiastymi: sosną, olszą, modrzewiem, także świerkiem. Teraz podbudowuje się te gatunki jodłą, bukiem, jaworem, wiązem – odwiecznymi mieszkańcami tego regionu.



Edward Marszałek w karykaturze Jacka Frankowskiego

Jego zdaniem Bieszczady dalej powinny rozwijać bazę turystyczną i być wyłączone spod wielkich inwestycji, tworzyć warunki dla tych, którzy kochają kontakt z naturą.

– W tych górach jest dość miejsca dla dzikiego zwierza i porządnych ludzi! – kończy Edward Marszałek.

Edward Marszałek jest od 2003 r. rzecznikiem prasowym Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie. Po ukończeniu Technikum Leśnego w Lesku (1981 r.) był przez sześć lat podleśniczym w Nadleśnictwie Stuposiany, a w latach 1987–2003 leśniczym w Nadleśnictwie Dukla. W tym czasie skończył studia na Wydziale Prawa UMCS w Lublinie, Podyplomowe Studium Ochrony Parków Narodowych SGGW w Warszawie i studia doktoranckie w Instytucie Badawczym Leśnictwa w Warszawie, broniąc pracy: „Wartościowanie działań gospodarstwa leśnego w dziedzinie ochrony przyrody na przykładzie Nadleśnictwa Dukla”.

Jest ratownikiem ochotnikiem w Grupie Bieszczadzkiej GOPR (od 1986 r.), przewodnikiem górskim, redaktorem naczelnym kwartalnika „Echo Połonin”, członkiem Speleoklubu Beskidzkiego (od 2001 r. członkiem honorowym), prezesem Stowarzyszenia Kulturalnego „Dębina” i aktywnym członkiem wielu innych organizacji. Od jesieni 2010 r. pełni funkcję wiceprzewodniczącego Rady Gminy w Krościenku Wyżnym.

Autor wielu książek, albumów (m.in. „Ballady o drzewach”, „Skarby podkarpackich lasów”, „Leśne ślady wiary”, „Las pełen zwierza”, „Z karpackich lasów”, „Od siekiery, czyli wstęp do toporologii”, redaktor trzech innych książek, w tym „Wołania z połonin – opowieści bieszczadzkich goprowców”.

Laureat licznych nagród i tytułów honorowych, m.in. tytułu Podkarpacki Dziennikarz Roku 2004 w kategorii media lokalne za cykl artykułów w kwartalniku „Echo Połonin”, Nagrody im. Dyrektora Adama Loreta, przyznanej w 2005 r. przez Dyrektora Generalnego Lasów Państwowych za publikacje promujące leśnictwo, tytułu „Leśnik Roku 2006”, nadanego przez kapitułę redakcji „Przegląd Leśniczy”.



Muzyki pełna chata

Z salonu co kwadrans płyną dźwięki stojącego tam w rogu zegara. Z piętra słychać szczebiot papug, a od czasu do czasu piękne trele kanarka. Dźwięków jest w tej leśniczówce pełna chata. A dziś będzie ich jeszcze więcej, bo w ruch pójdą instrumenty dęte: dwie trąbki, waltornia i tuba.

**Paweł Ciesielski
z żoną Urszulą (E.P.)**

Powód jest prosty. Paweł Ciesielski – gospodarz leśniczówki, leśniczy leśnictwa Słup – zarządził próbę Zespołu Sygnalistów Myśliwskich Nadleśnictwa Lidzbark. Na trąbkach zagrają: on – lider zespołu – i 16-letni Michał, licealista, średni z trójki synów leśniczego. Waltornię weźmie do ręki 14-letni Mikołaj, już gimnazjalista, a tubę – 19-letni Patryk, uczeń IV klasy Technikum Leśnego w Iłowie. Żona Urszula grać będzie na tamburynie, dzwonku i trójkacie.

Credo mistrzów

To będzie rutynowa próba, na rozgrzewkę, bo w najbliższy weekend mają dwa kolejne występy. W sobotę oprawiają muzycznie polowanie zbiorowe na bażanty w OHZ Konopaty, a w niedzielę grają mszę hubertowską w kościele koło Ostrołęki. Takich prób piątka rodzinnego zespołu sygnalistów, do którego w styczniu 2010 r. dołączyła Urszula Ciesielska – żona i mama swoich „trąbali” – organizuje zwykle pięć w miesiącu. I to wieczorami, głównie w weekendy.

– Każda próba trwa około dwóch godzin – opowiada Paweł Ciesielski. – Obliczyłem, że rodzina poświęca w ciągu roku na ćwiczenia indywidualne i zespołowe aż 1800 godzin! I nie ma zmiłuj, przygotowanie musi być solidne, każdy utwór wyćwiczony na blachę. Wtedy w czasie koncertu gramy bez tremy, ze spokojnym sercem. Gramy, czując, że będą to dla słuchaczy chwile niezapomniane...

Leśniczy dopowiada, że wzięli sobie mocno do serca słowa, które mu niegdyś przekazał znany trębacz, Zbigniew Zygmunt z Bydgoszczy, dziś zaopatrujący ich w sprzęt muzyczny: „Pamiętaj, aby ci starczyło sił na godzinę solidnego, bezbłędnego grania w czasie występu; musisz mieć ich zapas i grać co najmniej dwie godziny w domu, musisz być wytrenowany, nie ma innej metody na dobrą kondycję trębacza”.

A efekty tego mozołu, idącego w parze z talentami muzycznymi Ciesielskich, umiłowaniem muzyki, także z wrażliwością nie tylko na dźwięki, są imponujące.

To przecież wciąż amatorzy, a zaprasza ich, garnie do siebie wielki świat. W 2007 r. rodzina sygnalistów ze Słupa okraśliła dźwiękami swoich instrumentów V Konferencję Ministerialnego Procesu Ochrony Lasów w Europie. Grali wtedy w stołecznym hotelu Sheraton w obecności prezydenta RP przed audytorium leśników, którzy zjechali do Warszawy z całego świata!

Rok później zaproszono ich do Nuncjatury Apostolskiej, też w stolicy. Tu uświetnili swoją grą uroczystość posadzenia świerka istebniańskiego, co odbyło się w obecności najwyższych władz kościelnych i oczywiście przedstawicieli Lasów Państwowych. Dostojnikom kościelnym gra rodziny Ciesielskich tak bardzo się spodobała, że w kolejnym roku słuchali ich jeszcze raz w Rybakach nad Jeziorem Łańskim

Rodzinny Zespół Sygnalistów Myśliwskich przy Nadleśnictwie Lidzbark w komplecie. Od lewej: mama Urszula, najmłodszy syn Mikołaj, tata Paweł, średni syn Michał i syn najstarszy – Patryk (E.P.)



– na konferencji RDLP w Olsztynie i biskupów, z udziałem abp. Józefa Kowalczyka i abp. Wojciecha Ziemby.

Miłośników instrumentów dętych ze Słupa słuchali i oglądali telewizyjnie kilku stacji. Podczas XXIII Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Myśliwskiej i Wieżowej w Tucholi zespół brał udział w emitowanym na żywo programie „Lato z Trójką”. Michał i Mikołaj zgarnęli wtedy pierwsze nagrody w swoich kategoriach. A cały zespół rodziny Ciesielskich zajął pierwsze miejsce w klasie Marszów Myśliwskich i drugie w klasie Muzyki Salonu Hubertowskiego.

– W radiu występowałem również jako członek Szkolnej Orkiestry Dętej Technikum Leśnego w Tucholi, która jest także Orkiestrą Reprezentacyjną Lasów Państwowych – opowiada Patryk. – Byłem bardzo dumny, gdy podczas koncertu z okazji Dnia Niezapominajki podpięto mikrofony właśnie pod mój bas nazywany tubą. Kiedy zapytałem kapelmistrza, dlaczego mnie spotkał taki zaszczyt, odpowiedział krótko: „Bo w zespole jesteś najlepszym tubistą”.

Przykłady występów w najbardziej prestiżowych miejscach, w obecności znamienitych słuchaczy, można by mnożyć. W ciągu siedmiu lat swojego istnienia Zespół Sygnalistów Myśliwskich z Nadleśnictwa Lidzbark miał grubo ponad 250 występów! Uświetniał rozmaite jubileusze, imprezy okolicznościowe, także śluby, pogrzeby, polowania zbiorowe. Jak obliczył Paweł Ciesielski, tylko na tych koncertach wysłuchało ich muzyki znacznie powyżej pięciu tysięcy osób.

– Zaproszeń i zamówień mamy coraz więcej, a czasu wciąż tyle samo i nieraz w obliczu innych obowiązków – moich, synów i żony – trudno jest podjąć decyzję o występie kolidującym z innymi zajęciami – tłumaczy leśniczy. – Ale swojemu nadleśnictwu zawsze służymy, bo bez niego nie byłoby zespołu.

Serce Dery

Leśniczy mocno podkreśla, że bez pomocy Tadeusza Iskry, obecnego nadleśniczego, który wspiera zespół, kupując rodzinie Ciesielskich dobrej klasy instrumenty i niezbędne do gry akcesoria, o sukcesach, a nawet o istnieniu zespołu nie byłoby mowy. Dzięki nadleśnictwu leśniczy wciąż doskonali umiejętności zespołu. Ale w żadnym razie nie zapomina, że najważniejsza jest praca w jego leśnictwie. Przełożeni to docenili. W 2008 r. otrzymał Kordelas Leśnika Polskiego.

Na pytanie o receptę na dobrze prowadzone leśnictwo odpowiada, że jest ważne, aby wciąż „myśleć do przodu”, czyli przewidywać wszelkie zjawiska w hodowli,

ochronie, czynnościach gospodarczych, które się wykonuje. A ochronę lasu leśnik powinien opierać na dobrych relacjach z mieszkańcami sąsiednich wiosek oraz innych miejscowości.

– Dążę do tego, aby okoliczni mieszkańcy – mówi leśniczy – mieli do lasu taki stosunek jak leśnicy. Stąd moje częste lekcje w szkołach w Słupie, pobliskim Boleszynie czy Mrocznie. Efekty są już widoczne.

Paweł Ciesielski twierdzi, że grając dla lokalnej społeczności, również zyskuje bardzo jako leśnik – gospodarz lasów. To mu ułatwia kontakty. Na pytanie, jak sobie radzi z plagą śmieci, kłusownictwem, kradzieżami drewna, odpowiada, że lasu nie da się zamknąć na kłódkę. Ale zaraz dodaje, że praca leśnika jest powołaniem. Trwa całą dobę, cały rok. Miejscowi, którzy są najczęściej sprawcami tych problemów, muszą wiedzieć, że leśniczego mogą spotkać na terenie całego leśnictwa o każdej porze dnia i nocy. Wtedy gospodarz lasów może być o nie spokojny.

– A w ogóle – kończy ten wątek leśniczy – leśnik musi naprawdę kochać przyrodę. Ja na przykład nie wyobrażam sobie leśniczówki bez zwierząt. Byłaby bez nich pusta.

Dlatego obejście leśniczówki jest pełne zwierząt. Dwa wyżły: ośmioletnia Kaja i jej córka Dera – łaciata, z wielką plamą w kształcie serca (wygląda jak namalowane!) – służą w polowaniach, stróżują i towarzyszą leśniczemu przy pracy w lesie.

Leśniczy ogląda las z siodła lub z bryczki, bo wtedy można dostrzec najwięcej szczegółów. Stąd w stajni Karina, która niedawno wydała na świat ogierka. Teraz jest przysposabiany do siodła i bryczki; w przyszłości być może będzie trenował skoki przez przeszkody.

Miodzik – sześciolatek – pojawił się w obejściu, gdy miał jeszcze żółte paski. Patryk otrzymał go w zamian za znalezione zrzuty jelenia. Rodzina nie wyobraża sobie leśniczówki bez tego lokatora.

Do niedawna w stajni, obok koni, mieszkało w zagrodach kilkanaście królików. Opiekował się nimi Michał. Na razie sobie tę hodowlę odpuścił, ale – jak twierdzi jego ojciec – chłopiec bardzo kocha zwierzęta i być może do swoich trusi wróci.

W sąsiedztwie stajni mają swoje klatki również gołębie. Chłopcy zaczęli je hodować za namową taty. Początek dały cztery gołębie pocztowe i cztery garłacze. Teraz stadko liczy ponad 40 ptaków. Młodzi hodowcy mają z gołębi sporo pociechy,



**Paweł Ciesielski z ze swoimi wyżłami
– Kają i jej łaciatą córką Derą (E.P.)**

ale gospodyni leśniczówki nie od razu je zaakceptowała. Nie bez powodu, gdy się bowiem pojawiły, przestała... wschodzić sałata. Gołębie wydziobały wiosną prawie wszystkie nasionka.

Z 12 stojących w ogrodzie uli 10 jest zasiedlonych pszczołami. Leśniczy zaraził się pszczelarstwem od swego ojca chrzestnego, pszczelarza na emeryturze. Ule trafiły do leśniczówki przez przypadek już ponad 10 lat temu.

– Uważam, że wszystko, co jest związane z człowiekiem – zwierza się mój rozmówca – ma swój początek w przyrodzie. Muzyka również. Zrodziła się jakieś 30 tysięcy lat temu, kiedy to ówczeszni myśliwi grali na puszczalkach z kości złowionych zwierząt. Potem ludzie wymyślali różne inne instrumenty, również rogi, trąbki, tuby. No i właśnie one zagościły w naszej leśniczówce na stałe...

Zaczął się od trąbki

Paweł Ciesielski pierwszy raz zetknął się z trąbką ponad 30 lat temu, gdy był w podstawówce. Ale to nie on, ale Zbyszek – młodszy brat (dziś w jednostce specjalnej „Grom”) – pierwszy wziął się za ten instrument, grając w miejscowej orkiestrze strażackiej.

– Traktowałem trąbkę brata jak zabawkę, ale przy okazji nauczyłem się grać gamę C-dur – wspomina leśniczy. – Po paru latach, gdy zacząłem naukę w Technikum Leśnym w Tucholi, poszedłem na jedną z prób szkolnej orkiestry. Mirosław Pałczyński dał mi trąbkę i powiedział: „Spróbuj coś zagrać”. Zagrałem wyuczoną gamę, kapelmistrzowi bardzo się spodobało, że jako „pierwszak” tyle umiem i tak wsiąknąłem w jego orkiestrę.

Po ukończeniu Technikum Leśnego tak wtopił się w pracę leśnika, że o trąbce zapomniał. Przez 12 lat nie miał jej w rękach – do roku 1999. Wtedy to Jan Karetko, ówczesny nadleśniczy Nadleśnictwa Lidzbark, z którym pracował, obecny dyrektor RDLP w Olsztynie, wrócił z Nadleśnictwa Browsk zauroczony grą tamtejszych sygnalistów, do tego z informacją od jednego z trębaczy, że „Paweł grał w Tucholi na trąbce”.

– Wtedy szef wezwał mnie do siebie – ciągnie dalej leśniczy – i powiedział: „Paweł, wracasz do trąbki”. Na początek nadleśnictwo kupiło sygnałówkę, kasetę z myśliwskimi sygnałami i zapis nutowy. Zacząłem również ćwiczyć na pożyczonym korneciku i... trafiłem do orkiestry dętej w Lidzbarku. A stamtąd – do Reprezentacyjnego

Zespołu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ w Olsztynie „Trąbale”, gdzie miałem próby dwa razy w miesiącu.

Paweł Ciesielski żartuje, że błyskawiczna kariera „trąbala” w 1999 r. wynikała z faktu, że Nadleśnictwo Lidzbark przygotowywało się do jubileuszu 125-lecia swego istnienia. A nadleśniczy tak zasmakował w grze swojego pracownika, że wydał kolejne polecenie: „Paweł, gra solo będzie bardzo skromna, zrób coś, żeby to był zespół”.

Wtedy leśniczy pomyślał o swoich chłopakach. Pierwszy zaczął grę na sygnałównie najstarszy z synów – Patryk. Do duetu dołączył szybko syn średni – Michał. Zaczęli uprawiać polowania. A ojciec – perfekcjonista z urodzenia – doszedł do wniosku, że jako amator niewiele swoich chłopaków nauczy.

– Nadawanie odpowiedniej barwy brzmienia instrumentu, odpowiedniego zadęcia, sposobu oddychania z przepony – opowiada leśniczy – to nie bajka. Nie chciałem, żeby chłopcy, ucząc się techniki grania, wyrobili w sobie złe nawyki. Poprosiłem więc kapelmistrza Młodzieżowej Orkiestry Dętej w Lidzbarku, Zbyszka Stanisławskiego, żeby mi pomógł. Zgodził się. Zacząłem przywozić Patryka i Michała dwa razy w tygodniu na lekcje. Jak się okazało – z dobrym efektem.

Uczniowie przerośli mistrza

Małe dzieci szybko się uczą. Ich ojciec nawet się nie obejrzał, jak wrosli najpierw w orkiestrę w Lidzbarku, a potem zaczęli jeździć na próby do Olsztyna, do wspomnianych „Trąbali”. I stali się trzonem tego zespołu.

– Ich wiedza i praktyka wyniesiona z lekcji w Lidzbarku sprawiły – opowiada leśniczy – że zacząłem chłopców pytać, jak grać. Po prostu mnie przerośli. Tylko najmłodszy Mikołaj miał opory, mówiąc, że nigdy w życiu. Ale gdy oprócz pucharów i dyplomów zaczęliśmy przywozić nagrody: lornetki, plecaki, rowery górskie i inne atrakcyjne rzeczy, i on się przekonał. Wreszcie powiedział: „Tato, daj trąbkę...” i też wsiąkł w zespół.

Wtedy już we czwórkę w męskim gronie zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób wciągnąć do zespołu mamę. Najpierw podsunęli jej *par force* – duży róg myśliwski, służący do grania sygnałów. Ćwiczyła, ale widać było, że się męczy. Trąbka też jej nie odpowiadała. Wpadli więc na pomysł, żeby włączyć do repertuaru tańce renesansowe z XVII wieku, bo te – żeby brzmiały pięknie, wysmakowanie – wymagają instrumentów perkusyjnych: tamburyna, dzwonków, bębenków. Jak się przekonali,



Michał bardzo kocha zwierzęta, niedawno hodował króliki (E.P.)

dobrze one brzmią również w muzyce klasycznej, operowej, biesiadnej, którą grali od dawna.

– I już z końcem stycznia 2009 r. – wspomina leśniczy – Urszula zagrała z nami pierwszy koncert na karnawałowym balu myśliwskim w Karnitach. Z ogromną treścią, trochę przerażona, ale się udało. Od tamtej chwili nie ma festiwalu, w którym by nie wystąpiła.

A w tymże 2009 r. było tych koncertów wyjątkowo dużo i były dla Ciesielskich pasmem niekończących się sukcesów. Cały deszcz nagród spadł na nich na dorocznych konkursach sygnalistów myśliwskich i muzyki myśliwskiej w Radzyminie, potem Spychowie, Kwidzynie i Brodnicy.

W Brodnicy odbył się I Turniej Fanfar i Hejnałów o statuetkę Anny Wazówny. Uczestnicy grali z wieży zamkowej hejnały Brodnicy i wybranego przez siebie miasta. Jury nie widziało wykonawców, miało zakodowane ich nazwiska. I tutaj też Michał Ciesielski okazał się najlepszy.

Ale za największe, ówczesne sukcesy uważają Nagrodę im. Adama Loreta i zwycięstwa w Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Myśliwskiej „O Róg Wojskiego” – mistrzostwach Polski w Olsztynie. Tam, oprócz indywidualnych nagród, zajęli zespołowo pierwsze miejsce w klasie C i klasie Muzyki Salonu Hubertowskiego. To był pierwszy poważny sukces osiągnięty przez cały zespół – kwintet rodzinny – „trąbali” ze Słupa.

Kolejne lata też mogą zaliczyć do tych tłustych. Gdziekolwiek się pojawili w roku 2010, zdobywali kolejne laury – albo jako zespół, albo w kategoriach solowych. Deszczem nagród sypnęło na trzech konkursach w sierpniu. Doceniono więc ich na Festiwalu Muzyki Myśliwskiej w Radzyminie, potem na VI Mazurskim Konkursie Sygnalistów Myśliwskich im. Tomka Napiórkowskiego w Spychowie, wreszcie na XIV Śląskim Konkursie Sygnalistów Myśliwskich o Róg Księcia Pszczyńskiego.

A potem jesienią pojawiły się kolejne nagrody na X Jubileuszowym Powiślańskim Przeglądzie Muzyki i Kultury Myśliwskiej o Wikingowy Róg Kwidzyna i na IV Międzynarodowym Festiwalu Sygnalistów Myśliwskich Hubertus 2010 w Brodnicy.

W tych sukcesach mają swój udział wszyscy członkowie zespołu, ale Paweł Ciesielski nie ukrywa, że na lidera zespołu – pod względem poziomu gry, w tym wypadku na tubie – wyrósł Patryk. Gdziekolwiek zagra, spotyka się z dużym aplauzem i uznaniem nie tylko ze strony słuchaczy, ale i członków szacownych jury. Jak się

zwierza jego ojciec, Patryk poczynił jako tubista tak duże postępy, ma w sobie do grania na tym instrumencie tak wielki dar, że wielu profesjonalnych znawców muzyki bierze go za zawodowego instrumentalistę, absolwenta studiów na tym instrumencie.

– A on jest tylko amatorem – mówi Paweł Ciesielski. – Ale faktycznie jako tubista tak się rozwinął, że Krzysztof Gwiazda – baryton z Opery Łódzkiej – wziął go do swojego zespołu „Koneser Band”, grającego m.in. muzykę bałkańską, grecką. Siadłem kiedyś z Patrykiem i powiedziałem mu, że albo będzie w grze na tubie mistrzem, czyli kimś, albo będzie przeciętnikiem. Jeśli mistrzem, to musi iść na studia.

Ojciec Patryka przyznaje, że mówił o tym z mieszanymi uczuciami, bo myślał, że syn po ukończeniu Technikum Leśnego pójdzie w jego ślady – do pracy w lesie. Los jednak sprawił, że tuba wygrała z leśnictwem. I teraz już dyskutują nie o tym: leśnik, czy tubista, ale u kogo Patryk będzie studiował. Bo – jak mu tłumaczy ojciec – muzyka nie pytają, jaką szkołę skończył, lecz u kogo studiował...

W roli radnego

Mocnym akcentem w roku tak wielu znaczących sukcesów zespołu był udział Pawła Ciesielskiego w listopadowych wyborach samorządowych do Rady Miasta i Gminy Lidzbark Welski. Leśniczy leśnictwa Słup stanął w szranki z trzema kontrkandydatami i wygrał w cuglach, zdobywając więcej głosów niż oni wszyscy razem wzięci.

Pierwotnie miał kandydować na radnego w powiecie, ale zrezygnował, bo zrelektował się szybko, że w tamtych układach byłby prawdopodobnie tylko figurantem.

– Siadłem z żoną przy herbacie – opowiada o tym, jak zmienił decyzję – i powiedziałem, że może jednak wystartuję na radnego do naszej gminy, przecież tu jest tyle do zrobienia. I będę wiedział, jak mnie tutaj ludzie widzą, czy mam u nich autorytet... Urszula przytaknęła, stanąłem do tych wyborów i tak zostałem radnym.

Chwilę później dodaje, że jeśli się zdecydował na pracę w Radzie Gminy, to nie dlatego, że jest żądny władzy, stołków czy apanaży, tylko żeby coś faktycznie dla ludzi zrobić.

– Jak już się na coś decyduję, to na całego, całym sobą, na 200 procent!



Jedną z pasji Pawła Ciesielskiego są konie (E.P.)

I zaczął ostro od obrony czterech szkół podstawowych, ze Słupa i trzech sąsiednich wiosek, placówek, które burmistrz chciał zlikwidować, „bo są dużym obciążeniem finansowym”. Na razie je wybronił. I to nie miałym nakładem sił.

– Nie mieliśmy wakacji – opowiada. – Postanowiłem poszukać sponsorów, żeby szkoła w Słupie, wzmocniona finansowo, pozostała. Obszedłem w tym celu 31 firm i wszystkie udzieliły szkole wsparcia. Za uzyskane fundusze odświeżyliśmy ogrodzenie, tworzymy plac zabaw z prawdziwego zdarzenia. Skontaktowałem się również z moim pierwszym pracodawcą (był wtedy nadleśniczym w Dwukołach), posłem Stanisławem Żelichowskim, który obiecał, że może coś wskóra w resorcie edukacji narodowej.

Ale na tym aktywność Pawła Ciesielskiego jako wiceprzewodniczącego Komisji Gospodarki, Bezpieczeństwa i Ochrony Środowiska w Radzie Miasta i Gminy Lidzbark Welski się nie kończy. Będąc leśnikiem, zna od podszewki walory przyrodnicze swojej gminy.

– Nasze wsie są pięknie położone, na lekko pofałdowanym terenie, pokrytym dorodnymi lasami. Wszędzie jest sporo stawów, oczek wodnych. Okolice to taka krajobrazowa bajka, którą okraszają nie byle jakie atrakcje, że wymienię choćby przełom rzeczki Wel w rezerwacie „Piekielko” – wymarzone miejsce na spływy kajakowe. Dlatego będę walczył o rozwój infrastruktury regionu – o drogi, dostęp do różnych mediów – a wtedy mieszkańcy wsi będą mogli rozwijać agroturystykę. Można z tego, jak widzę w innych regionach, całkiem nieźle żyć.

Paweł Ciesielski, radny, myśli również o ruszeniu kolejnej sprawy – sporządzeniu planu zagospodarowania przestrzennego, którego gmina dotąd się nie dopracowała.

– Musimy się dorobić takiego dokumentu, bo gminy, w których takiego planu nie ma, są przez inwestorów omijane szerokim łukiem; żaden poważny przedsiębiorca nie będzie się na niepewny grunt pchał – leśniczy kończy swoją opowieść o nowej roli, w jakiej od roku występuje, dodając, że jako radny musiał trochę przeorganizować swoje obowiązki, bo przecież leśnictwo dalej ma na głowie, a i gry z zespołem coraz więcej. Ale z ćwiczeń na siłowni, zwykle dwa razy w tygodniu, i biegania nie zrezygnował. Jak twierdzi, stres i zmęczenie, spowodowane pracą umysłową, trzeba jakoś rozładować.

Święta za pasem...

Dyplomów, statuetek, pucharów przybyło w ostatnich trzech latach tyle, że już się na kredensie w pokoju stołowym nie mieszczą, leśniczy więc buduje w swojej kancelarii specjalne półki. Gdy spoglądamy na te trofea, nadszedł wieczór, zegar zaczyna wybijać dziewiątą – najwyższy czas na próbę. Chłopaki biorą instrumenty, wchodzą do przedsionka na piętro i po zegarowych kurantach, przy delikatnym, zanikającym śpiewie papug, zaczynają grać.

Leśniczówka wypełnia się donośnymi, pięknie, czysto brzmiącymi taktami najrozmaitszych utworów. Reprezentują pełen przekrój repertuaru rodzinnego zespołu leśników. Na rozgrzewkę wybrzmiewają najpierw utwory patriotyczne, m.in. *Rota*, *Mazurek 3 Maja* i *Gaude Mater Polonia*. Potem grają fragment mszy hubertowskiej – *Glorię*, marsza weselnego i utwory muzyki klasycznej, w tym Amadeusza Mozarta. Po wzruszających taktach *Memory* Andrew Lloyda Webbera zespół ze Słupa prze-

chodzi do klimatów piosenki biesiadnej. A trwającą półtorej godziny próbę kończy suitą tańców renesansowych z XVII wieku.

– Boże Narodzenie za pasem, bierzemy się więc za kolędy. Co roku po kolacji wigilijnej pakujemy instrumenty i jedziemy na pasterkę do naszego kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Marcina w Boleszynie. Oczywiście grać kolędy. A potem – żartuje leśniczy – udamy się do naszych zwierzaków. Będziemy z nimi rozmawiać. A jest o czym...

Paweł Ciesielski urodził się 2 lutego 1968 r. w Lidzbarku Welskim. Dzieciństwo spędził we wsi Płotnica położonej 16 km na wschód od Lidzbarka w powiecie działowskim. Już jako uczeń Technikum Leśnego w Tucholi grał na trąbce w tamtejszej Reprezentacyjnej Orkiestrze Dętej Lasów Państwowych.

Po ukończeniu TL w Tucholi rozpoczął pracę w Nadleśnictwie Dwukoły (RDLP Olsztyn), najpierw jako stażysta, a potem na stanowisku podleśniczego. Od września 1994 r. jest leśniczym leśnictwa Słup (Nadleśnictwo Lidzbark). Jesienią 2003 r. rozpoczął studia na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie, które ukończył w roku 2007, wieńcząc je pracą licencjacką: „Historia i stan obecny sygnalistyki myśliwskiej w Polsce”. W 2011 r. skończył studia magisterskie na tym samym wydziale, broniąc pracy: „Rodzinny Zespół Sygnalistów Myśliwskich przy Nadleśnictwie Lidzbark”.

Zespół sygnalistów założył w roku 2005. Ale do trąbki wrócił już sześć lat wcześniej na prośbę nadleśniczego, gdy Nadleśnictwo Lidzbark obchodziło 125-lecie, grając od tego roku sygnały myśliwskie solo z różnych okazji. W tym czasie trafił do orkiestry dętej w Lidzbarku, a stamtąd do Reprezentacyjnego Zespołu Sygnalistów Myśliwskich Polskiego Związku Łowieckiego w Olsztynie „Trąbale”.

W 2004 r. dołączyli doń jego trzej synowie: Patryk, Michał i Mikołaj, tworząc w roku 2005 Rodzinny Zespół Sygnalistów Myśliwskich przy Nadleśnictwie Lidzbark. Cztery lata później do zespołu dołączyła Urszula – żona Pawła, mama ich trzech synów. Do 2011 r. występowali prawie 300 razy, zdobywając na wielu konkursach liczne, prestiżowe nagrody.

Paweł Ciesielski został wyróżniony odznaką „Zasłużonemu dla Łowiectwa Warmii i Mazur”. W 2008 r. otrzymał Kordelas Leśnika Polskiego. Od listopada 2010 r. jest radnym miasta i gminy Lidzbark Welski.



Trzy namiętności

Marcin Kowalski, leśniczy leśnictwa Kępino w Nadleśnictwie Wejherowo, oprócz pracy w lesie, w której jest zakochany po uszy, ma jeszcze trzy inne namiętności. Są to: jazda konna, którą do niedawna łączył z historycznymi inscenizacjami polskich bitew, jazda na rowerze, a ostatnio wyprawy motocyklowe.

Swoje hobby: konne wycieczki na własnych wierzchowcach, udział w inscenizowanych bitwach (oczywiście na koniu), wreszcie rowerowe eskapady po ścieżkach Puszczy Darżlubskiej leśniczy uprawia indywidualnie dla własnej przyjemności, ale i dla dobra ogółu. Jest kreatorem wielu imprez rowerowych i konnych – wydarzeń nietuzinkowych, znanych i rozpoznawalnych prawie w całym kraju.

Rowerowe maratony organizowane przez Marcina Kowalskiego wpisane są już na stałe do kalendarza wejherowskich imprez, a inscenizacja bitwy pod Świecinem, którą od 2005 r. organizował z rozmachem przez kilka lat, stała się wydarzeniem na skalę sąsiadującego z Trójmiastem regionu. Jest całkiem możliwe, że w kolejnych latach będzie konkurencją dla tak sławnej historycznej inscenizacji jak bitwa pod Grunwaldem.

Zaczął się od... Polski Piastów i Jagiellonów

Skąd takie zainteresowania leśniczego z Kępina? Jak to się stało, że zaistniał na Pomorzu jako animator masowych imprez, które poznaje cała Polska?

Gdy kończył podstawówkę, miał ponoć w głowie jeden wielki mętlik. W żadnej ze szkół średnich, które oferowało mu rodzinne Wejherowo, nie widział zbytnio swojej przyszłości. Ani samochodówka, ani Technikum Elektryczne, a tym bardziej ogólniak go nie pociągały. Zaczął się więc rozglądać poza swoim miastem. I znalazł – Technikum Leśne w Tucholi.

– W tej szkole – wspomina z sentymentem – od samego początku czułem się bardzo dobrze. Uczyłem się tyle, ile trzeba, ale najciekawsze były zajęcia pozalekcyjne. Układanie psów w szkolnym klubie kynologicznym przynosiło mi wtedy ogromną frajdę.

W tym klubie Marcin Kowalski szybko zdał egzamin na asystenta prób i konkursów psów myśliwskich. Jeździł więc ze swoim nauczycielem na zawody organizowane

**Marcin Kowalski
na motocyklu BMW GS (E.P.)**

przez Polski Związek Łowiecki i Związek Kynologiczny w Polsce. Podczas zawodów odbywały się różne konkurencje. W sztucznych norach sprawdzano ciętość jamników, terierów albo umiejętność głoszenia i tropienia zwierząt podczas polowań. W pracy z psami myśliwskimi asystował do klasy maturalnej. Nie tylko taka aktywność dawała młodemu Marcinowi satysfakcję.

– Wśród nauczycieli w Tucholi – opowiada – najbardziej mi zapadł w pamięci Władysław Grochowski. Uczył nas propedeutyki o społeczeństwie. Nie był, jak inni nauczyciele tego przedmiotu, propagandzistą. Nie gloryfikował PRL-u. On słał dawną Polskę – Piastów, Jagiellonów.

Jego szkolny idol uczył patriotyzmu, wyłaniał te fragmenty z dziejów Polski, z których Polacy mogą być najbardziej dumni. Opowiadał na przykład, że w XVI w., gdy miasta całej Europy tonęły w ściekach, Warszawa miała już w dużej części wodociągi i kanalizację. To młodemu Marcinowi bardzo się podobało. Wtedy pokochał historię i nade wszystko peregrynacje po dziejach naszego kraju.

A do peerelowskich realiów lat 80. był bardzo krytyczny, za co zresztą został ukarany. To było w trzeciej klasie. Rok 1986. Jechali na wycieczkę w Tatry. Trasa prowadziła przez Częstochowę. Wychowawca, mimo usilnych próśb uczniów, nie zgodził się na zatrzymanie i zwiedzenie Jasnej Góry.

– W odwecie – wspomina Marcin Kowalski – nie wysiedliśmy z autokaru w Poroninie, gdzie mieliśmy oglądać pomnik Lenina. „Kornik” (tak nazywaliśmy wychowawcę) przeprowadził śledztwo i mnie wskazał jako prowodyra. Za karę zostałem przeniesiony do innej klasy.

Igraszki Zambry

Zwierząt u państwa Kowalskich jest pełna chata, a właściwie pełne obejście. Są więc trzy psy, koty, ale prym wiodą wierzchowce.

– Konie, od lat obecne w zagrodzie – objaśnia leśniczy – pojawiły się u nas dzięki Agnieszce, mojej starszej, dziś już siedemnastoletniej córce. Gdy miała pięć lat, rysowała tylko rumaki. Większość zabawek, którymi się bawiła, to też były konie. Nie było wyjścia. Postanowiłem sprowadzić córce prawdziwego, żywego konia...

W ten sposób jedenaście lat temu w zagrodzie leśniczego znalazła się srokata Zorza – klacz szlachetnej półkrwi. Potem pojawiła się Zambra – córka Zorzy. Dziś już siedmioletnia kasztanka jest koniem Agnieszki. Jest bardzo ciekawska i chyba

przez to posiadała niezwykłą umiejętność umykania niemal z każdej zagrody. Nie tylko przeskakuje płoty, ale i otwiera skoble albo inne zabezpieczenia.

– Zambra dość często przeskakuje do zagrody po sąsiedzku, gdzie również są konie. I nie ma na to rady. Ale daleko nie odchodzi. Wraca, gdyż czuje się ze swoimi mocno związana.

Nieobecny już dziś Betyst, gniady angloarab, wyróżniał się niezwykłą urodą i temperamentem. Jego jedyną wadą było to, że bał się łopoczących na wietrze flag lub sztandarów. Ale Marcin Kowalski znalazł na niego sposób i siedmioletni wówczas „młodzieniec” służył mu dzielnie w inscenizacjach bitew na zmianę z Zorzą. Dziś jego miejsce zajmuje Graffiti – też koń „hotelowy” i dobrze czujący się w tym stadku. Niedawno dołączyła Kiegla – 23-letnia staruszka, która pracowała w gdyńskiej Straży Miejskiej; potem wykupiła jej „emeryturę” mieszkanca Gdańska.

– Moja przygoda z pokazami bitew – wspomina Marcin Kowalski – zaczęła się w 2002 r., gdy związałem się z Gdyńskim Szwadronem Krakusów, który jest kontynuacją Stowarzyszenia Przystosobienia Obronnego – organizacji szkolącej przed wojną cywilów do obrony kraju. Jego instruktorami byli wojskowi kawalerzyści. Honorowym członkiem reaktywowanych Krakusów był w owym czasie porucznik Stanisław Górski, uczestnik kampanii wrześniowej w Gdyni.



Konne wycieczki Marcin Kowalski może urządzać w każdej chwili, bo w domu zawsze są konie (E.P.)

Szwadron Krakusów uświetniał paradami różne ważne rocznice, m.in. wyzwolenia Wejherowa. Po dwóch latach istnienia członkowie tej organizacji postanowili uczestniczyć w inscenizacji bitwy od Krojantami, gdzie 3 września 1939 r. polscy ułani szarżowali na niemieckie tabory i z początku wygrywali. Potem jednak, gdy ruszyły wojska pancerne wroga, musieli skapitulować.

– Biorąc udział w inscenizacjach bitwy pod Krojantami, w której byłem polskim ułanem, a potem w zdobywaniu Kamienia Podolskiego na Ukrainie, pomyślałem, że można zorganizować taki pokaz samemu, w moim regionie – wspomina Marcin Kowalski. – A miejsce godne takiego przedstawienia, odległe kilkanaście kilometrów od Leśniczówki, już miałem na oku. To Świecino, gdzie Polacy w jednej z najważniejszych bitew wojny trzynastoletniej rozgromili w 1462 r. Krzyżaków.

„Bitwa” pod Świecinem

Przygotowania do inscenizacji bitwy zaczęto z początkiem 2006 r. Dzięki wsparciu miejscowego nadleśnictwa i lokalnych władz prace szły bardzo sprawnie. Najważniejsze było przygotowanie zbroi i rynsztunku rycerzy z tamtych czasów. Aby wpasować się w tamtejsze realia, Marcin Kowalski przewertował mnóstwo książek z członkami Stowarzyszenia „Chorągiew Wejhera”, zrzeszającego miłośników odtwarzania wydarzeń z dziejów Polski.



W polskim obozie przed „bitwą” z Krzyżakami (E.P.)

Marcin Kowalski z córką Agnieszką przed inscenizacją bitwy pod Śniecinem (E.P.)



Inscenizacja bitwy to okazja do prezentacji strojów i zwyczajów epoki (E.P.)

Żartowano z nich, że napiszą kilka doktoratów, bo szukając szczegółów dotyczących bitwy, przejrzeni kilkadziesiąt pozycji. Oprócz dzieła „Historia Polonica” Jana Długosza były to m.in.: „Jazda polska 1450–1550” Artura Grundmana, „Wojny Polski z zakonem krzyżackim 1308–1521”, „Bitwy na Pomorzu 1109–1945” Mieczysława Bielskiego i Waldemara Rezmera. W efekcie surfowania po Internecie trafili na takich samych zapaleńców jak oni – na portal rycerski „Frecha”.

– Wrzuciliśmy tam nasz temat – opowiada Marcin Kowalski – i spotkało się to z przychylnym odzewem bractw z całej Polski. W Ośrodku Edukacji Przyrodniczo-Leśnej „Muza”, udostępnionej przez nadleśnictwo, rozdzieliliśmy role. Zostałem organizatorem bitwy, a sam wziąłem na siebie rolę strzelca konnego wojsk polskich. Po tym spotkaniu w ruch poszły nożyce, igły, narzędzia kowalskie. Z wełny, skóry, płótna, drewna, blach zaczęliśmy tworzyć nasze stroje i zbroje.

Rezultat tych mozolnych przygotowań, co 19 sierpnia 2006 r. mogło ocenić około tysiąca widzów zgromadzonych na polach bitwy pod Świecinem, był imponujący. Już same konstrukcje taborów – z ostrokołami, działami itp. – które Krzyżacy i Polacy wraz ze sprzymierzonymi wojskami rozbili naprzeciw siebie, robiły wrażenie. Wcześniejsze prezentacje strojów, uzbrojenia, pokazy artylerii, sztuki fechtunku, sprawności jeździeckiej, turniej łuczniczy, strzały z broni palnej, a na dodatek koncerty muzyki dawnej – były nie mniej efektowne.



**Marcin Kowalski (na koniu z lewej)
podczas inscenizacji bitwy
pod Świecinem (E.P.)**

Gdy zaczęła się bitwa, zagrzmiały działa, hakownice, najmłodszy widzowie patrzyli jak oniemiała. Tętent koni, szcęk mieczy, dym, zapach prochu, wszystko to sprawiło, że oglądający bitwę czuli się niczym jej uczestnicy. Tylko słowa spikera, który opisywał na bieżąco to, co się dzieje, uświadamiały, że jest to inscenizacja. A gdy kończąc swoją konferansjerkę, ogłosił, że na polu bitwy legło około tysiąca żołnierzy zakonnych, w tym ich dowódca – Fritz von Raveneck, i Polacy zwyciężyli, zdobywając 200 wozów z ładunkiem i 15 dział, rozległy się gromkie oklaski.

W tamtym okresie w kancelarii leśniczego leśnictwa Kępina – oprócz rejestratora, komputera, kasy fiskalnej, barwnej mapy siedliskowej – można było wypatrzyć rzeczy nietypowe dla takiego pomieszczenia. Nad kominkiem wisały: długi miecz i rycerski hełm. Obok tak zwanego półtoraręcznego miecza znajdowały się: mizerykordia, czyli sztylet miłosierdzia, wypełniony strzałami kołczan z dziczej skóry, lampa dorożkarska na świeczkę, wreszcie wycięte misternie w drewnie statuetki rowerów. Dziś kancelaria jest w innym miejscu i tych rekwizytów tam już nie ma.

– Te przedmioty, nie licząc drewnianych statuetek rowerów, wylądowały na strychu – wyznaje leśniczy. – Do Świecina przyjeżdżam tylko jako widz. Z końmi się nie rozstałem, ale nie biorę już udziału w inscenizacji. Bitwy przegrały konkurencję z moim „rowerowaniem”.

Rowerem zakręcony

To rowerowe „zakręcenie” Marcina Kowalskiego objawia się na dwa sposoby. Co roku uczestniczy w rowerowych eskapadach po całej Europie, przemierzając tysiące kilometrów. Każdej wiosny organizuje również kolejne edycje Leśnego Maratonu Rowerowego w swoim leśnictwie – imprezę, która jest częścią Festynu Leśnego Nadleśnictwa Wejherowo. Robi wszystko, aby – także siłami Wejherowskiego Towarzystwa Cyklistów – popularyzować jazdę rowerem.

Podczas maratonu rozgrywane są zwykle trzy konkurencje. Pierwsi na leśne ścieżki Puszczy Darżlubskiej udają się rowerzyści. Około 250 uczestników obu płci ma do pokonania dystans 42 lub 63 km. Pół godziny potem na trasę *par excellence* maratońską, liczącą 42,195 km, wytyczoną w puszczy, ruszają biegacze. Część kończy bieg w połowie trasy, na mecie tak zwanego półmaratonu. Ale dziś tego biegu w Kępnie już nie ma.

– W zawodach rowerowych uczestniczy zwykle 150–180 zawodników. Swoją obecnością zaszczycił już nas Piotr Wadecki, siódmy na olimpiadzie w Sydney i szósty na kolarskich mistrzostwach świata w roku 2001. Był również z nami Piotr Kosmała, współwłaściciel zawodowej grupy kolarskiej „Mróz” – z dumą informuje leśniczy. – Dzięki nim maraton, chociaż to impreza dla amatorów, ma swoją wagę, swój prestiż.

Wiosenna impreza w Kępnie ma też swój koński akcent – zawody koni zimnokrwistych w zrywce drewna saniami. W szranki staje kilkanaście koni; zadaniem powożących jest pokonanie w jak najkrótszym czasie dystansu 100 metrów saniami, wyładowanymi drewnem o łącznej masie 450 kg.

– W tej widowiskowej konkurencji „grubasy”, czyli konie zimnokrwiste, spisują się znakomicie, dowodząc, że wciąż są w pracach leśnych przydatne – opowiada Marcin Kowalski.

Dalekie wyprawy, liczone w tysiącach kilometrów, Marcin Kowalski zaczął stosunkowo niedawno, bo w 2006 r. I było to od razu mocne uderzenie, wtedy bowiem pokonał trasę z Gdańska do Rygi. W kolejnym roku w ciągu tygodnia przejechał kawał Szwecji, od Nyneshamn, przez Sztokholm, Uppsalę i Jönköping do Karlskrony – ponad 1100 kilometrów! Potem przemierzył drogę ze Szczecina do Wiednia. Na pytanie, co go kręci w pokonywaniu takich odległości na rowerze, odpowiada:

– Rower daje czas na przemyślenia. Pokonuję setki kilometrów dzięki metrowi łańcucha i siłom swoich mięśni. To daje satysfakcję. I zatrzymuję się wszędzie tam,



Jedna z trzech namiętności leśniczego z Kępina – rower (E.P.)

gdzie chcę, bo jadę asfaltem, ale i drogą leśną, ścieżynkami. Nie zależę od żadnych dróg, autostrad. Czuję się naprawdę wolny!

Spośród wszystkich dotychczasowych wypraw, które zwykle odbywa z Jarkiem – kolegą podobnie jak on uzależnionym od roweru – za najbardziej udaną uważa tę na Ukrainę, do Jaremczy. Pojechali tam w podróż sentymentalną, bo z tamtych okolic pochodzi rodzina Jarka. Przebyli ponad 1700 kilometrów i dotarliby pewnie do granicy z Rumunią, gdyby mieli więcej czasu.

– Tę podróż będę długo pamiętał, z różnych powodów. Jednym z nich był epizod w Nowym Mieście, gdzie się urodziła babcia Jarka – opowiada Marcin Kowalski. – Gdy już tam dojeżdżaliśmy, Jarek, przejęty obecnością w magicznym dla niego miejscu, powiedział w pewnej chwili, że człowiek po śmierci trafia tam, gdzie się za życia najlepiej czuł. Na drodze do kościoła, którą chodziła przed wojną i po wojnie jego babcia, znalazł monetę z XIX w. „To jest ten znak. Nikt jej nie podniósł, a przecież chodzą tędy setki ludzi. Ta moneta na mnie czekała” – oświadczył wtedy bardzo przejęty.

Tamta podróż wywoływała również inne emocje. Gdyby zawierzyli ukraińskim mapom i przemieszczali się samochodem, nie dojechaliby za daleko, zdarzało się bowiem, że oznaczona na mapie droga była tylko szlakiem zrywkowym. Ze dwa razy chcieli się przemieścić na drugą stronę sporej rzeki, bo na mapie był most. Kiedy jednak dojechali do rzeki, okazało się, że jednego przęsła mostu brakuje.

– Gdybyśmy podróżowali samochodem, musielibyśmy zawrócić. Ale na szczęście byliśmy na rowerach, przenieśliśmy więc je na plecach przez nurt stosunkowo płytkiej rzeki i pojechaliśmy dalej.

Marcin Kowalski gwarantuje, że takich niemiłych niespodzianek nie będą na pewno mieli rowerzyści, którzy udadzą się na przykład Szlakiem Dworów i Pałaców Północnych Kaszub, który gorąco wszystkim poleca.

– Pomyślałem, że tu, w moim regionie, można wytyczyć trasę rowerową, na której przystankami będą dwory i pałace. Tymi kamieniami milowymi na pętli długości 177 km jest ponad trzydzieści obiektów. Trasę można podzielić na trzy etapy w ten sposób, żeby każdy rowerzysta – w zależności od swoich możliwości – przejechał ją bądź w jeden dzień, bądź w dwa, trzy, pięć albo nawet siedem dni – tłumaczy pomysłodawca Szlaku Dworów i Pałaców Północnych Kaszub.

Poszczególne obiekty na szlaku to w dużej mierze prawdziwe perełki architektoniczne, z przeszłością wpisaną na stałe do historii Polski, do tego zamieszkiwane

**Po koniach i rowerach
Marcina Kowalskiego wciąga
coraz bardziej motocykl (E.P.)**



niegdyś przez znamienite rody. To m.in. pałac Przebendowskich w Wejherowie, pałac w Rzućwie, zamek w Krokowej, dwór w Starbieninie, dworek w Salinie. W każdym z nich można zamówić nocleg.

– A wszystko zaczęło się od opracowania: „Szlakiem dworów i pałaców północnych Kaszub”, które zredagował mój kolega, Radosław Kamiński, dyrektor Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w pałacu Przebendowskich. Później wymyśliłem ścieżkę, obejmującą jak najwięcej tych obiektów, a on – podchwycając ten pomysł – napisał dla turystów rowerowych specjalny przewodnik, z detalicznym opisem całej trasy i bardzo dokładną mapką. Rowerzyści, dysponujący urządzeniami do nawigacji, mogą pobrać w Internecie tzw. ślad GPS, który poprowadzi ich po tej trasie jak po sznurku. Uważam, że naprawdę warto, bo rower jest najlepszym środkiem transportu – przekonuje Marcin Kowalski i równocześnie nie ukrywa, że po koniach i rowerach wciąga go coraz bardziej kolejny pojazd, też jednośląd, który otwiera przed nim nowe możliwości zwiedzania świata. To oczywiście motocykl. Kilka miesięcy temu stał się właścicielem motoru BMW GS o pojemności 1100 cm³.

– To cacko jest z 1994 r., a więc nie należy do najnowszych, ale ma ponad 80 KM mocy i wciąż jest w stanie rozwinąć do 200 km na godzinę. Oczywiście nie prędkość mnie ekscytuje, ale możliwość przejechania podczas jednej wyprawy już nie tysiąca kilometrów jak na rowerze, lecz nawet dziesięciu tysięcy. Dlatego z dwoma innymi kolegami zaplanowaliśmy wyprawę do Gruzji, ale zrezygnowaliśmy z niej, bo chcieliśmy wracać przez Abchazję i Rosję, a przekroczenie tamtejszej granicy dla obywateli z UE okazało się bardzo skomplikowane. Tymczasem więc wybraliśmy Rumunię. Może w następne wakacje...

Klasa w środku lasu

Czy Marcin Kowalski odnosi podobne sukcesy w pracy leśnika? Na pytanie o wygrane i porażki, które mu się w ciągu dwunastu lat szefowania leśnictwem Kępino zdarzyły, odpowiada krótko:

– Praca w lesie, w którym jestem gospodarzem, jest wykonywana jak należy. Chyba dobrze. Tak przynajmniej się mnie ocenia. Las jak widać szumi. Najważniejsze, żeby mu nie przeszkadzać...

Eskapada po leśnictwie Kępino, którego lwią część stanowi przepiękna Puszcza Darżlubska, dowodzi, że lasy, w których gospodarzem jest Marcin Kowalski, szumią nie tylko dla dobra gospodarki leśnej. Tuż za istniejącym już od dłuższego czasu Ośrodkiem Edukacji Przyrodniczo-Leśnej „Muza” trafiamy na nowocześnie urządzoną, niezwykle atrakcyjną ścieżkę przyrodniczo-leśną „Las za Muzą”.

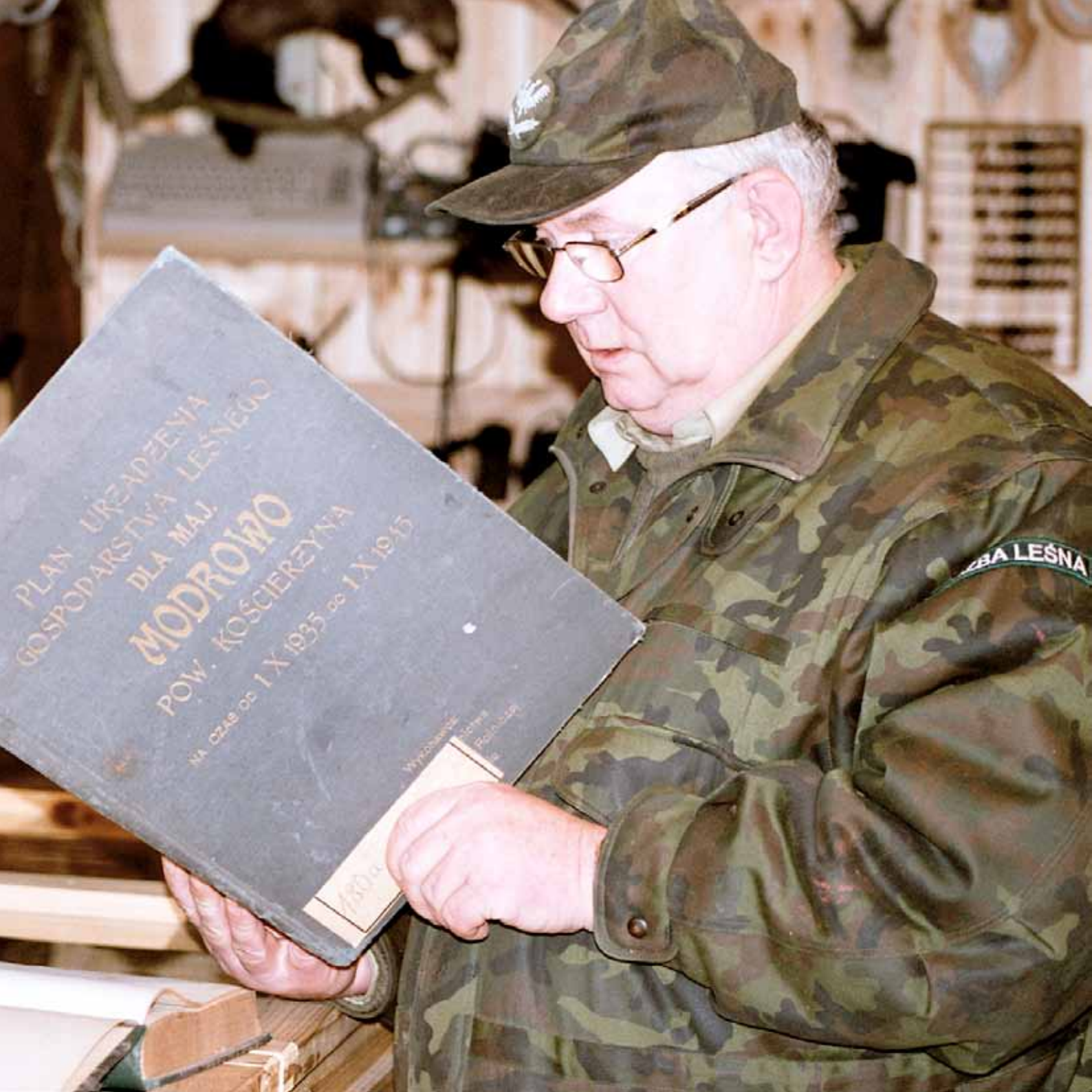
Ten przyrodniczy raj – głównie dla uczniów szkół podstawowych, ale i przedszkolaków – ma niespełna dwa kilometry długości i aż 12 przystanków! Mali goście mogą więc obejrzeć na ścianie stodoły za „Muzą” wspaniałą kolekcję zmodyfikowanych budek lęgowych prof. Sokołowskiego, wykonanych przez uczniów szkół podstawowych z powiatu wejherowskiego. Potem na kolejnych przystankach dowiadują się m.in., jak jest chroniony las, jak są wykorzystywane pułapki feromonowe, jak dokarmiać zwierzynę, jaką rolę odgrywa w kompleksach leśnych mała retencja, jak w martwych drzewach pulsuje „życie po życiu”. Na moment mogą się zatrzymać i sięść w ławkach leśnej klasy pod okapem przepięknych, wiekowych buków i wysłuchać gawęd leśniczego.

– Tę ścieżkę oddaliśmy do użytku pięć lat temu. Projektowałem ją razem z Marzeną Wysocką, specjalistką do spraw edukacji. Jesteśmy z niej dumni – mówi Marcin Kowalski. – Może tego typu obiekty sprawią, że nasze społeczeństwo nauczy się lasu, zrozumie go, a potem uszanuje? Wtedy nie będę musiał wywozić ze swojego leśnictwa co roku dziesiątek metrów sześciennych śmieci...

Marcin Kowalski urodził się 7 sierpnia 1968 r. w Wejherowie, gdzie uczęszczał do szkoły podstawowej. W roku 1983 rozpoczął naukę w Technikum Leśnym w Tucholi, które ukończył w 1988 r. Po szkole odbył półtoraroczną służbę wojskową. W 2001 r. ukończył zaoczne studia na Wydziale Leśnym dawnej Akademii Rolniczej w Poznaniu (obecnie Uniwersytet Przyrodniczy). Od września 1988 r. pracuje w Nadleśnictwie Wejherowo. W 1994 r. został leśniczym leśnictwa Staryno, od roku 1999 jest leśniczym leśnictwa Kępino.

Od czerwca 2010 r. pełni funkcję zastępcy przewodniczącego Krajowej Sekcji Pracowników Leśnictwa NSZZ „Solidarność”. Wiosną 2011 r., gdy chciano zaliczyć Lasy Państwowe do sektora finansów publicznych, przeprowadził akcję medialną „Spytaj posła”, aby pokazać naszym parlamentarzystom, jakie mogą być następstwa zmiany ustroju Lasów Państwowych.

Pasjonują go jazda konna i związane z nią inscenizacje słynnych bitew (był pomysłodawcą i współtwórcą odgrywanej co roku bitwy pod Świecinem). Największe hobby to jazda na rowerze i popularyzacja tego rodzaju aktywności. Jest członkiem Wejherowskiego Towarzystwa Cyklistów, organizuje co roku Leśny Maraton Rowerowy, wyjeżdża na bardzo długie wycieczki rowerowe (na przykład: Gdańsk–Ryga, Szczecin–Wiedeń, Wejherowo–Nordhorn). Rocznie przejeżdża rowerem około 10 tys. kilometrów. Ostatnio coraz częściej przesiada się na motor, na którym – na początek – wybiera się do Rumunii, a potem do Gruzji.



PLAN UREADZENIA
GOSPODARSTWA LEŚNEGO
MODROWO
POW. KOŚCIERZYŃNA
NA CZAS OD 1 X 1935 DO 1 X 1945

BA LEŚNA

Pasja drugiego życia

– Było to w 1991 r., 13 września. Gdy przywieźli mnie nad ranem po zawale do szpitala w Gniewie, moje serce nagle stanęło. Zrządzeniem Boga po trzech minutach ruszyło. I bije do dziś...

Ksiądz, który namaszczał pacjenta, o mało nie zemdlął. Tak po śmierci klinicznej zaczęło się drugie życie Stanisława Chmiela, leśniczego leśnictwa Brody w Nadleśnictwie Starogard. Gdy potężne z natury, liczące już 62 lata chłopisko opowiada o tym wrześnieowym, feralnym dniu, jego podbródek lekko drga, jest jakiś niespokojny. Ale za moment twarz leśniczego pogodnieje i pojawia się nań wszechogarniająca jego osobę błogość i satysfakcja.

– Za podarowane mi życie, drugie życie – podkreśla Stanisław Chmiel – postanowiłem się Opatrzności zrewanżować. I po miesiącach rekonwalescencji, gdy wróciłem do pracy, zacząłem z ogromną determinacją gromadzić wszystko, co wiąże się z historią leśnictwa, łowiectwa, również rolnictwa. Dla potomnych, żeby coś po mnie zostało. Jak widać, z nie najgorszym skutkiem. Trochę się tego zebrało...

Z pieczęcią i rębakiem

To „trochę” zostało zgromadzone w drewnianej, solidnej, wzniesionej przy leśniczówce Izbie Leśnictwa i Łowiectwa. W drugim pomieszczeniu, zaadaptowanym niedawno do nowej funkcji, leśniczy gromadzi przedmioty, które kiedyś służyły w gospodarstwach domowych. Większe eksponaty stoją wokół siedziby leśnictwa, w kilku specjalnie do tego celu przeznaczonych miejscach.

Całość ekspozycji zadziwia różnorodnością, ale i profesjonalnym pogrupowaniem zebranych przedmiotów. I każe postawić pytanie: jak jeden człowiek, obciążony obowiązkami gospodarowania w trudnych drzewostanach – na dawnych gruntach porolnych, zajmujących teren niegdysiejszych poligonów – był w stanie zebrać kilka tysięcy eksponatów? Do tego nierzadko unikatowych, cennych, których nie powstydziliby się profesjonalne muzeum? Od niewielkiej, okrągłej pieczęci Nadleśnictwa Pelplin sprzed drugiej wojny światowej, po sprowadzony z Czarnej Wody, ogromny rębak do produkcji płyt pilśniowych, przywieziony tu na sporej wielkości ciężarówce.

Stanisław Chmiel z „Planem urzędzenia gospodarstwa leśnego dla maj. Modrowo” (E.P.)

– Gospodarz przy piecu nie siedzi, a leśnik tym bardziej – opowiada Stanisław Chmiel. – Cały dzień jest w ruchu. Ja jestem w ruchu po pamiętnym zawale już prawie 20 lat. I za każdym razem, każdego dnia, gdy się znajdę w Gniewie, Pelplinie, Starogardzie, u kolegów leśników, gdziekolwiek indziej, włącza mi się wewnętrzny głos, który podpowiada: „Stachu, rozejrzyj się, może tu coś jeszcze do muzeum znajdziesz?”. I zwykle znajduję. Nie mówię o planowanych wyprawach do punktów skupu złomu. Stamtąd nigdy nie wracam z pustymi rękami!



W tym drewnianym domu znajdują się wszystkie muzealne skarby Stanisława Chmiela (E.P.)

Trudno się dziwić, że wnętrze samej Izby Leśnictwa i Łowiectwa, liczącej w sumie około stu metrów kwadratowych, pęka w szwach. I wszystko w niej jest wykorzystane do celów wystawienniczych: podłogi, ściany, specjalne stoły, różne gabloty, a nawet sufit. Gros zebranych eksponatów stanowią stare mapy, obrazujące m.in. dawne granice nadleśnictw: Pelplin, Swaróżyn, Starogard Gdański. Imponujący jest zbiór różnorodnych, przedwojennych instrukcji dla leśników i nadleśniczych. Nie brak także dokumentów, którymi posługiwali się prywatni, przedwojenni właściciele lasów. Przykładem „Plan urządzenia gospodarstwa leśnego dla maj. Modrowo”, pochodzący z połowy lat 30. ubiegłego wieku.

– To jeden z moich białych kruków – wyjaśnia Stanisław Chmiel. – Innym jest katalog towarów, proponowanych dla leśników, który im rozesłano w połowie lat 30. Ale za najcenniejszy eksponat uważam pieczętę z orłem w koronie sprzed pierwszej wojny światowej Nadleśnictwa Pelplin, którą dostałem od dawnego, emerytowanego sekretarza tego nadleśnictwa.

Leśniczy jest również dumny z tego, że udało mu się zgromadzić prawie kompletne wyposażenie sprzętu łącznościowego i urządzeń dokumentujących rozmaite wydarzenia. W kątku poświęconym temu tematowi znajdują się m.in.: licząca grubo ponad pół wieku centrala telefoniczna, telefon na korbkę, wreszcie kamera – również na korbkę! O tym, że takowe urządzenie było w leśnictwie używane, pewnie nie wiedzą nawet zaawansowani wiekiem leśnicy.

Osobno są eksponowane gracie do pielienia upraw, kostury (metalowe, sporządzone z innych materiałów, trójkątne, używane tylko w górach), także unikatowy przyrząd do wybierania sadzonek z bryłką ziemi i wreszcie ażurowa, leciutka jak piórko, waga do nasion.

W kącie po prawej stronie od wejścia Stanisław Chmiel zgromadził mundury Służby Leśnej, także emblematy ze stopniami leśników z różnych okresów. Oddzielną kolekcję stanowią różne czapki służbowe. I nie są to egzemplarze anonimowe. Przykrywały



W Izbie Leśnictwa i Łowiectwa znajduje się spora kolekcja przedstawicieli rodzimej awifauny, a pod sufitem – również bogaty zbiór dawnych lamp naftowych (E.P.)

głowy – co zresztą jest w muzeum dokładnie opisane – szefów konkretnych nadleśnictw, od międzywojnia, przez okres powojenny, aż po ostatnie lata.

Na eksponowanym miejscu znajdują się dwa najnowsze nabytki: teodolit i niwelator – urządzenia pomiarowe sprzed ponad 80 lat, sprezentowane leśniczemu przez znajomego, którego ojciec był kiedyś mierniczym.

– Dziwi się pan, że przed tymi mundurami „siedzi” stadko ptaków: para kuropatw, przepiórek, bażantów, bażanta srebrnego, gęsi gęgawy, kaczki, kurki wodnej, łyski, rybitwy? – zgaduje moje zaskoczenie leśniczy. – Ustawiłem je na specjalnym podium, bo naszymi gośćmi są głównie uczniowie gimnazjów i szkół podstawowych. To z myślą o nich tak urozmaiciłem tę cześć muzeum, żeby się nie nudzili. Bo nuda to największy nasz wróg. Nie można pozwolić, by choć na moment wkradła się do grup zwiedzających muzeum.

Od radia do... chomąta

Kiedy w izbie zrobiło się tak ciasno, że już nawet pod sufitem zabrakło miejsca, Stanisław Chmiel postanowił rozdzielić swoje zbiory. Stworzył z nich dwa działy: leśnictwa i łowiectwa oraz przedmiotów domowego użytku.

Te drugie powędrowały do nowej sali, która została przygotowana do tego celu w jednym z budynków gospodarczych. Można tam obejrzeć stare radia (m.in. pioniera, trubadura, moderato, balladę), także radia tranzystorowe, w tym lenę 1 i sokoła 304, magnetofony Tesli i Unitry, wzmacniacze, adaptory. Jest pokaźna kolekcja aparatów fotograficznych, w tym nieśmiertelny druh. Są również powiększalniki do zdjęć – krokus i beta – także sprzęt do wykonywania odbitek stykowych, a nawet projektory do wyświetlania bajek.

W specjalnym kąciku eksponowany jest sprzęt, którym posługiwały się niegdyś gospodynie domowe. Są więc: żelazka na węgiel, żelazka z tak zwaną duszą, maselnice, wafelnice. Są także maszyny do szycia, oczywiście Singera i Łuczniaka, drewniane pralki oraz lodówki, także najstarsze modele odkurzaczy i froterek, wreszcie wózki dziecięce. Na półkach stoją „czworaki” – piętrowe garnuszki, w których w czasach PRL-u nosiło się obiady ze stołówek zakładowych do domu.

W oddzielnym miejscu znajduje się cała kolekcja starych uprzęży; szczególną uwagę zwracają chomąta – nie tylko dla koni, ale również dla krów i wołów! A oprócz nich – stare zegary i wagi z odważnikami.

Pod gołym niebem

– Zwiedzający, szczególnie ludzie starsi, opowiadają mi, że sami podobny albo nawet taki sam sprzęt kiedyś używali, ale w końcu wyrzucili go na śmietnik. Teraz, oglądając te przedmioty u mnie, mogą sobie powspominać stare czasy. Dodają przy tym, że dobrze się stało, że znalazł się ktoś, kto je ocalił, bo przecież stanowią część naszej historii – mówi z dumą gospodarz tej niby-zwykłej, ale przecież rzadkiej kolekcji.

Po sąsiedzku z wolierami zostały ustawione w szeregu jak żołnierze, pomalowane na zielono, maszyny rolnicze, które już przeszły do historii rolnictwa. To m.in.: żniwiarka, roztrząsacz do siana, koparka i sadzarka do ziemniaków, kosiarka, sieczkarnia i wreszcie – silnik do młockarni.

Kilkanaście metrów dalej, pod lasem, stoją – również okazałe gabarytowo – maszyny do prac leśnych. Najciekawszy wydaje się – wyglądający niczym mamut z epoki lodowcowej – wspomniany już rębak. Jeszcze przed 15 laty służył do produkcji zrębków opałowych i na potrzeby przemysłu płyt pilśniowych.

Niezwykły wygląd przedpotopowego stwora ma też spryskiwarka, służąca do „naziemnego zwalczania owadów szkodliwych”, którą wycofano z użytku też 15 lat temu.



Dawne maszyny do pracy
na roli eksponowane
pod chmurką (E.P.)

W kąciku maszyn leśnych znajdują się jeszcze: zgrabiarka do oczyszczania powierzchni na zrębach, konne pługi i pogłębiacze leśne – podstawowe narzędzia do przygotowywania gleby pod odnowienia i zalesienia. Tę część ekspozycji zamyka kolczatka do wykonywania jamek pod sadzonki sosny, głównie na gruntach porolnych.

W azylu

– Las pulsuje życiem, a ton nadają mu drzewostany z ich lokatorami. Jako leśnik doskonale to czuję. Zbierając kolejne eksponaty do moich muzealnych działów, pomyślałem sobie, że mają one swoją wartość, ale przecież są – jak każdy przedmiot – martwe, nieme. Żeby ożywić więc moje obejście, cały teren leśniczówki, postanowiłem założyć azyl dla zwierząt – zwierza się Stanisław Chmiel.

Ten pomysł wcielił w życie już w czerwcu 2002 r., gdy na prowadzenie takiego obiektu otrzymał zgodę od starosty w Tczewie. Od tego czasu przez klatki, woliery i zagrody, zlokalizowane w leśniczówce, przewinęło się dobrych kilka setek zwierząt chorych, poturbowanych, poszkodowanych w rozmaitych sytuacjach albo przyniesionych przez okolicznych mieszkańców.

A lokatorzy byli tutaj najrozmaitsi, w większości przedstawiciele leśnych czworonogów i reprezentanci awifauny, którym trzeba było pomóc, podleczyć. Gdy już stawały się sprawne, zdolne do samodzielnego życia, były wypuszczane na wolność.

Gdy odwiedzałem Stanisława Chmiela pierwszy raz, w azylu przebywało kilkunastu lokatorów, głównie skrzydlatych. Na przykład w chlewiku zamieszkiwał łabędź, który podczas nauki latania uszkodził sobie kręgosłup.

– On nie lata, nie chodzi, tylko się czołga – objaśniał gospodarz. – Latem puszczam go na stawek, bo z pływaniem radzi sobie całkiem nieźle. Ale na wolności nie miałby szans na przetrwanie. Dlatego będzie moim dożywotnim pensjonariuszem.

W tym samym pomieszczeniu, w oddzielnych kojcach, znajdowały się bociany – białe i czarne. Po rekonwalescencji, która trwała kilka miesięcy, ptaki odleciały.

W dwóch sąsiednich kojcach baraszkowały dwie rodziny czarnych jak smoła, sympatycznych... świnek wietnamskich. Jak na komendę wystawiały ryjki do aparatu fotograficznego, czym wzbudzały aplauz i salwy śmiechu wśród zwiedzającej azyl młodzieży. Dziś zostały tylko dwie. Resztę leśniczy rozdał przyjaciółom i znajomym.

Na zewnątrz, w zabłoconej zagrodzie, taplała się z lubością para dzików. Wążąca grubo ponad sto kilogramów locha niestety odeszła, prawdopodobnie ze starości, a odyniec z okazałymi szablami, który ważył ze sto sześćdziesiąt kilogramów i był ozdobą obejścia leśniczego, został wypuszczony na wolność. Do grupy stałych lokatorów należą dwa kozły, wcześniej trzymane na sznurku przez gospodarza pod miejscowością Nowe.

– Przywieźli je tutaj myśliwi – objaśniał leśniczy. – Też mają u mnie dożywocie, bo niedomagają ruchowo i źle widzą. Na wolności nie przetrwałyby doby. Pierwszy lis, pierwszy pies byłby dla nich śmiertelnym zagrożeniem. A tak żyją i cieszą oczy moich gości.

Po sąsiedzku strzygła uszami sarna z parą młodych kozłatek. Jakiś rolnik trzymał ją w Swarozynie. Raz sarnę wypuścił i wtedy sobie z napotkanym kozłem poswawoliła. Potem poraniły ją psy i zmasakrowana trafiła do azylu. Wylizała się ze wszystkich ran, a na wiosnę... wydała na świat dwa kozłaki. I tu, w Brodach, leśniczy je wychowywał.

W rządzie woiher Stanisław Chmiel miał również lokatorów, których nie powstydzilby się nawet ogród zoologiczny. W jednym były złote bażanty, w drugim srebrne, w kolejnych – chińskie kurki chin-chin. Ale tych ptaków już w Brodach nie ma. Leśniczy rozdał je znajomym, gdy przekształcił azyl w Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt.

Dwie woliery zajmowały skrzydlate drapieżniki: jastrzęb i myszołów. Myszołów uderzył skrzydłem w słup wysokiego napięcia i je stracił. Od lat żywi się podawanym mu tutaj drobiem i też ma w Brodach dożywocie. Tylko jastrzęb, który w sierpniu zapędził się za gołębiem i wpadł przez okno do domu, zbyt długo w leśniczówce nie zabawił. Wylizał się ze swoich ran i na wiosnę, gdy łatwiej się zaadaptować do życia na wolności, został wypuszczony.

Najciekawszym pensjonariuszem w azylu był kruk. Dzieciaki przyniosły go do leśniczówki, niemiłosiernie poturbowanego, z pobliskich Dębów. W ciągu trzech miesięcy wyzdrowiał i w tym czasie dał się poznać jako ptak przebiegły, sprytny, bardzo inteligentny. Wypuszczony, pięknie odfrunął, a leśniczy do dziś żałuje, że tak się stało, choć od tamtej chwili minęło już ponad osiem lat.

Tak było. A dziś, z końcem lata 2011 r.? Dziś to już nie zwykły azyl, lecz Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt, „namaszczone” przez Ministerstwo Środowiska (minister tego resortu w październiku 2008 r. wydał leśniczemu pozwolenie na prowadze-

nie ośrodka). Pod koniec sierpnia pod opieką Stanisława Chmiela znajdowało się 38 zwierząt. Główną ich część, co już jest regułą, stanowiły ptaki, głównie szponiaste.

Jest więc 10 puszczyków, 10 myszołowów, są dwa myszolowy włochate, dwa jastrzębie, błotniak stawowy, orlik grubodzioby i pustułka. Ale również cztery łabędzie (dołączyły do dwóch stałych pensjonariuszy i też pewnie tutaj zostaną, bo nie poradzą sobie na wolności), trzy bociany białe, jeden czarny i jedna gęś. Jednak większość tych ptaków – po wyzdrowieniu albo odchowaniu pisklaków – odzyska wolność. A czworonogi?

– W tej chwili to stadko jest stosunkowo niewielkie – odpowiada leśniczy. – Mamy rocznego cielaka jelenia; ludzie przynieśli, opowiadając, że matka zginęła. Jesienią go wypuszczę. Są również dwie kolejne sarenki. Jedna uległa wypadkowi w Gdańsku, ale już dobrze i też będzie uwolniona. Ale ta druga – odłowiona ponownie po wypuszczeniu – chyba już u mnie zostanie, bo nie poradziła sobie na wolności.

Zwierzęta są karmione dwa razy dziennie. Leśniczy z żoną Elżbietą, która mężowi dzielnie w tym sekunduje, obchodzi klatki i woliery. Żeby wszystkie „dzioby” i „pyski” nakarmić, Stanisław Chmiel kupuje co roku m.in. około dwóch, trzech ton pszenicy. Odpady żywnościowe przywożą znajomi, a w zakupie innego rodzaju karmy pomagają również gminy: Gniew, Morzeszczyn i Pelplin.

Izba Leśnictwa i Łowiectwa wraz z Izbą Sprzętu Gospodarstwa Domowego, Ośrodkiem Rehabilitacji Dzikich Zwierząt oraz ścieżką dydaktyczną, oplatającą leśniczówkę, stanowi idealny obiekt dla edukacji leśnej. I do tych celów jest wykorzystywany. W sezonie do Brodów przyjeżdża blisko 200 grup młodzieży. Leśniczy oprowadza każdą z nich w trzy, cztery godziny.

Brody odwiedzają nie tylko młodzi. Dorosłych wabi Ogród Uciech – przepięknie położony, tonący w zieleni i kwiatkach od wiosny do jesieni, z czterema wiatami, kręgiem na ognisko, a nawet... podestem dla przemawiających albo wznoszących toasty. Z ogrodu korzystają mieszkańcy Gniewu, Starogardu, Tczewa i Trójmiasta, urządzający ucztę weselne, chrzciny, najrozmaitsze rocznice lub wieczory integracyjne.

– Nadleśnictwo na tym zarabia, a ja mogę się pochwalić, że oprócz dziatwy szkolnej zaznaczyli tu swoją obecność politycy: posłowie, senatorzy. Byli u mnie m.in. panowie: Maciej Płażyński, Longin Pastusiak, Donald Tusk, także wielu innych, znanych z pierwszych stron gazet i wszyscy się tu czuli doskonale – kończy opowieść leśniczy.

**W tej wiacie zasiadają
goście muzeum
Stanisława Chmiela (E.P.)**



Trudno w takim otoczeniu i tak znakomitej atmosferze, którą tworzy sam gospodarz, czuć się inaczej. Nie bez kozery Stanisław Chmiel jest właściwie permanentnym laureatem konkursu na najlepszą leśniczówkę RDLP Gdańsk.

– To według mnie urodzony społecznik, zakochany w młodzieży, a nade wszystko profesjonalista w swoim fachu – mówi Roman Tomczak, nadleśniczy Nadleśnictwa Starogard Gdański. – Jako szef miejscowego oddziału Związku Leśników Polskich wiele zrobił również dla swojej grupy zawodowej. Dom dla dziesięciu rodzin robotników leśnych, który z jego inicjatywy wzniesiono w Nicponi – stoi do dziś. Wykupione mieszkania zajmują pracownicy ZUL; są z nich bardzo zadowoleni.

Szef leśniczego nie potrafi wytłumaczyć, skąd Stanisław Chmiel znajduje na to wszystko czas. Jak godzi obowiązki zawodowe ze swoją drugą profesją muzealnika, ale przyznaje, że wszystko u niego funkcjonuje jak należy – w dorastających lasach, w uprawach, na obszarze liczącego 1800 ha leśnictwa i w obiektach muzealnych, także ośrodka rehabilitacji.

Stanisław Chmiel, absolwent pomaturalnego Technikum Leśnego w Tułowicach, pracuje na medal. Właściwie już zapracował, bo Złoty Krzyż Zasługi otrzymał m.in.

za doprowadzenie leśniczówki do znakomitego stanu, którą w 1979 r. przejmował w ruinie. A za całokształt działalności w leśnictwie został wyróżniony Kordelasem Leśnika Polskiego.

Leśniczy twierdzi, że największa w tym zasługa Opatrzności, która mu dała wspomniane drugie życie. Na pytanie o marzenia, plany na przyszłość odpowiada, że ma dwóch synów: Wojciecha i Tomasza. Ten drugi służy w Marynarce wojennej; jest bosmanem na „Piorunie” – okręcie rakietowym. A Wojciech? Wojciech (32 lata) poszedł w jego ślady. Na razie jest podleśniczym w leśnictwie Przetoczyno, leżącym w Nadleśnictwie Gdańsk. A później? Mój gospodarz woli nie zapeszać, ale nietrudno się domyślić, co mu się marzy...

Stanisław Chmiel urodził się 18 października 1949 r. w Kościerzynie. W roku 1969 ukończył Państwową Leśną Szkołę Techniczną w Tułowicach. Staż odbywał w Nadleśnictwie Gniewkowo. W tajniki praktyki leśnej wprowadził go leśniczy Czesław Burnicki. W 1971 r. został leśniczym w leśnictwie Koziełotko (obecnie Nadleśnictwo Brodnica).

W latach 1972–1980 pracował w nadleśnictwach Cierpiszewo i Gniewkowo. Od maja 1980 r. zajmuje stanowisko leśniczego w leśnictwie Brody (Nadleśnictwo Starogard).

Od 20 lat gromadzi eksponaty w swoim muzeum, które składa się z trzech części: Izby Leśnictwa i Łowiectwa, Izby Sprzętu Gospodarstwa Domowego, ekspozycji maszyn i urządzeń leśnych oraz maszyn rolniczych. W sumie zebrał kilka tysięcy, nierzadko bardzo cennych eksponatów.

Od 2002 r., za zgodą nadleśnictwa i starosty tczewskiego, prowadzi azyl dla zwierząt. Placówka ta, po wydaniu pozwolenia przez Ministerstwo Środowiska, została przekształcona w 2008 r. w Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt.

Ma dwóch synów. Starszy, Tomasz, jest bosmanem na okręcie „Piorun”. Młodszy, Wojciech, poszedł w ślady ojca i jest podleśniczym w leśnictwie Przetoczyno (Nadleśnictwo Gdańsk).

Stanisław Chmiel został uhonorowany w 1987 r. Brązowym Krzyżem Zasługi, a w roku 2005 Złotym Krzyżem Zasługi i Honorową Odznaką „Za zasługi dla ochrony środowiska i gospodarki wodnej”. W 2009 r. otrzymał Kordelas Leśnika Polskiego.



ISBN 978-83-61633-37-2